

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl

Nr 12 (265) • ROK XXII • GRUDZIEŃ 2017





25 listopada 2017 roku w Filharmonii Śląskiej im. Henryka Mikołaja Góreckiego w Katowicach ogłoszono wyniki jubileuszowego X Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga. Międzynarodowe jury pod przewodnictwem Juozasa Domarkasa I nagrodę ufundowaną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (25 000 euro) i Złotą Batutę przyznało Su-Han Yang z Tajwanu.

Więcej o konkursie na str. 32



*Zdrowych,
spokojnych i rodzinnych świąt
Bożego Narodzenia,
a także dobrego roku 2018*

życzą

*Zarząd Górnośląskiego
Towarzystwa Literackiego
i redakcja
miesięcznika „Śląsk”*

Naszych Przyjaciół informujemy, że 12 stycznia 2018 roku o godz. 17.00, w Krypcie Katedry Chrystusa Króla w Katowicach, z okazji 25. rocznicy Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, poprosiliśmy JE ks. abpa seniora dra Damiana Zimonia o przewodniczenie Mszy Świętej w intencji członków naszego towarzystwa. Homilię wygłosi ks. prof. Jerzy Szymik.

Wszystkich serdecznie zapraszamy.

Nasz partner



RYBNIK



KATOWICE
dla odmiany

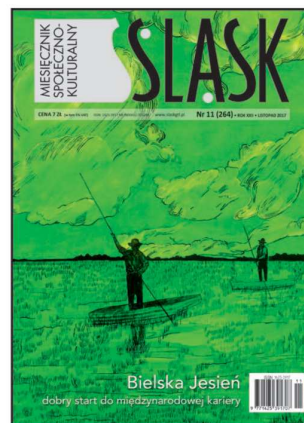
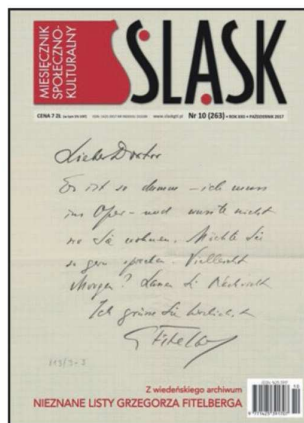
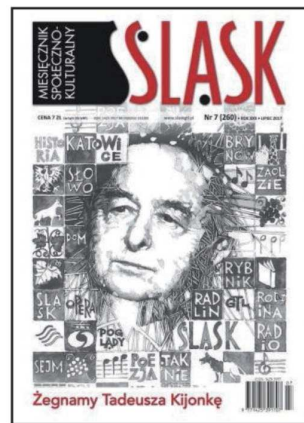
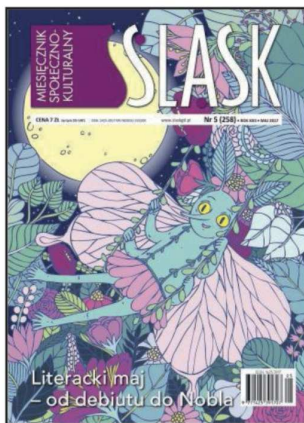
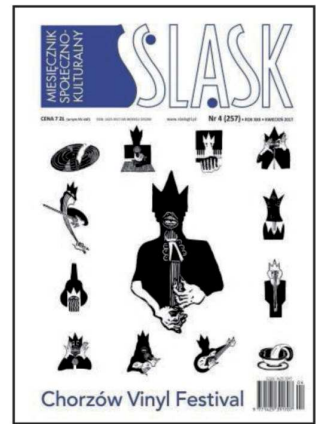
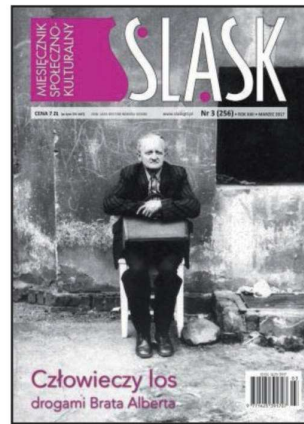
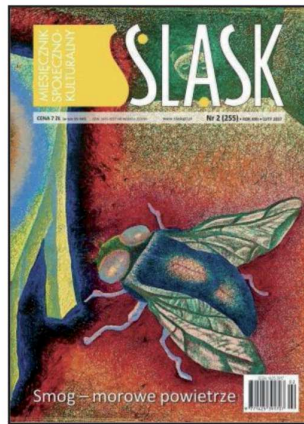
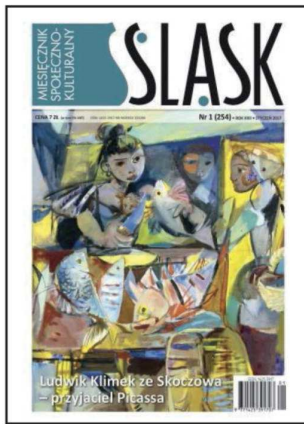


KATOWICE
MIASTO MUZYKI
UNESCO



**Od 2 lat
dumni z tytułu!**

katowice.eu | katowicecityofmusic.eu





MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 12 (265), Rok XXII, GRUDZIEŃ 2017 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
tel. 32 258 07 56
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

MARIAN KISIEL
Zastępca redaktora naczelnego

MARTA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy

Redakcja w Opolu:
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIK

TOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcji

e-mail: biuro@slaskwn.com.pl

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

LAURA RYNDAK
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. *Andrzej Jarczewski* SKARBNIK. ODRODZENIE MITU
8. *ks. Andrzej Hanich* DOBRZE ZASŁUŻYŁ SIĘ POLSCE. WSPOMNIENIE O JÓZEFIE PĘKALI.
14. *Martyna Dymon* OPUSZCZONA PRZESZŁOŚĆ. O poezji Teresy Ferenc.
19. *Elżbieta Hurnik* POETA W ŚWIECIE KULTURY. O wierszach Feliksa Netza.
22. *Jarosław Krzysztof Pieniek* MÓJ POLSKI OBERSCHLESIEŃ
32. *Wiesława Konopelska* SU-HAN YANG ZE ZŁOTĄ BATUTĄ
36. *Zbigniew Chojnowski* WAŚKIEWICZ
41. PORTRETY MISTRZÓW
Marian Kisiel PROFESOR BARBARA GUTKOWSKA
44. BLASK ARCYDZIEŁ
Jerzy Paszek BLASK FERDYDURKE
48. *Małgorzata Rygielska* „JUBILEUSZOWE BUKIETY”. O ŚWIATACH POETYCKICH ZE ŚLĄSKA.
52. *Tomasz Bienek* ŚLĄSKIE PRZYGODY KREMU NIVEA
60. *Henryk Szczepański* PRAWIE KRÓLEWSKA WIZYTA. KUKUŁCZE JAJO WINDSORÓW
70. *Katarzyna Niesporek* ŚWIATY POETYCKIE KS. JERZEGO SZYMIKA
72. *Maria Firut* JEST TAKIE LICEUM NA ŚLĄSKU...

FELIETONY

13. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek JUBILEUSZ RYSZARDA GABRYŚIA. ŚLĄSKIE UTWORY NA GDAŃSKICH „NOWYCH FALACH”
78. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA
Jan Miodek WLEŃ I CZĄSTKA -VEL-

PLASTYKA

34. *Anna Korusiewicz*. MALARSTWO

KSIĄŻKI

74. *Tomasz Mizerkiewicz* EKONOMIE DYGATA
75. *Gawel Janik* DOMINUJĄCY CZY ZDOMINOWANY
76. *Katarzyna Niesporek* „IM BLIŻEJ DNA, TYM MOCNEJSZE WINO”
77. *Justyna Szlachta-Miształ* TO NIE SEN ANI EKSPERYMENT, TO RZECZYWISTOŚĆ

POEZJA I PROZA

3. *Marcin Halaś* BIAŁE KOMINIARKI
12. *Harry Duda* MIMO WSZYSTKO SMUTEK ZIEMSKI
17. *Marcin Halaś* WIERSZE
24. *Zygmunt Krzyżanowski* TRZY OPOWIADANIA. Przełożył Marian Kisiel
28. *Krzysztof Krzemiński* WIERSZE
38. *Maria Peszt* B'EZRAT HASZEM!
79. *Marek Piechota* Z NOWYCH ONOMASTIKONÓW

STAŁE RUBRYKI

46. SPORTOWE ŻYCIORYSY ŚLĄZAKÓW
Henryk Marzec FLORECISTKI Z GKS
67. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Aleksandra Zawalska-Hawel ŻORY. MIGRUJ DO BIBLIOTEKI!
69. OPOLSKIE. POLONUSI W MUZEUM UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO
82. NOTATNIKI KULTURALNE
86. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

Grafika: Anna Korusiewicz

Pismo wspierane
finansowo przez:

Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICE



KATOWICE
dla odmiany

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



Śląskie.
Pozytywna energia





Rys. Anna Korusiwicz





MARCIN HAŁAŚ

BIAŁE KOMINIARKI

Aniołowie założyli na twarze białe kominiarki, przed akcją przeżegnali się szybko, ściskając w dłoniach chłodne kolby szybkostrzelnych uzi.

Pod drzwi ładunek wybuchowy, potem już tylko eksplozja: krótki huk, światło i trochę dymu. Zupełnie tak samo jak było na Początku.

Błyskawicznie wpadli do mieszkań wywlekając z łóżek mężczyzn, kochających się właśnie z kobietami przeciw szóstemu przykazaniu.

Spod pryszniczy, z toalet i od kuchennych stołów, na których chleb, wino, kiełbasa, wódka. Po kilku sekundach leżeli już skuci na ziemi, zaskoczeni, bezradni.

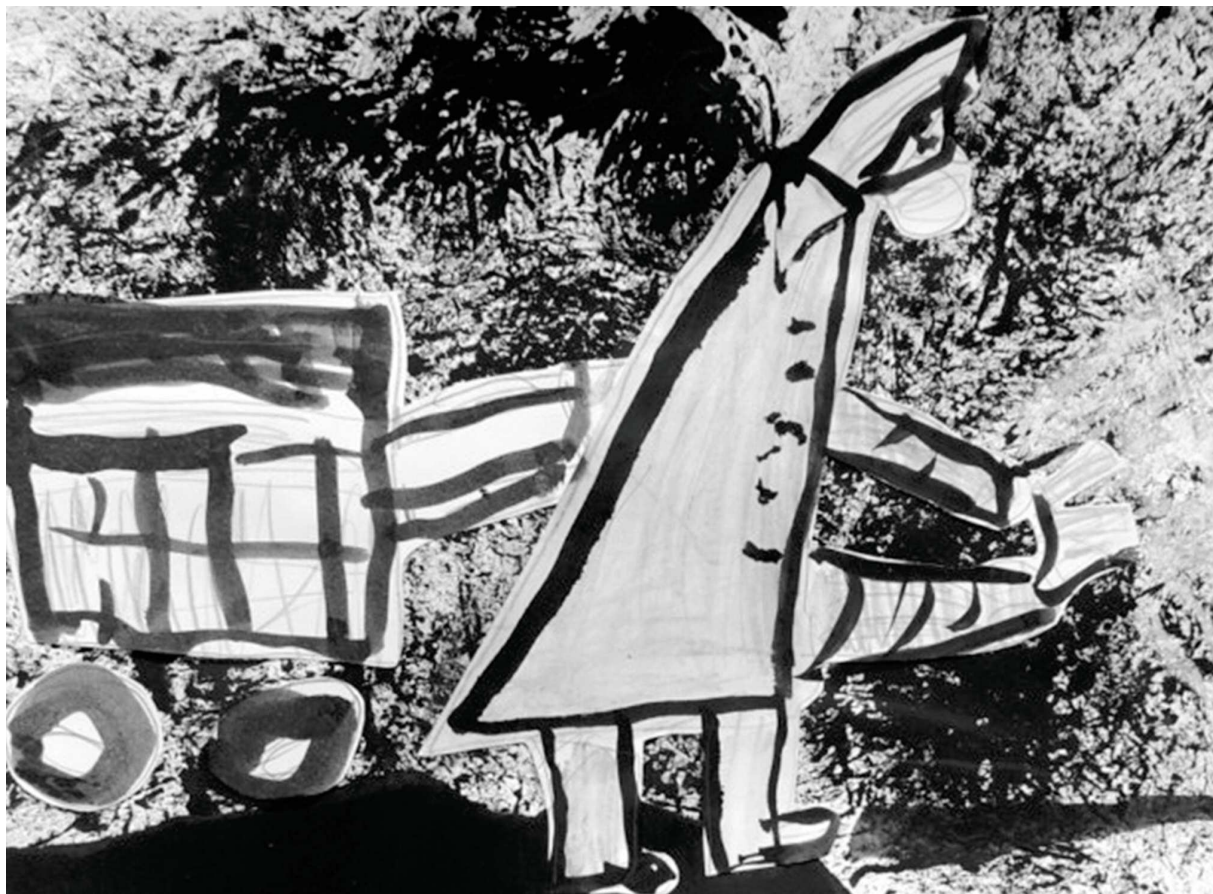
A nad ich głowami aniołowie wciąż jeszcze wrzeszczeli: „Na ziemię! Bez ruchu! Sąd!” i odwracali się od przybyłych nie wiadomo skąd niebieskich kamer.

Pili wodę z butelek, trzymali ich pod lufami uzi, wciąż nie zdejmując z twarzy przepoconych, już brudnych gdzieś białych kominiarek.

2006

Marcin Hałas, ur. 1968 w Bytomiu, poeta, pisarz, krytyk literacki i dziennikarz. Opublikował ponad dwadzieścia książek poetyckich, dla dzieci, eseistycznych i publicystycznych. Ważniejsze tomy poetyckie: *Protokoły* (1989), *Niebo poetów* (1990), *Bursztyn i śnieg* (2002), *Daleko od Lwowa* (2006).





Praca Jakuba Kusiaka

Skarbnik. Odrodzenie mitu

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Skarbnik jest postacią o największej na Śląsku mocy mitotwórczej. Wokół „osoby” Skarbnika może rozwijać się zróżnicowana oferta kulturalna. Skarbnik ma również pewien potencjał finansowy w tym sensie, że istnieją źródła, z których na działania wokół Skarbnika będzie można pozyskiwać granty łatwiej niż na cele nazwane inaczej.

Górny Śląsk, który przez dwa wieki – również w kulturze – rozwijał paradygmat węgla i stali, potrzebuje nowego impulsu mitotwórczego. Rzecz jasna pojęcie „mitu” używane jest tu w znaczeniu kulturoznawczym. Nie chodzi więc o wytwarzanie jakichś „prawd zastępczych”, ale o świadome organizowanie zbiorowej wyobraźni

wokół cennych dla regionu wartości. A ponieważ wszystkich wartości nie da się promować jednocześnie – należy wybrać to, co mogłoby być wehikułem dla całego bogactwa kulturowego.

Inspirację czerpię z pomysłu Zygmunta Janiszewskiego, który sto lat temu (1918) na łamach „Nauki Polskiej” zaprezentował niezwykle odkrywczą

i płodną tezę. Otóż – twierdził Janiszewski – odradzającego się, biednego państwa polskiego nie stać na uczestniczenie w rozwoju nauki światowej na wszystkich polach. Trzeba wybrać dziedziny, w których już mamy wybitne osiągnięcia, i wspierać rozwój tam, gdzie mamy największe szanse.



Jak wiemy – władze wsparły ten pomysł (niewielkimi zresztą środkami), a w efekcie powstała tzw. „polska szkoła matematyczna”, której osiągnięcia – przykro dziś przypominać – przewyższają nie tylko płody PRL, ale i wszystko to, co osiągnęła nauka w III RP. To należy z bólem powtórzyć: dla światowej nauki nie ma znaczenia nic, co powstało w Polsce po roku 1939, natomiast prace szkoły lwowsko-warszawskiej z dwudziestolecia międzywojennego są cytowane do dziś. Zawdzięczamy to nie tylko geniuszowi polskich logików i matematyków, ale również koncentracji niezwykle skromnych środków na trafnie wybranej tematyce.

Mit Skarbnika

Trudno budować mit na „suchym koczniu”. Trzeba wykorzystać jakieś dobro istniejące i tak je modyfikować i rozwijać, by pomagało żyć w nowej epoce. Tak właśnie postępowali Irlandczycy, którzy po wstąpieniu do Unii Europejskiej odnotowali rekordowy wzrost gospodarczy, wynikający z masowego przejścia na nowe technologie z pominięciem niektórych etapów industrializacji. Ale towarzyszyła temu przebudowa narodowej mitologii, ułatwiająca oswojenie się z nową sytuacją.

Mało kto wie, że nawet „tradycyjna”, tak w Polsce ceniona, ludowa muzyka irlandzka jest w całości młodsza od wielu czytelników „Śląska”. To samo dotyczy przebudowy postaci Irlandczyka w świadomości europejskiej. Ta postać dziś jest jednoznacznie pozytywna, a bywało z tym... różnie. Bardzo ciekawie mówi o tym Ernest Bryl, największy w Polsce znawca i miłośnik Irlandii.

W Ameryce II połowy XIX wieku taką wyidealizowaną i zmitologizowaną postacią stał się kowboj. Nie ze względu na swoje walory obiektywne, ale dlatego, że można mu było przypisać mnóstwo atrakcyjnych przygód, napędzających fabuły powieściowe i filmowe, komiksy, piosenki i całą popkulturę. Sam kowboj był przecież „chłopcem od krów” – przedstawicielem społecznych nizin, ale nizin dla Ameryki najważniejszych: walczących ciężką i niebezpieczną pracą o lepszy byt.

Frodo – Potter – Wiedźmin – Skarbnik!

Tak się szczęśliwie składa, że akurat górnictwo polskie – za sprawą Gustawa Morcinka – dysponuje wyjątko-



wo pozytywnym mitem Skarbnika, dobrze opracowanym literacko i dostrzeganym przez naukę. Jest więc to postać groźnawa, lekko niejednoznaczna, obarczona również pewnymi negatywnymi skojarzeniami z Szarlejem czy Pusteckim, pełniącymi w kopalnianej mitologii podobne funkcje.

Wielu pisarzy jakoś eksploatowało mit Skarbnika. Nikt jednak nie podjął próby reinterpretacji Skarbnika w celu zbudowania nowej mitologii. Nawet w zabytkowej „Kopalni Guido” Skarbnik funkcjonował na prawach kogoś w rodzaju „białej damy”, obecnej w każdym szanującym się zamczysku.

W Skarbniku tkwi jednak znacznie większy, wciąż niewykorzystany potencjał mitotwórczy!

Skarbnik aż prosi o konkursy na koncepcję swojej mitologii. A może wzięliby się za to zawodowi rysownicy i literaci? W tym kontekście należałoby rozejrzeć się po podobnych figurach, które w ostatnich latach zrobiły światową karierę. Zaliczam do nich Harrego Pottera, bohaterów Tolkiena, a w Polsce... Wiedźmina! Skarbnik ma w sobie nie mniejszy potencjał, a żyjemy w epoce, w której istnieje autentyczne zapotrzebowanie na tego rodzaju postaci kultury popularnej i wysokiej.

Postać śląskiego skarbnika jest prawdopodobnie złożeniem kilku różnych duchów, zamieszkujących kopalnie. Te zazwyczaj karłowate istoty bądź to szkodziły ludziom bądź też, przeciwnie, bywały człowiekowi przychylnie, pomagając mu w pracy i ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Sam skarbnik był duchem kopalni. Przybierał postać człowieka bądź zwierzęcia. Jako człowiek miał być sztygarem o długiej, siwej brodzie, który w dłoni dzierżył lampę. Natomiast postaci zwierzęce skarbnika mogły być różne, często jest to mysz. Od XVII wieku skarbnik przejął wiele cech charakterystycznych dla wyobrażenia diabła.

Skarbnik jako duch kopalni zwracał szczególną uwagę na pracę górników. I tak mógł być z jednej strony pomocny, dla tych pracowitych i uczciwych a ukarać tych, którzy jego zdaniem byli zbyt leniwi, skąpi bądź w jakiś inny sposób nieuczciwi. Podobno skarbnik pomagał w pracy, ukazując się osobiście bądź pod postacią myszy ostrzegał przed niebezpieczeństwem, wskazywał miejsca gdzie złoża minerałów były bogate. Innym znów razem prowadził górnika na manowce, tak, że nigdy więcej nie znalazł drogi powrotnej. Górnicy wierzyli, że znajomość ze skarbnikiem, którą według legend miał niekiedy proponować, nigdy nie kończyła się dobrze. Skarbnik był także panem miejsca, do którego odchodziły dusze górników, którzy zginęli podczas pracy w kopalni.

Encyklopedia fantastyki





Zdjęcia: ze zbiorów Muzeum w Rybniku



Jak najmłodzi Ślązacy wyobrażają sobie Skarbnika? Muzeum w Rybniku w 2014 roku było organizatorem konkursu plastycznego na wizerunek Skarbnika, skierowanego do dzieci. Wyróżnione pierwszą nagrodą prace Konstancji Siei i Maksymiliana Machoczka

Skarbnik w popkulturze

Znamy już sposób budowania nowych postaci popkultury, takich jak Frodo, Harry czy Wiedźmin. Jasne, że każdy wielki twórca pragnie być oryginalny i z pogardą przygląda się potteromanii. Nie adresuję więc niniejszych uwag do wielkich pisarzy, ale do organizatorów wielkich przemian. Na różne szczegóły przyjdzie czas, a tu zwróć tylko uwagę na to, czego dziś wymaga nowa postać, by znaleźć przyjaciół.

Otóż Skarbnik jest ze swej natury baardzo stary. Skarbnik był świadkiem wszystkich ważnych wydarzeń w historii górnictwa. Ma o czym opowiadać! Potrzebne mu są jednak późne wnuki (i wnuczki), które nie tylko słuchają, ale i robią coś dobrego na górze, pamiętając o swoich rodzinnych górniczych tradycjach i o szlachetnych podziemnych obyczajach. To byłby nowy wątek Skarbnikowej mitologii, wymagający dopiero opracowania, ale też otwierający mit Skarbnika na nowe inspiracje. Oczywiście wnuczka Skarbnika będą odwiedzać zabytkowe kopalnie

w Zabrze, Tarnowskich Górach, a nawet w Wieliczce. Przeżycia, jakich tam doświadczą, mogą być źródłem wielu mikrofabuł.

Na Górnym Śląsku wszyscy – w pewnym sensie – jesteśmy górnikami. Wielu (jak niżej podpisany) naprawdę pracowało na dole, jeszcze więcej mieszkańców tej krainy robiło coś dla górnictwa na górze, a całe masy korzystały z bogactwa, wydobywanego spod ziemi. Mitologia górnicza jest naszym autentycznym dziedzictwem. Nie można o niej zapomnieć, nawet jeżeli górnictwo na naszych oczach staje się starszym, uboższym bratem nowoczesnych dziedzin gospodarki.

Superprodukcja „Skarbnik”

Wprowadźmy Skarbnika do pantonu pozytywnej mitologii XXI wieku! W atmosferze zainteresowania postacią Skarbnika pojawiają się liczne gadżety (już mamy monetę; bardzo dobrze!), strony internetowe, małe formy literackie i plastyczne, szkolne przedstawienia. A to jest już

gleba, na której może wyrosnąć scenariusz gry komputerowej, gry fabularnej, piosenki, widowiska, może nawet dramatu czy opery.

Dzieła większego formatu nie powstają same; trzeba je zamówić. Na horyzoncie naszych działań widzę kinową superprodukcję z wnuczkami Skarbnika w roli głównej. Ale takie zamówienie trzeba przygotować i użyć grunt. Pomysły na wielkie fabuły muszą dojrzewać powoli w małych konkursach i działaniach artystycznych.

Mit Skarbnika pomoże integrować pokolenie wnuków górników w pracy nad modernizacją dawnego Czarnego Śląska. W sprzyjających warunkach – za 5 lat możliwe będzie przygotowanie superprodukcji, pozwalającej wnieść **pozytywne przesłanie o Śląsku** do światowego obiegu kulturowego poprzez np. film *fantasy* o Skarbniku (i jego dzielnych wnuczkach!!!). Mógłby to też być serial kreskowych dobranoczek, przygotowujących emocjonalny grunt pod późniejsze zasiewy. Wtedy sami uwierzmy, że Górniczy Śląsk jest *cool* (nie tylko *coal*), a gry komputerowe i mu-





sicale na tym motywie wyrosną jak grzyby po deszczu. Kto śledzi działania artystyczne w Kopalni Guido na poziomie 320, wie, że można naprawdę dużo, a atmosfera głębokich podziemi niezwykle silnie wpływa nie tylko na kształt wystawianego tam dzieła teatralnego czy muzycznego, ale – przede wszystkim – uszlachetnia odbiór.

Ginący podziemny świat w literaturze

W roku 2000 złożyłem w Górnośląskim Towarzystwie Literackim propozycję rozpisania konkursu na powieść o tematyce górniczej. Sprawa toczyła się bardzo długo, gdyż warunkiem wstępnym było uzyskanie jakiegoś funduszu nagród. Niestety, wielkie spółki węglowe były wówczas zarządzane przez osoby niezdolne do podjęcia jakiegokolwiek rozmów na ten temat.

Ostatecznie zebrała się kwota za małą jak na konkurs na powieść, ale wystarczającą do ogłoszenia konkursu na opowiadanie górnicze. I taki konkurs się odbył w roku 2002. Uczestniczyłem w pracach jury. Napłynęło kilkadziesiąt prac o zróżnicowanym poziomie, a opowiadanie zwycięskie pokazywało losy górników, zdegradowanych w procesie przemian do pozycji złodziei węgla ze składów kolejowych. Takie to były czasy. Nagradzano wyłącznie walory literackie. Nie ideologię.

Piszę o tym ze świadomością, jak **trudno zdobywa się pieniądze** na kulturę. Mimo to należy wrócić do konkursu na powieść, bo to powieść jest fundamentem, na którym można budować inne formy medialne. Jestem zdeklarowanym propagatorem nowych technologii w kulturze, ale fakt, że przez prawie 30 lat wolnej Polski nie ukazała się wielka powieść, artystycznie dokumentująca przemiany cywilizacyjne na górze i na dole kopalni – to uważam za przejaw strasznej niemocy twórczej.

Kto stworzy powieść?

Książka o Skarbniku nie powstanie sama. By poważny pisarz podjął się tak trudnego zadania – musi mieć albo nadzieję na nagrodę, albo przynajmniej gwarancję zwrotu kosztów rocznej pracy. Województwo śląskie stać na zamówienie powieści. I nie mam tu na uwadze wyłącznie Zarządu Województwa (choć też), ale wszystkich

przedsiębiorców, którzy na Śląsku zarabiają i powinni uczestniczyć w rozwoju duchowym swoich pracowników. Nie jest pewne, czy Gustaw Morcinek byłby dziś uważany za największego prozaika śląskiego wszystkich czasów, gdyby nie zdobył nagrody wojewódzkiej za *Wyrąbany chodnik* (1931). Niestety – dziś już Morcinek nie jest czytany. Musi wystąpić nowy twórca, który dotrze do młodzieży nowymi pomysłami.

Mamy sporo do nadrobienia w historycznym i artystycznym dokumentowaniu odchodzącej w przeszłość, ale jakże ważnej epoki śląskiego górnictwa. To jest **dziedzina zadziwiająco zaniedbana**. Co roku powinno wychodzić kilka powieści i kilkadziesiąt artykułów popularnych i naukowych nie tylko w muzealnym roczniku „Górnik Polski”. Należy pilnie uruchomić akcję nagrywania wspomnień starych hajerów, ich żon i dzieci. Ginący podziemny świat musi być udokumentowany!

Skarbnik Śląskiego Biznesu

Pozostają jeszcze kwestie finansowe. Kto zapłaci za Skarbnika!? Otóż Skarbnik – jako nazwa i postać – ma w sobie również wyjątkowy potencjał „grantobiorczy” i to nie tylko z tradycyjnych źródeł samorządowych. Wyobraźmy sobie śląski znak jakości „Skarbnik Śląskiego Biznesu”. Wielu przedsiębiorcom będzie zależało na podniesieniu moralnej, a przez to i handlowej czy marketingowej wartości postaci, z którą ich firma jakoś się zwiąże.

W przestrzeni kultury pojawi się miejsce dla biznesu, który otrzyma do odpłatnego wykorzystania postać Skarbnika. Będzie to przedmiotem dalszych dyskusji, bo najpierw musi powstać sto różnych wizerunków, spośród których wybierzemy **Skarbnika Biznesu – znak śląskiej jakości**. I – jak było z kowbojem – do szerszego obiegu musi wejść tysiąc przygód Skarbnika i jego wnuków, by mitotwórcza „masa krytyczna” osiągnęła poziom, wymagany przez superprodukcję.

Trudne przejście do społeczeństwa informacyjnego może odbywać się w atmosferze protestów z wykorzystaniem elementów tradycji jako broni przeciwko przemianom. Ale ten model, towarzyszący np. wygaszaniu górnictwa w Anglii, nie jest jedyny. Jeżeli w miejsce czegoś, co ulega ograniczeniu lub likwidacji, tworzona jest

nowa wartość – społeczna aktywność znajduje ujście nie w walce, lecz w twórczości. I – na szczęście – w województwie śląskim realizowany jest ten drugi model w postaci m.in. Szlaku Zabytków Techniki. Poświęciłem temu zagadnieniu esej pt. **Śląscy patrioci postindustrialni**, opublikowany w miesięczniku „Śląsk” nr 2/2010, a dziesięć lat wcześniej, zapowiedziałem ten proces w artykule **Społeczeństwo informacyjne rodzi się na Śląsku**, nr 11/2000.

Stworzyć mit godny XXI wieku!

Szukajmy środków na stworzenie **gry komputerowej**, która na wielu poziomach komplikacji (i „podziemności”) mogłaby nieść wiedzę o górnictwie dzieciom od pierwszych klas szkoły podstawowej aż do matury. Zawsze jednak najważniejsze będzie osobiste przeżycie grozy i piękna kopalni. Na szczęście zabytkowe kopalnie cieszą się dużą popularnością, więc opowieści górnicze – dla wielu czytelników i widzów – będą jakoś osadzone w znanych lub wyobraźalnych realiach.

Mity nie rodzą się same. Tworzą je ci, którym zależy na prostej, emocjonalnej, wspólnej dla pewnej społeczności opowieści o czymś ważnym. Jeżeli przedstawiciele tej społeczności nie zbudują o sobie mitów pozytywnych – znajdują się tacy, którzy stworzą mity negatywne. Naszym obowiązkiem jest przewyżczenie negatywnych śląskich stereotypów. **Ale nie przez spór**. Przez **tworzenie nowej mitologii**, sprzyjającej rozwojowi i cennym dla nas wartościom.

Będę wdzięczny i za głosy krytyczne w tej sprawie, i za wszelkie uzupełnienia, rozwijające zarysowaną tu wstępnie koncepcję.

Andrzej Jarczewski – kierownik Radiostacji Gliwice w latach 2003-2016 – opublikował kilka książek o Śląsku, w tym klasyczne dzieło profesjograficzne pt. *Szuchtownica, czyli szlachetnego trudu górniczego niewiarygodnie szczerze opisanie*. Trzecie wydanie tej książki ukazało się niedawno nakładem Muzeum Śląskiego. Najnowsze książki autora dotyczą podstawowych zagadnień filozoficznych: prawdy, dobra i piękna.





Józef Pękala

Dobrze zastąpił się Polsce

Wspomnienie o Józefie Pękali

ks. ANDRZEJ HANICH

Znaliśmy się i przyjaźniliśmy od wielu lat, stąd moja wiedza o Józku zawarta w tym wspomnieniu i bardzo osobisty charakter tego świadectwa.

Przytoczyłem je w obszernych fragmentach w kazaniu wygłoszonym w kościele parafialnym p.w. św. Mikołaja w Kędzierzynie-Koźlu w poniedziałek 17 lipca 2017 r. podczas uroczystości pogrzebowej śp. Józka, która, oprócz licznej rodziny, zgromadziła kilkaset osób – współpracowników, przyjaciół i znajomych Zmarłego.

Życie dla energetyki

Józef Pękala urodził się w Harcie na Ziemi Rzeszowskiej 19 marca 1937 roku w dzień swego Patrona św. Józefa. Z domu rodzinnego wyniósł wychowanie oparte na umiłowaniu Boga i Ojczyzny. Wraz z czworgiem swego rodzeństwa bardzo wcześnie przeszedł twardą szkołę życia – biedę lat wojny i okupacji niemieckiej, i niemniej trudne lata bezpośrednio powojenne. Po ukończeniu szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego w Dynowie nad Sanem wyjechał do podnoszącego się z wojennych ruin Wrocławia, gdzie w 1955 r. podjął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Wrocławskiej, które ukończył w 1959 r., uzyskując dyplom magistra inżyniera o specjalności elektryka. To ukierunkowało jego całościową pracę zawodową, którą związał z energetyką, gdzie przeszedł po kolei wszystkie szczeble kariery zawodowej – od szeregowego pracownika po dyrektora generalnego i budowniczego elektrowni. Dzięki temu bogatemu doświadczeniu mógł stać się w pełni przekonującym wychowawcą i nauczycielem kilku pokoleń energetyków, którzy wyszli spod jego ręki.

Pracę zawodową rozpoczął zaraz po studiach, w 1960 r. na wydziale elektrycznym Elektrowni „Miechowice” w Bytomiu, gdzie już po dwóch latach został kierownikiem wydziału.

Jego nieprzeciętna inteligencja, pracowitość, zmysł racjonalizatorski, otwartość na ludzi i koncyliacyjne usposobienie, umiejętność osiągnięcia wyznaczonych celów, wreszcie odwaga w podejmowaniu decyzji w zarządzaniu, to były te predyspozycje charakterologiczne, które go wyróżniały i zaważyły na jego dalszej, szybkiej karierze zawodowej.



W niedługim czasie został służbowo przeniesiony (bo taki wówczas był tryb awansu zawodowego) na stanowisko dyrektora Elektrowni „Blachownia” w Kędzierzynie. Tu w krótkim czasie doprowadził do modernizacji tego jeszcze przedwojennego zakładu i to sprawiło, że w niedługim czasie został kolejny raz awansowany poprzez przeniesienie służbowe na stanowisko dyrektora, tym razem do Elektrowni „Jaworzno III” w budowie (1976-1979), gdzie wykazał się również talentem organizacyjnym i skutecznością, gdyż w ciągu trzech lat doprowadził do wybudowania sześciu bloków energetycznych o mocy 200 MW każdy.

To spowodowało, iż w 1979 r. został kolejny, ostatni już raz, przeniesiony służbowo tym razem na stanowisko dyrektora Elektrowni „Opole” w budowie, którą nieprzerwanie kierował przez 23 lata, aż do swego przejścia na emeryturę w lutym 2002 r.

Kiedy obejmował to stanowisko miał pełną świadomość tego, że podejmuje się najtrudniejszego w swoim życiu, pionierskiego zadania, a mianowicie – wybudowania od podstaw najbardziej ekologicznej elektrowni węglowej w Polsce, bo taką miała być Elektrownia „Opole” w Brzeziu k. Dobrzecza Wielkiego.

Początki tej gigantycznej inwestycji, jak i sama późniejsza budowa, były niezwykle trudne przede wszystkim ze względu na uwarunkowania zewnętrzne jakie jej towarzyszyły. Odczuwane z początku dość powszechnie w tradycyjnym rolniczym środowisku łęki przed tym co miało nadejść, bo było nowe i nieznanne, problemy z wykupem ziemi od przywiązanych do ojcowizny miejscowych rolników, a później permanentny brak pieniędzy w kasie państwowej na prowadzenie tej inwestycji z uwagi na coraz bardziej pogłębiający się kryzys gospodarczy, kiedy zaczęło wszystkiego brakować, wreszcie wybuch strajków robotniczych w sierpniu 1980 r., a potem burzliwy czas pierwszej „Solidarności”, wreszcie stan wojenny, wprowadzony w grudniu 1981 r., który spacyfikował „Solidarność” i na kilka lat utrwalił w kraju stan społecznej i gospodarczej beznadziei, to były te szczególne okoliczności, w których przyszło Józefowi Pękali rozpocząć i prowadzić budowę czterech nowoczesnych bloków przyszłej elektrowni o mocy 360 MW każdy.

Niezwykła trudność tego przedsięwzięcia – na co warto raz jeszcze

zwrócić uwagę – polegała na tym, iż w warunkach całkowitego załamania gospodarczego i kryzysu politycznego w Polsce, jaki miał miejsce w tym czasie, miał powstać zakład przemysłowy o niezwyklej wielkości i nowoczesności. Dzięki jednak doświadczeniu w zarządzaniu i realizacji dużych obiektów przemysłowych oraz niezwyklej determinacji i poświęceniu prezesa Pękali oraz załogi elektrowni, którą potrafił zapalić swoim entuzjazmem i zmotywować do heroicznej pracy w tych arcytrudnych warunkach mogła powstać Elektrownia „Opole” – nowoczesny obiekt energetyczny, spełniający unijne standardy ekologiczne, który wpisał się już na trwałe w dotąd leśno-poľny krajobraz Ziemi Opolskiej. Do dzisiaj pamiętane są jego słowa wypowiedziane do załogi, kiedy groziło przerwanie dalszej budowy i zamknięcie elektrowni, krótko po przełomie politycznym w 1989 r., w początkach lat dziewięćdziesiątych: „Nie zniechęcajcie się tym, co się wokół nas dzieje, ale z uporem budujcie, bo powstałe w ten sposób miejsca pracy zapewnią Wam i Waszym dzieciom przyszłość!”

Zaś cechą charakterystyczną opolskiej elektrowni było pełne, stuprocentowe zagospodarowanie kilkuset tysięcy ton pyłów i siarki w skali każdego roku, będących ubocznymi produktami spalania około 2,5 miliona ton węgla kamiennego, jakie pochłania w ciągu roku eksploatacja dotychczasowych czterech bloków elektrowni. Te setki tysięcy ton pyłów i siarki każdego roku zamiast trafiać do atmosfery, co jeszcze nie tak dawno temu, w przypadku wielkich zakładów przemysłowych, nie było wcale rzadkością, szły teraz do produkcji płyt kartonowo-gipsowych (ok. 50 mln m² w skali roku) w nowo powstałej fabryce gipsów, która z inicjatywy prezesa Pękali została zbudowana tuż przy samej Elektrowni „Opole” przy udziale Norwegów.

Jedynie ciepło odpadowe z elektrowni zostało w niewielkim stopniu wykorzystane na ogrzewanie okolicznych gmin i w większości nadal jeszcze pozostaje niewykorzystane, idąc w powietrze, zamiast zasilić miejską sieć ciepłowniczą i ogrzewać miasto Opole (o 30% taniej niż obecnie), o co prezes Pękala do końca zabiegał u władz miasta, które jednak z tej oferty nie skorzystały.

W końcowej fazie budowy pierwszych czterech bloków, pod kie-

rownictwem prezesa Pękali zostały przeprowadzone prace badawczo-projektowe dotyczące zmiany technologii mających powstać kolejnych bloków 5 i 6, których efektem jest realizowana obecnie rozbudowa Elektrowni „Opole” o dwa nowe bloki energetyczne o mocy 900 MW każdy.

Warto dodać w tym miejscu, iż prezes Pękala był również autorem i współautorem kilku innych projektów racjonalizatorskich w energetyce oraz szeregu publikacji z dziedziny energetyki, a zwłaszcza na temat wpływu elektrowni na środowisko społeczne, ochronę środowiska i gospodarkę wodną. Współpracował też naukowo z kilkoma wyższymi uczelniami i należał do kilkunastu stowarzyszeń naukowych i branżowych.

Budowa elektrowni w dotychczasowym stanie czterech bloków zakończyła się w połowie lat 90-tych, już w nowej rzeczywistości polityczno-gospodarczej naszego kraju. Wtedy to Elektrownia „Opole” została przekształcona w spółkę akcyjną, a pierwszym prezesem jej zarządu i dyrektorem generalnym został Józef Pękala. Jakże się cieszył, kiedy po kilku latach ta wielka inwestycja, warta prawie 2 miliardy dolarów, sama się już całkowicie spłaciła własną produkcją energii elektrycznej.

A prezes Pękala pozostał do końca sobą – skromnym człowiekiem, bo chociaż jako szef wielkiej firmy miał stałe do swojej dyspozycji samochód służbowy z kierowcą, to jednak przez wszystkie 23 lata dojeżdżał do pracy koleją – jechał pociągiem z Kędzierzyna do Opola, skąd samochód służbowy zabierał go do elektrowni, a po pracy odwoził go na dworzec PKP w Opolu, skąd wracał pociągiem do Kędzierzyna.

Za swoje osiągnięcia w pracy zawodowej otrzymał kilka odznaczeń państwowych i branżowych, w tym m.in. Złoty Krzyż Zasługi (1974), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1982) i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (1998).

Prezes Józef Pękala dobrze zasłużył się Polsce!

Działalność prospołeczna i charytatywna

Każdą powierzoną swej pieczy elektrownię Józef Pękala traktował nie tylko jako przedsięwzięcie biznesowo-gospodarcze, ale i społeczne,





gdyż w polu uwagi miał nie tylko zysk, ale i człowieka, któremu gospodarka ma służyć.

Ponieważ tak nowoczesny zakład, jak nowopowstająca Elektrownia „Opole”, wymagał wykwalifikowanej załogi, której w początkach z niemającej tradycji elektrowniarnych Opolszczyzny nie sposób było pozyskać, dlatego trzeba było ściągnąć wykwalifikowanych pracowników z innych polskich elektrowni, dla których, staraniem prezesa Pękali, powstało nowoczesne osiedle mieszkaniowe w Dobrzenu Wielkim. Prezes Pękala chciał jednak kadrę przyszłej Elektrowni „Opole” oprzeć na ludziach miejscowych, których z upływem lat faktycznie coraz więcej zasilało załogę, aby dojść do obecnego stanu, gdy stanowią oni zdecydowaną większość ogółu pracowników, zaś Elektrownia „Opole” stała się dla mieszkańców powiatu opolskiego atrakcyjnym i pożądanym miejscem pracy.

Aby lepiej zintegrować pracowników napływowych z miejscowym środowiskiem Dobrzenu Wielkiego i okolicy już w początkach budowy elektrowni prezes Pękala zlecił kilku znanym i uznanym naukowcom – psychologom społecznym, socjologom, etnografom i historykom – z Instytutu Śląskiego w Opolu i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przeprowadzenie badań naukowych na temat wpływu budowy elektrowni na otaczające ją środowisko społeczne. Będące wynikiem tych badań ekspertyzy i opracowania były mu pomocą w poszukiwaniu najbardziej właściwych sposobów postępowania, mających na celu zachowanie lokalnej tradycji.

Dbał o godziwe wynagrodzenie za pracę dla pracowników elektrowni. W trosce o ich zdrowie wybudował dla załogi ośrodek wypoczynkowy w Pobierowie nad Bałtykiem i w Jamrozowej Polanie k. Kudowy Zdroju, której urokiem się zachwycił. Budował dla nich mieszkania, całe dzielnice budynków mieszkalnych – najpierw w Kędzierzynie, potem w Jaworznie, a w końcu w Dobrzenu Wielkim, Czarnowasach i Opolu. Jak mało który dyrektor umiał i chciał rozmawiać z każdym pracownikiem bez względu na jego stanowisko, dzięki temu znał swoich ludzi. Sam często był wśród załogi, tak podczas pracy, jak i corocznych obchodów Dnia Energetyka. Dlatego też ci zwykli ludzie oddali mu sprawiedliwość po tym, kiedy na ko-

niec jego pracy w elektrowni spotkała go niesprawiedliwość i wielka krzywda. Bo kiedy krótko po swoim przejściu na emeryturę, pojawił się w Elektrowni „Opole” na obchodach Dnia Energetyka, cała ponad 1000-osobowa załoga powstała z miejsc i na stojąco długotrwałą serdeczną owacją podziękowała mu za serce i wieloletnią pracę.

Chociaż z wykształcenia był inżynierem, to jednak pierwszorzędnie był humanistą, można by śmiało rzec – był człowiekiem renesansu. Był rozmiłowany w sztuce i literaturze, pięknej i historycznej, w poezji i muzyce, której często słuchał. Swoją wysoką kulturę osobistą łączył z kulturą słowa. Sam był mistrzem mowy polskiej, potrafił znakomicie pisać i ciekawie i dowcipnie opowiadać i przemawiać.

Dlatego miał tak silne poczucie misji w zakresie mecenatu nad kulturą, której wiele instytucji wspierał na różne sposoby. Iluż opolskich literatów, poetów, ale i ludzi nauki, ze względu na mizериę materialną, jego finansowemu wsparciu zawdzięcza publikację swoich utworów i opracowań w formie wydanych książek.

Swoje relacje zwłaszcza z zagranicznymi partnerami biznesowymi, jak choćby z koncernem Siemens, dostawcą automatyki dla pierwszych czterech bloków energetycznych i instalacji odsiarczania spalin w opolskiej elektrowni, układał prezes Pękala w sposób raczej niekonwencjonalny. Przyjaźniąc się z jednym z dyrektorów koncernu, p. Reinhardem Wetzlem (notabene obecnie też ciężko chorym), wspólnie zorganizowali koncert muzyki klasycznej na instrumenty dęte w opolskiej katedrze w wykonaniu zaprzyjaźnionych artystów niemieckich i polskich, który stał się wydarzeniem kulturalnym w mieście, gdyż ściągnął do katedry sporą rzeszę melomanów. A cały dochód z tego koncertu przeznaczył prezes Pękala na dołożenie się do ufundowania w katedrze sarkofagu ostatniego opolskiego Piasta, księcia Jana Dobrego i monumentalnych głównych drzwi wejściowych z brązu do tej świątyni.

Był bardzo wrażliwy na ludzką biedę, i to w różnych jej przejawach. Dlatego do końca pomagał, m.in. Domowi Pomocy Społecznej dla Niepełnosprawnych Dzieci w Czarnowasach oraz Wojewódzkiemu Centrum Medycznemu (oddzia-

łom: kardiologii, kardiologii i neonatologii), którym elektrownia podarowała kilkakrotnie wysokiej klasy sprzęt medyczny. Tak właśnie pojmował i realizował społeczną funkcję biznesu, którego czołowym liderem stał się w regionie.

Pomógł też wielu indywidualnym osobom, i to bez względu na posiadaną przez nie opcję ideową czy polityczną, jeśli zwracały się do niego o pomoc. W początkach stanu wojennego (pod koniec grudnia 1981 r.) udzielił poręczenia za kilku pracowników Elektrowni „Opole” – członków NSZZ „Solidarność”, którym groziło internowanie i tym sposobem uchronił ich przed więzieniem. Bo dla niego liczył się każdy człowiek. A pomagając ludziom w życiu ważnych sprawach realizował w ten sposób największe przykazanie – przykazanie miłości Boga i bliźniego, a przez to i swoje osobiste chrześcijaństwo.

Pomagał także w różnych, ważnych społecznie sprawach, nie tyle przez rozdawanie pieniędzy, bo tego prawnie nie mógł uczynić, ale poprzez swoją pomysłowość i niezwykły zmysł praktyczny i organizacyjny.

Taki był on w trakcie budowy kościoła bł. Czesława na opolskim Zadrzu, zlokalizowanym w trudnym geologicznie miejscu, ze względu na obniżenie i podmokłość terenu – była na tym terenie kurzawka – gdzie aby utwardzić grunt i podnieść poziom terenu wpadł na pomysł wykorzystania do tego, i to w znacznej ilości, będących produktem ubocznym eksploatacji Elektrowni „Opole”, bezużytecznych w tamtym czasie pyłów, które jeszcze wtedy nie były przemysłowo wykorzystywane. Dzięki jego decyzji około 12 tys. ton tych pyłów zostało nieodpłatnie zwiezionych na miejsce budowy kościoła i pomogło utwardzić i podnieść poziom tego terenu.

Dzięki jego pomocy postawiono na cmentarzu komunalnym w Opolu Półwsi wielki głaz-obelisk upamiętniający Golgotę Wschodu, a na Świętym Krzyżu w Górach Świętokrzyskich trzy wielkie Krzyże Kartyńskie.

A kiedy w latach dziewięćdziesiątych budowałem radio diecezji opolskiej (najpierw pod nazwą Radio Góra św. Anny, później Radio Plus, obecnie Radio Doxa), prezes Pękala poprzez swoich zaprzyjaźnionych fachowców pomógł mi w wielu spra-





wach dotyczących budowy budynku i całej szerokiej infrastruktury radia.

Pomógł mi także w 2000 r. przy wznoszeniu powstającego w czynie społecznym, pierwszego na Śląsku Opolskim pomnika św. Jana Pawła II na Górze św. Anny – najpierw w pozyskaniu, a potem i w zwiezieniu niezbędnych do tej budowy elementów granitowych – samochody dostawcze z zaprzyjaźnionej z elektrownią firmy transportowej zamiast puste wracać z Dolnego Śląska, dzięki prezesowi Pękali, mogły zabrać i przywieźć te elementy z kamieniołomów w Strzegomiu na Górę św. Anny.

To tylko niektóre z wielu przykładów jego życzliwości i okazanej innym pomocy.

Rodzina, lata emerytury, czas choroby

Przez 54 lata Józek wraz z małżonką Elą tworzyli razem kochające się szczęśliwe małżeństwo. W czasie krótkich urlopów Józka podróżowali – lubili zwiedzać Polskę i inne kraje. Jakże byli szczęśliwi kilkanaście lat temu, gdy mogli udać się do Rzymu i zostać przyjęci na audiencji przez Ojca św. Jana Pawła II.

Szczególnie zbliżyły ich lata emerytury, kiedy byli ze sobą razem już na co dzień. Wspólnie spędzali czas, odwiedzali rodzinę, przyjaciół i znajomych, pracowali w ogrodzie i domu, razem się modlili, uczęszczali na niedzielną mszę św., przystępowali do sakramentów świętych.

Ich dom był zawsze otwarty, pełen ciepła i ujmującej serdecznej gościnności. Chętnie odwiedzali ich krewni, przyjaciele i znajomi.

To właśnie wtedy, w trakcie tych radosnych spotkań w ich domu, zrodził się z początku żartobliwy pomysł udokumentowania znakomitych umiejętności kulinarnych Eli, przez spisanie stosowanych przez nią receptur kulinarnych i wydania ich w formie książki kucharskiej. Pomysł ten zmateriałizował się już całkiem serio niebawem w książce kucharskiej *Opolszczyzna w wielu smakach*, która pod moją redakcją ukazała się w 2012 r., i oprócz kilkudziesięciu przepisów autorstwa Eli Pękalowej objęła również około 2 tysięcy innych, przepisów kulinarnych na przysmaki kuchni domowej, zebranych od pasjonatów sztuki kulinarnej z całej Opolszczyzny, stając się wizytów-

ką kulinarną naszego regionu. Książka ta, jak i dwie kolejne równie wielkie i bogate treściowo, książki kucharskie, zawierające nowe, tzn. nie powtarzające się w pierwszej książce przepisy, wydane w kolejnych latach, każda w kilkutyśiącym nakładzie, bardzo szybko się rozeszły, a dochód z ich sprzedaży zasilił fundusz remontowy zabytkowego kościoła parafialnego w Prószkowie. Muszę szczerze wyznać, że gdyby nie pp. Elżbieta i Józef Pękalowie, od których „wszystko się zaczęło”, to nie byłoby tej „książkowej przygody z kulinariami”.

Niezapomniane były obchody ich imienin, kolejnych rocznic urodzin i tzw. okrągłych rocznic ich małżeństwa. Pamiętam zwłaszcza ostatnią rocznicę – ich Złoty Jubileusz Małżeństwa, obchodzony przed czterema laty na Jasnej Górze, w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie przed Jej Cudownym Wizerunkiem pp. Pękalowie mieli „swoją własną” jubileuszową mszę św., którą miałem radość celebrować.

W ten szczęśliwy czas spokojnego bycia razem wdarła się raptem przed trzema laty nieuleczalna choroba nowotworowa Józka. Musiał przejść kolejno trzy ciężkie operacje chirurgiczne, po których długo przebywał w szpitalu. Ten trudny czas chyba najbardziej scementował ich wzajemną miłość. Stale obecna była przy nim jego małżonka Ela, okazując mu miłość, wsparcie i pomoc. Wspierali ją w tym: rodzeństwo Józka wraz z rodzinami i rodzina ze strony Eli.

Nie zapomnę nigdy wspólnie przeżytej wigilii Bożego Narodzenia w 2014 r. przy jego szpitalnym łóżku, w którym Józek musiał zostać, prawie sam na oddziale chirurgicznym szpitala onkologicznego w Opolu, gdyż inni, lżej chorzy zostali zwolnieni do domu na święta. Wtedy Ela urządziła mu wieczerzę wigilijną w szpitalu. Wraz z dyżurną Panią Doktor, Józek, Ela i ja dzieliśmy się opłatkiem, a potem, wzruszeni całą tą sytuacją, głośno śpiewaliśmy kolędy, które niosły się po pustych salach i korytarzu szpitalnym...

Kiedy wydawało się później, że już będzie dobrze, bo choroba jakby ustąpiła, raptem w marcu bieżącego roku, Józek odczuł niespodziewanie jej nawrót. Nie ujawniał tego przed znajomymi. Miał cichą nadzieję, że i tym razem wyjdzie

z tego obronną ręką, że znajdzie się na to jakieś medyczne antidotum. I maja bieżącego roku obchodził uroczystie 80. rocznicę swoich urodzin w gronie rodziny i bliskich przyjaciół. Dzisiaj wiemy już, że było to pożegnanie. Kiedy czerwcowe wyniki jego badań okazały się bardzo niepokojące, przyjął sakrament chorych i kolejny raz trafił do szpitala onkologicznego. Był już jednak tak słaby, że nie można było zastosować chemioterapii. W środę 12 lipca 2017 r. wrócił do domu, gdzie krótko po tym stracił przytomność i mimo podjętej reanimacji zmarł na rękach Eli.

Ks. Andrzej Hanich – prof. dr hab., profesor zwyczajny w Państwowym Instytucie Naukowym – Instytucie Śląskim w Opolu, proboszcz w Prószkowie k. Opola.





HARRY DUDA

MIMO WSZYSTKO SMUTEK ZIEMSKI

*Pamięci wielkiego technokraty
i wielkiego humanisty –
mego Przyjaciela Józefa Pękali*

Chmurne niebo i żółcień piachu – kres cmentarny?
Twe życie pracowite, czyny serca chobre,
pamięć tłumu przy Tobie, a koniec tak marny?
Krzesałeś z węgla światło w cztery strony świata
niby przodek-odkrywca płomieni. I dobre
są nadal z tego drzewa owoce, a tylko
zapadlisko dziś czeka, przypadkowa data –
jak banał aż prostacki? Co BYŁO – jest chwilką?

Ułamkiem chwili, kiedy ziemi pierwsze grudki
na niebo z drewna spadną jak astro-przybysze
i nie zapłoną nawet? Cóż z tego, że nutki
jak wiersz liryczny trąbki – na przestrzeni trwają?
– Po nich biegają falami aż głębinne cisze:
kamień w wodę bez plusku na dnie studni czasu.
Słowa żałobne, wieczny odpoczynek, raju
obietnica, a smutku – ośmiornica.

Kędzierzyn-Koźle – Opole, 19.07.2017





Jubileusz Ryszarda Gabrysia

Tuż przed 75. urodzinami Ryszarda Gabrysia, które wypadają 2 grudnia, katowicka Akademia Muzyczna zorganizowała koncert utworów Jubilata, swego wieloletniego pedagoga. Na początek usłyszeliśmy w wykonaniu rektora Władysława Szymańskiego *Wstęp i fugę B-A-C-H* na organy – utwór napisany w okresie studiów Gabrysia u Bolesława Szabelskiego. Silnie dysonansowa harmonika, świadcząca o zafascynowaniu nowatorskimi środkami, została przez młodego twórcę użyta w służbie tradycyjnego stylu kościelnego. Kompozycja, słuchana w przeddzień 500. Reformacji, zabrzmiała jako manifest tożsamości autora, a zarazem podpowiedź w kwestii źródeł jego twórczości. Czerpanie z tradycji i jednocześnie odważne podążanie za tym, co nowe to dwie strony tej twórczości, nierozdzielnie związane ze sobą.

Pozostałą część koncertu wypełniły utwory znacznie późniejsze. Najmłodszy z nich: *Salomé-Satz* na sopran i kwartet smyczkowy, powstał w bieżącym roku i miał prapremierę na Festiwalu Prawykonanń NOSPR. Podjął w nim Gabryś swoją ulubioną grę, polegającą na „pisanii tekstu na tekście”. W tkankę utworu zostały wplecione mikrocytaty z opery *Salome* Richarda Straussa oraz rozliczne aluzje do stylu i ekspresji muzyki fin`de`siècle`owego Wiednia. Mowa muzyczna została wzbogacona o fragmenty poezji, m.in. Rilkego i Wagnera, jak również o elementy teatralne (solistka, odgrywająca postać Salome, manipulowała czerwonym szalem). Partię solową utworu wykonała Ewa Biegas, wkładając w swoją interpretację maksimum ekspresji. Towarzyszył jej Kwartet Śląski.

W koncercie wziął udział także syn Jubilata Aleksander – kompozytor, kontrabasista, performer, od lat związany z wybitną szwajcarską grupą grającą nową muzykę – Ensemble Phoenix Basel. Wykonał kompozycję z wczesnych lat 90., zatytułowaną *An die Freude*. To także „intertekst”, włączający cytaty z finału *IX Symfonii* Beethovena. Podlegają one defor-

Między nutami



MAGDALENA DZIADEK

macji, głęboko przekształcającej przesłanie oryginału – nadającej mu posmak ironiczny, wręcz przewrotny. W interpretacji *An die Freude* Aleksander Gabryś w pełni wykorzystał swój talent improwizatorski i aktorski.

Koncert zakończyło *Con-Clave* na klawesyn, kontrabas i kwartet smyczkowy. Usłyszeliśmy je w znakomitym wykonaniu szwajcarskiego klawesynisty Jürga Hennenbergera (jest on także członkiem grupy Ensemble Phoenix Basel), Aleksandra Gabrysia i Kwartetu Śląskiego. Ta pełna rozmachu kompozycja trudno poddaje się określeniom gatunkowym. Może należałoby ją określić – naśladując Hindemitha – jako koncert na 6 instrumentów, z tym, że kontrabasowi i klawesynowi zostały tu przyznaczone funkcje wirtuozowskie, zaś smyczkom – rola dobarwiania i kontrapunktowania partii wiodących. Niezwykle efektowna jest w *Con-Clave* faktura klawesynowa: ostro brzmiące klastery przeplatają się z finezyjnymi figuracjami, wykorzystane także zostały techniki gry bezpośrednio na strunach instrumentu, na koniec zaś wykonawca przechodzi od klawesynu do fortepianu. Jürg Hennenberger wykonał swoją partię z żelazną precyzją, umiejąc sprawić przy tym wrażenie wykonania na zupełnie „luzie”. Jawnie „na luzie” grał Aleksander Gabryś, wnosząc do całości element burszowskiego wręcz humoru.

Śląskie utwory na gdańskich „Nowych Falach”

Gdański Festiwal Muzyki Współczesnej „Nowe Fale” został założony przed trzema laty przez Andrzeja Dziadka, kompozytora niegdyś związanego z Katowicami, a obecnie pracującego w gdańskiej Akademii Muzycznej. W ramach festiwalu Dziadek podtrzymuje kontakt ze swymi śląskimi przyjaciółmi. W tym roku festiwal otworzyło wykonanie pieśni chóralnej Wiesława Cienciwały *Sola fide, sola scriptura, sola gratia*. Pomyślane zostało jako wkład w obchody 500-lecia Reformacji, które Gdańsk celebrował również uroczysto, jak Śląsk. Ta wzruszająca kompozycja została zaprezentowana przez gdański Chór Kameralny 441 Hz, pod dyrekcją Anny Wilczewskiej, we wnętrzu uratowanego od ruiny gotyckiego kościoła św. Jana, który obecnie łączy funkcję świątyni oraz centrum sztuki (jako Centrum św. Jana). Swoje wyznanie wiary, jakim jest *Sola fide...* napisał Cienciwała dość dawno, parę lat po ukończeniu studiów w klasie Józefa Świdra w katowickiej Akademii Muzycznej. Z tej samej klasy wyszedł również Andrzej Dziadek – świętujący w tym roku swoje 60. urodziny. Na fali nostalgii postanowił przedstawić gdańszczanom swój utwór dyplomowy – *Magnificat* na głosy solowe, chór i orkiestrę z 1986 roku. Dzieło zabrzmiało w murach Polskiej Filharmonii Bałtyckiej po prawie 30 latach nieobecności na estradach koncertowych. W roku 1988 prawykonał je Jerzy Kosek z Filharmonią Śląską, wykonaniem tegorocznym dyrygował Marcin Nałęcz-Niesiołowski. Po latach stały się bardziej czytelne źródła muzyki *Magnificat*. Brzmiały w niej mianowicie silne echa muzyki Pendereckiego, który był jednym z najważniejszych autorytetów dla katowickiej młodzieży kompozytorskiej z lat 80. W kompozycji ukryte są ponadto liczne nawiązania do muzyki baroku i klasycyzmu. W sposobie ich wprowadzania podobny był autor dzisiejszym kompozytorom tworzącym pod hasłami intertekstualności.





O poezji Teresy Ferenc

Fot. Zbigniew Jankowski



Opuszczona przeszłość

MARTYNA DYMON

We wspomnieniach Zygmunta Klukowskiego – lekarza działającego na Zamojszczyźnie – rok 1943 rozpoczyna się krótkim stwierdzeniem: „Ogólny nastrój jest dobry. Wszyscy są pewni, że zaczął się ten upragniony rok, w którym wojna narzecz się skończy”. Na ile sylwestrowe życzenia oraz nadzieje okazały się płonne w skutkach, zauważyć można już w kolejnych akapitach. Autor dziennika opisuje intensywną akcję partyzancką polskiego wojska, którą z niekrytym rozrzewnieniem, porównuje do sytuacji z powstania styczni-

wego: „I wtedy – też w styczniu – młodzież polska poszła «do lasu», uciekając przed branką Wielopolskiego”.

Przez kolejne miesiące dochodziło do niekończących się starć z obu stron. Na terenie zajęтым przez okupanta, miały miejsce analogiczne sytuacje jak w innych częściach kraju: łapanki, tzw. „akcje likwidacyjne”, sabotażowe oraz napady bandyckie. Po kilku miesiącach doszło do prowokacji ze strony Niemców, którzy przebrani za partyzantów, usiłowali nabyć broń. Zostali rozpoznani przez AK; jeden z nich zginął, drugiemu udało się

ucieć. Kilka dni później – 1 czerwca 1943 roku we wsi Sochy, oddziały Schupo rozpoczęły mord trwający według świadków od dwóch do trzech godzin. Dewastowali oraz podpalali wszystko, co stało im na drodze. Zniszczenia były tak ogromne, że po wojnie Sochy zostały określone jako jedne z najbardziej zrujnowanych miejsc podczas II wojny światowej. Spacyfikowana wieś stała się nie tylko kolejnym czerwonym punktem na mapie działań wojennych, ale to także miejsce, od którego zaczyna budzić się świadkom pamięć o przeszłości.

Tego letniego dnia życie straciło około dwustu osób, a wieś dosłownie przestała istnieć. Jedyne nielicznym udało się uniknąć śmierci. Jedną z owych szczęśliwych osób była Teresa Ferenc. Dziewięcioletnia wówczas poetka była świadkiem śmierci rodziców. Masakrę udało jej się przetrwać u dziadków wraz z dwójką rodzeństwa (po wojnie przebywała także u różnych krewnych oraz w domach dziecka). W swoim życiu wielokrotnie zmieniała miejsca zamieszkania. Dopiero w roku 1975 osiadła w Sopocie, w którym nadal mieszka z mężem. Przez lata współtworzyła grupy poetyckie oraz stowarzyszenia m.in. Grupę Poetycką „Reda” oraz Klub Literacki „Kontakty”.

Wydała wiele tomików, które w większości opierają się na osobistej próbie zmierzenia się z własną, tragiczną przeszłością. Twórczość Ferenc w żadnym wypadku nie powinna być sprowadzana jedynie do nurtu poezji rozrachunkowej, ponieważ sama w sobie nosi znamiona odgórnej niemożliwości zamknięcia tematu. To poezja, która wynika z przekonania o bezczasowości wspomnień oraz z Ingardeńskiego naginania tego, co „teraz czynię, do zdarzeń i wypadków, które choć przeszły, to jednak były, a dokonawszy się raz i ożywione pamięcią, ciężą nad mą terażniejszością”. Sama poetka mówi w rozmowie z Henryką Dobosz, dlaczego temat Zagłady został przez nią poruszony dopiero po czterdziestu latach. Wspomina, że było tak, „jakbym w zwykłej siatce ze sznurka przenosiła rozżarzone węgle, treść przepalała słowa. Nie byłam w stanie znaleźć formy, dopóki nie wystudziłam w sobie tematu, a to zajęło mi aż tyle lat”.

Utracona we wczesnym dzieciństwie wieś powraca stale w tejsze poezji, przede wszystkim w tomach *Wypalona dolina*, *Moje ryżowe poletko* czy *Ogniopis*. Staje się niejako centralnym punktem – emblematem pamięci, z którego czerpie inspirację i do któ-





rego wszelkimi sposobami próbuje wrócić. Poetka przywołując Sochy, nie skupia się jedynie na wykreowaniu utraconej przestrzeni. Co prawda, wykorzystywanie elementów przyrody sprawia, że odwzorowywanie wsi ma charakter mimetyczny (biologizm tej poezji wynika m.in. z potrzeby podkreślenia, że wraz z utratą bliskich uległo zmianie także samo miejsce), ale przede wszystkim skupia się na odtwarzaniu przeszłych, zapamiętanych sytuacji, które pozwalają na ulotne przebywanie ze zmarłymi rodzicami.

Relacje z bliskimi są dramatyczną próbą pamiętania. Istotną postacią, która najczęściej pojawia się w wierszach jest figura matki, która w poezji jawi się jako żywa, zamknięta w przestrzeni wyobraźni, w której czas został zredukowany do kluczowego momentu, tuż przed zagładą. Co ciekawe, Ferenc zawsze przedstawia rodziców jako nieme ofiary, nie skupia się na ich osobowościach, a na pozornie niezmiennym świecie dzieciństwa nakładają się obrazy nadchodzącej apokalipsy wojny. Niemożliwość oddzielenia owych dwóch światów: sprzed i po tragedii, sprawia, że bohaterka autorki żyje w cieniu zmarłych; zostaje uwięziona z ofiarami. Stąd też wynika owe permanentne związkiwanie pozytywnych wspomnień z nadchodzącym w wierszach całunem śmierci.

Odpominanie utraconego dokonuje się w poezji Ferenc poprzez zmysł wzroku. Niemożliwość zobaczenia po raz kolejny znajomych miejsc oraz osób sprawiła, że poetka wypracowała fotograficzną zdolność postrzegania świata. Wzrok w związku z tym jest kluczowy w procesie mnemotycznym, co podkreśla poetka w *Modlitwie do bliskich*: „Z wyobraźnią tak nagle / ze światem przetworzonym / idę rzucana do zenitu / we własne skupienie. / W soczewce pod powieką płonę”. Mimo, że powrót do przeszłych wydarzeń staje się udręką, to jednak znaczenie tego zmysłu jest nieocenione. Dzięki niemu możliwa jest w wyobraźni kreacja przeszłości podczas pracy pamięci. W związku z tym, proces powrotu do przeszłości, przypomina sięgnięcie po starą, rodzinną fotografię. Świat początkowo wydaje się niezwykle realny, pozwala przypomnieć sobie, że coś kiedyś istniało. Autorka z precyzją malarza kreuje rodzinną przestrzeń, wykorzystując do tego bliskie elementy, tzw. „reminders” – wskaźniki przypomnienia, którymi najczęściej bywają chusta matki, brama oraz lampa – która zawsze będzie u Ferenc oznaczać tłącą się nadzieję, formę złudnego zapew-

nienia, że jej dom nadal trwa. Owe przedmioty podkreślają swoistego rodzaju granicę świata utopijnego, do którego wydarzenia tragedii nie mają wstępu. W wierszu *Sen II* poetka wykorzystując znajome rzeczy, wykreowała przestrzeń na podstawie alternatywnych wersji wydarzeń wpisanych w kulturę: „wszyscy Bogowie bardzo się kochali / nienawiści nie pamiętał żaden człowiek / sobory odbyły się o wiele wcześniej [...] Króla Heroda pochowano pod progiem / Judasza jeszcze się nie dobudzono / Drzewa spokojnie sobie rosną / żadnemu nie przyśni się / być dla Boga krzyżem / poza tą bramą / poza matczyną chustą”. Wskaźniki przypomnienia stają się elementami, będącymi symbolami miejsca niezmiennego. Natomiast próba wpisania tragedii w szerszy, zmieniony historycznie kontekst, podkreśla jeszcze bardziej bolesność pamięci o przeszłości.

Interesująca jest również próba sakralizowania wspomnień. Poetka po latach zaczyna postrzegać tragedię w znacznie szerszym kontekście, próbując tym samym wpisać zagładę w wyższy porządek. Ferenc jednoznacznie postrzega matkę jako postać, „której aureoli / nikt nigdy nie widział / a wszyscy modlą się do niej / poeta wierszem / syn starością schylony / córka nowo narodzonym dzieckiem” (*Stara matka*). W innych wierszach zwraca się do matki jako do świętej, w których wykorzystuje charakterystyczne dla litanii apostrofy w formie peryfraz: „Matko tego gniazda / Matko tego drzewa / Opiekunko tych ptaków / Naczynie tego powietrza / Aureoli tych promieni” (*Litania do matki*). W tych fragmentach wybrzmiewa nie tylko sakralny charakter sytuacji, ale poetka zaznacza także, że rodzina jest nierozzerwalnie związana z obszarem wsi. Zagłada miejsca zamieszkania prowadzi w wyobraźni do całkowitej destabilizacji rzeczywistości. Ponadto utrata dokonuje się nie tylko w sferze natury, ale także w złączonej z nią przestrzeni *sacrum*. We *Wsi skamieniałej* Ferenc napisze: „Wyparowuje anioł znad kołyski/ zrywają się ptaki ze ścian/ święty Franciszek im sufit otwiera”. Ten fragment uwypukla jeden z centralnych motywów poezji Teresy Ferenc – mianowicie poszukiwanie nazwy dla miejsca, które żyje w niej samej, które pozornie nadal jest jej domem. Podmiot poprzez funkcjonowanie w kalkach historii, przestaje być „teraz”, ale również nie potrafi uchwycić do końca przestrzeni, w której za wszelką cenę usiłuje funkcjonować.

Teraźniejszość przestaje mieć znaczenie, ponieważ jest nieuchwytną granicą – o czym wspominał już św. Augustyn – między przeszłością a przyszłością. Liczy się tylko przeszłość, która – podobnie jak u Romana Ingardena – „jest [tak dalece] w każdorazowej mej terażniejszości, że potrzeba osobnego aktu, żeby się wyzwolić od jej ucisku. Jak gdyby nie minęło to, co przeszło, jak gdyby nie było czasu”.

W wierszach problem dookreślenia przestrzeni zajmuje szczególne miejsce w wyobraźni poetki. Imaginacja pozwoliła Ferenc na indywidualne zmierzenie się z tragicznymi wspomnieniami, a jej sposób kreacji obrazów, dzięki którym nawiązuje do przetrwanej apokalipsy, staje się oryginalną próbą przedstawiania walki z traumą wojenną. Przejawem tego staje się wykorzystanie metaforyki Wielkiego Wozu, który – jak pisze – „Zjeżdża z moją wsią”. Czas obowiązujący w przestrzeni wspomnień, został uwikłany w pracę wozu, prowadzonego przez figurę Śmierci. Ferenc, uzależniając pamięć od poetyckiej wizji wsi ciągniętej przez wóz, ożywia średnio-wieczny motyw triumfu śmierci. Poetka reinterpretuje klasyczny schemat. Kostucha w wierszach nie odbiera życia bliskim (w tradycyjnym ujęciu wóz był prowadzony przez Śmierć, która objeżdża ziemię, zabierając kolejnych ludzi), lecz niejako wyrwywa z ziemi całą wieś. Ponadto Ferenc w wierszach podkreśla wyższość Śmierci nad innymi postaciami. Pisze, iż jest niczym „panicz / na snopku słomy / z białą płachtą nieba”. Stosunek podmiotu do kostuchy charakteryzuje się pokorą oraz dystansem, mimo że w niektórych wierszach zwraca się do niej jak do wiernego towarzysza, którego los na wieczność został spleciony z życiem osoby mówiącej w wierszu. Okazuje się także, że przestrzeń rodzinna, która wydawała się uchwytana na poziomie wyobrażenia poetyckiego, przestaje być osiągalna ze względu na działalność kostuchy. Podmiot Ferenc w związku z tym jest uwikłany w pracę Śmierci. Konstatuje słowami: „Wprzęgnięta w niego jak żrebię / wiecznie płaczą mu się u kół”. Z jednej strony, osoba mówiąca w wierszu próbuje za wszelką cenę zatrzymać wóz, ale jednocześnie to przez nią pojazd nigdy nie opuści sfery, w której się znajduje, ponieważ byłoby to równoznaczne z porzuceniem części własnej tożsamości. Ponadto nie sposób jednoznacznie stwierdzić, gdzie znajduje się wóz ze wsią; ciągle wymyka się jakiegokolwiek pró-





bie określenia miejsca. Nie zostaje wpisany w żaden tradycyjny schemat przestrzenny. Poniekąd zdaje się być uwikłany w przestrzeń *eonu* (gr.: *aion*), który był rozumiany przez Arystotelesa jako byt zawsze żyjący poza przepływem czasu. Określany jest także jako coś pośredniego między czasem a wiecznością; podobnie jak czas ma początek, lecz nie upływa. Stąd też pozostaje stwierdzić, że odebrana wieś nie znajduje się w żadnej konkretnej oraz ułatwiającej zrozumienie rzeczywistości.

Co ciekawe, przywoływana figura wozu, wyraźnie nawiązuje do rzeczywistej sytuacji zagłady. Anna Janke opisuje w *Małej Zagładzie* wspomnianą przez matkę sytuację, w której dziewięcioletnia Teresa wraz z rodzeństwem chowa się pod wozem w trakcie ostrzału. Pojazd okazał się schronieniem dla przyszłej poetki. Niemniej, we wspomnieniu kluczowy jest fakt, iż Ferenc z perspektywy przebywania pod wozem, widziała ginących dookoła ludzi, upadających wokół. To zapewne jeden z powodów, który sprawił, że wóz utracił swój pierwotny, pozytywny charakter. Zatarłe zostało postrzeżenie pojazdu w kategorii osłony przed złem – nadchodzącą śmiercią, a istotny natomiast staje się motyw wozu, rozumiany jako symbol tragedii. Podobnie jest z twórczością Teresy Ferenc, która przez lata wspólnego trwania z figurą Śmierci, doprowadziła do niemożliwości oderwania szczęśliwych wspomnień od tragicznych. Owa relacja sprawia, iż dokonuje się stopniowe zanikanie pracy pamięci: „Przyłożyłyśmy się do siebie / czterdzieści lat temu / i dokładamy / do języka niemowę / do oczu bielmo / do palców niemoc /

do uszu głuchotę” (*Do śmierci*). Wspólna zależność podmiotu autorki oraz Śmierci, otwiera imaginację na kolejną próbę zatrzymania fragmentów przeszłości dla siebie. Miejscem, które przekształca się w wyjątkowy azyl pamięci zostaje dom – obszar najbardziej znany, pełen poprzedniego życia, mimo braku fizycznego potwierdzenia. Budowla jednakże wymyka się tradycyjnemu postrzeganiu go w kategoriach budynku, zbudowanego z czterech ścian, dachu, drzwi oraz okien, w którym przebywa utracona rodzina. Staje się on żywym miejscem, mimo że – jak zauważa A. Pawlik-Kopek – „bywa pusty, to ciągle trwa”. Trwa w pamięci poetki w sposób szczególny. Dom nie jest konstrukcją stałą czy ukończoną, to przestrzeń, którą podmiot dopiero buduje, niejako stwarza na nowo. Istotnym w związku z tym jest podkreślenie, że bohaterkę Ferenc charakteryzuje determinacja w ponownym konstruowaniu budynku. Tworzenie odbywa się natomiast przez wykorzystanie zasobów natury. Rezygnacja z materiałów wytworzonych przez człowieka i tym samym, stawianie budowli na tak osobliwym materiale, jak: glina, ślina czy rośliny, staje się manifestacją przekonania podmiotu, iż jedynie naturze można ufać. Bohaterka z wiersza *Dziewczynka buduje dom*, „by nie popękał żywy jeszcze mur / lepiła następne piętra z ptasiej gliny”. W *Psalmie o szczęśliwej* natomiast „śliną zaklei szparę w drzwiach”. Figura domu została zintensyfikowana – odznacza się nadmiarem, niemożliwym do powstrzymania. Budowlę wysiewa się, lepi, ale także pączkuje i tym samym wychodzi poza swoją przestrzeń. Osoba, która dom pragnie przywrócić

jest dziewczynka, która jest w nim niezwykle silnie „ukorzeniona”, odczuwa również powinność, by za wszelką cenę go utrzymać. Dziecko wchodzi w rolę „opiekunki”, która wraz z budynkiem dojrzewa. Okazuje się jednak, że wytrwałość oraz pokłady czułości nie wystarczą, by dom ochronić przed kataklizmem. Elementy przestrzeni ożywione przez somatyczność, zaczynają krzyczeć, wołać, a czasem pragnąć krwi, jak w *Domu na oddechu*: „Dom z krwi i ciała / nie opuszcza mnie / krzycząca podłoga / wołająca ściana / drzwi skrzypią z braku / kropli krwi w zawiasach / ramy w oknach się patrzają”. Fantazmat staje się w wyobraźni naturalnym znakiem przeszłej apokalipsy; jak pisze M. Dąbrowska: „jest miejscem i znakiem śmierci”.

Nasuwa się pytanie o celowość stwarzania domu, którego każda ponowna próba zaistnienia nierozetwalnie jest związana z pamięcią o apokalipsie, i tym samym odgórnie zmusza do powrotu w tragiczną przeszłość. Odpowiedź tkwi w dziewczynce, która podejmując decyzję o pozostaniu w domu, postanawia także mimo bolesnego powrotu, odnaleźć i zrozumieć własną historię. Bohaterka pragnie dojrzewać niczym ziarno – dyskretnie i powoli, gdyż wyrwanie domu rodzinnego pozostawiło niezapełnione miejsce w kreowaniu tożsamości podmiotu. Roman Ingarden w *Księżeczce o człowieku* napisał: „Kimże [...] jestem w tych wszystkich przemianach i zmiennych perspektywach czasowych? Czym jest owo „ja”, które mimo wszystko transcenduje te wszystkie przemiany i perspektywy i które mimo ciasnoty terażniejszości [...] wydaje się jednak trwałe i istnieć? Czyż w ostatecznym obrachunku nie jest ono niczym innym jak tylko fantomem, zwidem wytworzonym przez moje życie w terażniejszości i moją wiedzę o przeszłości i jej różnorodne wyglądy czasowej perspektywy?”

Kim jestem? Kim stałam się po przeżyciu rodzinnej apokalipsy, czy cokolwiek pozostało z przeszłej mnie w terażniejszości? Zdaje się, że poezja Teresy Ferenc poniekąd wynika z głębokiej potrzeby odpowiedzi na tego typu pytania. Priorytetem staje się zrozumienie własnej osobowości. Pozwala tym samym postrzegać autorkę jako poetkę *mneme*, która dotykając przeszłości, godzi się nie tylko na ponowne przeżywanie cierpienia, ale również akceptuje nieskończenie istniejący oraz trwały charakter relacji ze śmiercią. ■





MARCIN HAŁAŚ

IN MEMORY

Józef Waguś (1929-2014), murarz, ze Lwowa, twarz pomarszczona i czerstwa jak pumeks, albo suchy ciemny chleb w kolorze gliny. Ile nikotyny przeszło przez jego płuca, ile alkoholu zmielonego w pokornej pracy wątroby. Ile cegieł, zaprawy, ruchów kielni i potu na plecach, niczym w *Balladzie Miłosza*: „*Pod obłokiem krzyczeli murarze, podciągali w górę nowe domy.*” Dzieciństwo, drewniana zabawka wystrugana przez ojca, pierwsza komunія, pierwszy pocałunek, pierwsza kobieta. Pierwszy dom, dziesiąty dom, setny dom – taka jest praca murarza, nie wiem czy posadził drzewo, ale spłodził syna i córkę.

Szwagier mej babki, wujek Józek,

z którym spotykaliśmy się w przelocie, na ulicy, albo cmentarzu. I teraz przyszło zakończyć to wszystko, zatknąć wiechę na gmachu życia: syn umarł dwa lata temu, więc teraz jego – Józefa Wagusia, lat 85, zamieszkałego Beuthen O/S (w przekładzie na polski: Bytom, Górny Śląsk) – dopada śmierć. Skrada się tyłem jak w wierszu z dzieciństwa: *Idzie rak nieborak... Zachodzi ukradkiem, ma mocne szczypce.* Wujek Józek nie chce umierać w szpitalu. Umiera w domu córki, wdowy, leżąc w łóżku, przymykając oczy, czekając na to, co przyjść musi. *Idzie rak nieborak, idzie noc, idzie ból...*

Józef Waguś, murarz ze Lwowa, lat 85,

dwa tygodnie przed śmiercią, leżąc w łóżku, bezbronny jak dziecko uśmiecha się znowu – jak dziecko. Ma spokój na twarzy, kiedy córka na starym adapterze odtwarza mu lwowskie piosenki: „*W dzień deszczowy i ponury...*”, „*Bo gdybym się jeszcze urodzić miał znów...*” Z takim uśmiechem u Prusa umierał Ignacy Rzecki, subiekt z Warszawy, lat pięćdziesiąt kilka.

Świat zmniejsza się do średnicy srebrnego pieniążka.

A my wciąż trzymamy w rękach
szeleszczące

banknoty.

22 III 2014

WARSZAWA ZACHODNIA, SZORSTKI JĘZYK

Nienawidzę tego dworca. Nie tylko za to, że pociąg do Katowic znowu się spóźnił i cały wiersz uleciał w niebyt. Nienawidzę kiepskiego eklektyzmu, pomieszania najgorszych czasów i smutku pożegnania. Na tym dworcu padają sobie w ramiona Gomułka i Gierek, Balcerowicz i Wilczek zwarci w uścisku architektury i szczęk – budek z czasów handlu na polowych łózkach elektroniką przywiezioną z Zachodniego Berlina (świata).

Nienawidzę tego dworca, gdzie wkoło słyszę język banderowski.

Oni stąd odjeżdżają, tu przyjeżdżają, opanowali to miejsce Ukraińcy, czują się jak u siebie. Już tak daleko podeszli. Nie po San (*Znaj, Lasze...*), ale już za Wisłą ich dworce.

Ich toboły, sprzętania, budowy, ich gazety z lewa i prawa. Nienawidzę tego dworca za wulgarny gwar, obojętność i coś gorszego niż sterylny chłód: brudny

pośpiech. Nienawidzę tego dworca, bo tu się żegnamy, stąd odjeżdżasz, tu gorzkie chwile.

Pewnie bym lubił gołębie, zastygłe retro dawnych lat, nawet niby śpiewny szorstki język banderowców, mroczne korytarze, budki z zapiekankami, hazardem i piwem. Wszystko mógłbym polubić. Gdybym tylko w tym miejscu nie musiał Ciebie tak gorzko żegnać

(*Ojczyzno?*)

4 X 2014





MARCIN HAŁAŚ

JECHAĆ DO WILNA

dla Pani Marty Borzęckiej.
(z Zagajewskiego oczywiście)

Jechać do Wilna. „Z którego dworca jechać do Wilna, jeżeli nie we śnie, o świecie, gdy rosa na walizkach i właśnie rodzą się ekspresy i torpedy”. Jechać do Wilna. Z konkretnego dworca, określonego peronu, autokarem z wi-fi i klimatyzacją, z biletem nabytym przez Internet, ze zniżką za wczesne kupno i lojalność wobec przewoźnika. Z Dworca Zachodniego w Warszawie, gdzie wśród gierkowskiego marmuru i współczesnego brudu przewala się tłum ukraińskich opiekunek, sprzątaczek, dziewcząt, robotników rolnych, budowlanych, cwaniaków ze Wschodu, „i grzmiących sotni gwizd kozackich” i język ich – nie nasz. Nie nasza przyszłość, nie nasze dziś, więc tylko przeszłości nam nie zabiorą. Więc jechać do Wilna, bo Wilno wrastało zawsze w papier i krew, wylewało się z Inwokacji, szumiało w ciepłych liściach lata na Rossie, brązowało dojrzewającymi kasztanami jesieni, było w każdym wierszu, słowie, portrecie Marszałka i pyłku, który osiadał i ścielił się delikatnie u stóp Tej, co w Ostrej świeci Bramie. Więc przeżył się w mundurze szarym jak strzelca strój generał Lucjan, szablę ścisnął w dłoni; kurczyła się pokornie siostra Kowalska z różańcem w palcach niczym z mieczem, gotował się bunt w celi Konrada, słowa zapomnianych dziś wierszy składał w linijki Tomasz Zan. Wylewało się Wilno z podręczników i serc, bluszcze, kwiaty i chwasty, skowronki i trzmielce, białoczerwone barwy i pierwsze astry jesieni pachniały tym miastem. Śpiewny zaśpiew, imiesłowy uprzednie, mowa kresowa wiązana lipowym łykiem, jak smak miodu, jak orzech laskowy, wiśniowa gałązka, ciemny sok wiśni. Wilno było zawsze i wszędzie – a teraz jest Wilno jak miłość, która znika, ustaje, nie dość wytrwała, jak krótkie tylko uderzenie w tak pięknie brzmiący cymbał miedzi. Mogłoby być Wilno wszędzie, gdzie my jesteśmy; ale skoro nie ma już nas „spokojnych i czystych jak brzoskwinia”.

Wilno nie istnieje.

31 VIII 2015





Wśród wierszy Feliksa Netza mocno zakorzenionych w świecie kultury znajduje się *Teatr jak teatr*, który zaczyna się od następującej wypowiedzi:

--- z tej sceny
 błyskał szpadą Ruy Blas, szerzej
 znany jako Fan-Fan; z warg mima
 z filmu *Komedianci* schodziły
 francuskie słowa w majestacie
 frazy Racine'a; [...]
 [...] z tej sceny patrzyły na mnie
 żarzące się lodowatym blaskiem
 oczy Fantazego, w trójkątnej twarzy
 Gustawa Holoubka [...]

Wiersz ten pomieszczony został w ostatnim tomie poetyckim Feliksa Netza *Krzyk sowy*, wydanym w roku 2014, uznanym przez wielu krytyków za najwybitniejszy w dorobku poety (Netz debiutował, przypomnijmy, w 1968 roku zbiorem *Związek zgody*). Przedmiotem uwagi w niniejszym tekście jest właśnie ów tom; w zawartych w nim utworach zapisane zostały doświadczenia autora jako uczestnika ważnych wydarzeń współczesnego świata oraz jako wrażliwego odbiorcy i kreatywnego twórcy kultury.

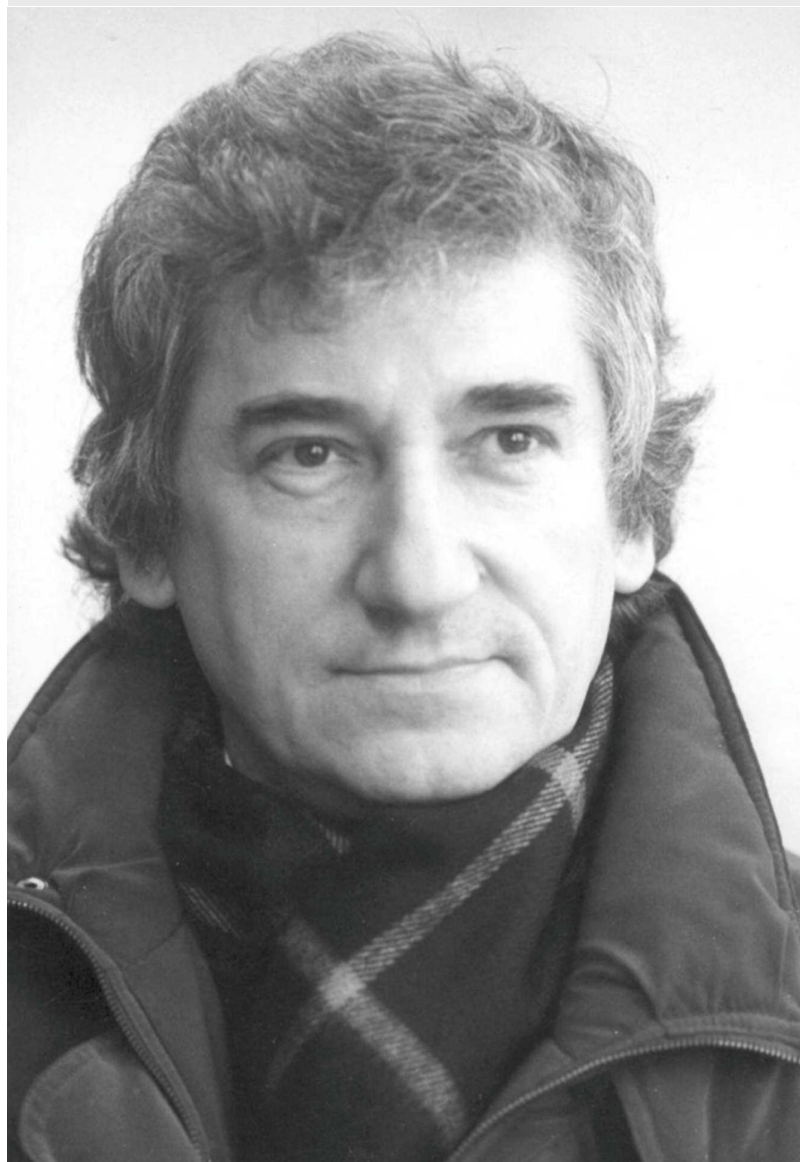
Przytoczony wiersz jest jedną z wypowiedzi współtworzących gorzki monolog poety o meandrach historii – scena będąca miejscem przeznaczonym dla sztuki staje się tu sceną, na której rozgrywa się los narodu w czasie, gdy „upadło Imperium Zła”. Ale historia się nie kończy, bo i zło się nie kończy, odradza się „z jeszcze większą/ wściekłą siłą”. Gorką wymowę wiersza ujawniają pełne ironii, ostatnie słowa:

Artysta łamane przez polityk rozłożył
 ręce w geście poczciwej wyrozumiałości
 dla historii, która, jak stwierdził jeszcze jeden
 pozyteczny idiota, właśnie się skończyła.

Twórczość Netza – jak i jego osobista biografia – od początku uwikłana była w historię: w historię Śląska, Polski i Europy, zwłaszcza jej wschodniego krańca. Z krwiobiegiem losów zbiorowości powiązał mocno Netz własne słowo poetyckie w tomie *Wir* (z 1985 roku): „Nie ma odwrotu: / oko za oko / krew za wiersz”.

Utwory z tomu *Krzyk sowy*: *Śmierć w Kutach*, *Śniła mi się Polska*, *Ten drugi*, *Krzyk sowy* i inne ukazują, jak mocno twórczość ta naznaczona jest myśleniem historycznym, ale i kulturowym. Wiersz *Śniła mi się Polska* opublikowany w „Śląsku” w roku 2014, opatrzony był dedykacją: „Pamięci generała Augusta Fieldorfa (Nila) i rotmistrza Witolda Pileckiego” (w wersji książkowej nie ma tej dedykacji). Historią naznaczona jest świadomość podmiotu wierszy; przeszłość przyniosła doświadczenia, które na nowo sytuowane są w jego własnej, prywatnej przestrzeni i w nurcie współczesności. W recenzji tomu Elżbieta Dutka napisała: „Netz zwraca się w swoich ostatnich wierszach ku konkretnym biograficznym, historycznym, geograficznym, przywołuje postacie historyczne,

O wierszach Feliksa Netza



Fot. Józef Chojtkowski

Poeta w świecie kultury

ELŻBIETA HURNIK





zbiorowe mity i traumy, dyskusje, spory współczesne i z przeszłości, a tuż obok nich zamieszcza osobiste wspomnienia, często znane już z innych, wcześniej opublikowanych utworów”. Jest też Netz pisarzem mocno związanym z historią polskiej i europejskiej kultury, która stanowi dlań nieustanny układ odniesienia i podstawowe tworzywo literackie, która stwarza fundament i wykładnię jego myślenia o świecie.

U podłoża tej postawy leżały bez wątpienia szerokie zainteresowania Feliksa Netza, profesje i role, jakie odgrywał w kulturze; śledził literaturę i film, politykę i zachodzące wokół zmiany, tworzył słuchowiska i felietony radiowe. Zanurzony był w szerokim strumieniu zjawisk kultury mocno związanej ze świadomością narodową, otwarty na to, co niesie współczesność. Interesował go tragiczny los pisarzy i artystów, jak dowodzą eseje oraz utwory poetyckie takie, jak na przykład *Chodasiewicz*.

Wiersz *Teatr jak teatr* stanowi zapis refleksji na temat historii; ujawnia także, w jaki sposób autor buduje swój poetycki światopogląd, odwołując się do pisarzy, w tym do Racine’a czy do Josifa Brodskiego, który „niczym/ kantor w synagodze, wyśpiewywał/ wiersze o kampanii zimowej/ w Afganistanie”, do bohaterów literackich (Ruy Blas, Fantazy), do świata filmu i teatru (*Komedianci*), zatem – do różnych sektorów kultury, do różnorodnych jej fenomenów. Nawiązania te wzmacniają rangę podejmowanych tematów dotyczących współczesności i tradycji bądź wchodzą w dyskusję z powszechnym sposobem myślenia, ujawniają sposoby odbierania świata przez poetę.

Zabiegi tego rodzaju nie sprowadzają się jedynie do erudycyjnych popisów, do finezyjnego inkrustowania poetyckiej wypowiedzi błyskotliwymi stwierdzeniami i analogiami – w posługiwaniu się znakami kultury tkwi głęboki sens poezji Feliksa Netza. Poszukując prawdy o człowieku i o sposobach jego istnienia w świecie (co widoczne jest już w zbiorze *Z wilczych dołów* z 1973 roku), konfrontuje on czytelnika ze świadectwami, jakie jednostce i zbiorowości wystawili wielcy twórcy. W wierszach z różnych okresów twórczości pojawiają się nazwiska pisarzy, którzy uformowali świadomość poety. Przed kilkoma laty (w tekście poświęconym Różewiczowi) Netz jednoznacznie wskazał twórców najważniejszych dla polskiej kultury, tych, którzy kształtowali i wzbogacali język poetycki: „Trzech poetów wywarło największy wpływ na charakter polskiej poezji: Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz i Tadeusz Różewicz”. Przywiązanie do tej tradycji znalazło odzwierciedlenie w materii lirycznej. W przywołanym wcześniej tomie *Wir* znalazł się wiersz *American Graffiti* (opatrzone na końcu adnotacją: „N. Y. czerwiec 1980), zawierający znamienne wyznaczenie, swego rodzaju deklarację przynależności do kultury sygnowanej tu nazwami miejsc związanych z biografią wielkich poetów:

[...] chodzę
traktami Manhattanu, a kiedy przystanę, słyszę
jak ocean ciężką łapą uderza o skalisty brzeg,
ale ten grom rozpala tutejszych poetów,
nie mnie,
bo oni od dziecka znają mowę żywołów,
ja jestem z rumowiska ksiąg, których
nie rozumie nikt
prócz guślarzy, z Nowogródka i Czarnolasu;
z powiatów zalanych łzą.

Poeta przynależał do pokolenia startującego u schyłku lat sześćdziesiątych, uczestniczył w życiu kulturalnym obfitującym w interesujące zjawiska. Jego język poetycki, zawdzięczający wiele okresowi eksperymentowania w polskiej poezji, cechowała od wczesnych utworów precyzja i jednoznaczność w formułowaniu myśli. Netz, jak odnotował Krzysztof Karwat, „wpasowywał się w reguły i poetyki obowiązujące na przełomie lat 60. i 70., był wychowankiem tej epoki, choć w kolejnych dekadach wołał odwoływać się do swojego dzieciństwa i wczesnej młodości, a także do literatury, raczej właśnie wówczas powstającej [...]”. Otwartość na zjawiska zachodzące w otaczającym świecie, w literaturze i kulturze przejawia się w twórczości Netza w bogactwie inspiracji artystycznych.

Twórcą szczególnie bliskim był dlań Tadeusz Różewicz; uważał go za pisarza, którego absolutnie niesłusznie ominęła Nagroda Nobla. A świat poetycki autora *Niepokoju*, jak pisał Marian Kisiel w *Pochwalę Tadeusza Różewicza*, ujmującej wszystkie istotne cechy tego pisarstwa: „budowany jest na trzech wartościach: na pamięci, która ocala lub niszczy przeszłość i wprowadza niepokój do naszego życia; na biografii, która zawsze stanowi centrum życia i myśli, i nie daje się sprowadzić do postaci jakichś z góry założonych wzorów i schematów; na poezji wreszcie, która w szerszym znaczeniu jest sztuką słowa w ogóle, w węższym natomiast – zaledwie słowami (lub zgola milczeniem). Tak wizja twórczości prowadzi do ścisłego związku sztuki i życia, prawdy artystycznego poznania i doświadczenia egzystencjalnego. Dlatego nie dziwi w dorobku poety znaczna liczba utworów poświęconych twórcom kultury (poetom, malarzom)”.

Wiele cech takiej postawy można odnaleźć w utworach poetyckich Feliksa Netza. Bacznego obserwatora współczesności odwoływał się do kultury, z jaką czuł się związany generacyjnie i poprzez tradycję, posługiwał się właściwymi jej rekwizytami, obrazami, znakami.

Biografię twórczą poety cechuje mnogość pasji i zainteresowań, które ujawniają się w materiale poetyckim. Należał do nich film, obecny w wierszach Netza na różnych planach, w sposób najbardziej widoczny – w przywoływanych tytułach filmów, nazwiskach postaci znanych gwiazd bądź aktorskich kreacji. „Feliks Netz kochał kino” – pisał Edward Kabiesz, podkreślając też jego rolę jako krytyka filmowego. W *Laudacji* pada nazwisko pięknej aktorki Lubow Orłowej, do któ-

rej porównana została postać kobieca – „skupiona, nieobecna, jakby szła/ do jakiejś tajemnicy ukrytej w sobie”. W wierszu tym obecna jest również bohaterka utworu Trumana Capote’a *Sniadanie u Tiffany’ego* (a także słynnej ekranizacji w reżyserii Blake’a Edwardsa) – Holly Golightly, z którą mogą się utożsamiać poszukujący swojego miejsca w życiu:

Pochwalone bądźcie łąki nad Kwisą,
soczystsze niż pastwiska, po których
w tym samym czasie lubiła wędrować
Holly Golightly; [...]

W innym utworze roztrząsanie losów znanego aktora przedwojennego – Eugeniusza Bodo – jest jednocześnie próbą diagnozy międzywojennej Polski, prowadzi do pytań o „bezsponsną prawdę historyczną”. Postać aktora pojawi się w kontekstach historii także w wierszu *Kim ty byłeś w Polsce*.

Zainteresowanie Netza filmem przekłada się na różnorodne zabiegi literackie, w tym na określone ukształtowanie poetyckiej przestrzeni. W cytowanej wcześniej recenzji zbioru *Krzyk sowy* pióra Elżbiety Dutki mowa jest o wyłaniającej się z wierszy opowieści o tożsamości, a także o swoistej topografii Katowic: „Pamiętając o kinowej pasji Feliksa Netza trudno nie zauważyć, że katowickie wiersze w tomie *Krzyk sowy* są bardzo filmowe. Ukazane w nich zostały jednak nie tyle szersze plany, rozległe panoramy miasta, ile raczej, poprzez poetyckie „stop klatki” czy swego rodzaju „najazdy kamery” wyłaniają się istotne (w planie biograficznym lub historycznym) wycinki przestrzeni, lub wyeksponowane zostały znaczące detale”.

Nie tylko film inspirował poetę, ale w koneksjach filmowo-literackich można wskazać zależność odwrotną. Wiadomo powszechnie, że słowa z wiersza Netza powstałego po wydarzeniach 1981 roku: „śmierć jak kromka chleba” stały się tytułem filmu Kazimierza Kutza. Pisał na ten temat między innymi cytowany wyżej krytyk: „W przypadku filmu o pacyfikacji kopalni «Wujek» Kazimierza Kutza poezja i film znalazły niezwykle harmonijną spójność. Kultowy niemalże tytuł *Śmierć jak kromka chleba* został zaczerpnięty z przejmującego wiersza Feliksa Netza *Dnia siódmego*”. Ówczesne wypadki pozwoliły poecie dostrzec, jak pisze Krystyna Heska-Kwaśniewicz, „że śmierć może być pożywna, jak kromka chleba”. Śledząc ten wątek i kontynuując zainicjowaną nim refleksję, badaczka stwierdziła: „Ta droga doprowadziła do wiersza *Śmierć w Kutach* (tam zginął od kuli sowieckiego żołnierza Tadeusz Dołęga-Mostowicz), zbudowanego na motywie symbolu-klucza szosy zaleszczyckiej i topiki „zagwającego września” – bolesnego i historiozoficznego, pokazującego spojrzenie z oddali, ponad historią i jej pokrętną logiką”.

W poezji Feliksa Netza toczy się nieustannie dyskurs z literaturą polską, ale i z wielką literaturą europejską. W wier-





szu *Stalinogród, ulica 3 Maja, czyli cale tysiąclecie* zacytowany został dwuwiersz z Puszkina, w języku rosyjskim i w polskim tłumaczeniu: „Poro melancholijna, oczarowanie oczu, / W szkarłat i złoto przyodziane lasy...”. Fragment ten wpleciony jest w refleksję na temat powojennej historii oraz uwikłania jednostki w historię, która wraca w wielu utworach. W zarysowanej w wierszu topografii Katowic roku 1956 („miasto od trzech lat zwie się Stalinogród”) egzystują placówki kulturalne podporządkowane oficjalnej polityce („Dom Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”), ale ich przeciwwagę stanowiła wielka literatura rosyjska sygnowana nazwiskami Aleksandra Błoka i Sergiusza Jesienina.

Zainteresowania literaturą obcojęzyczną łączyły się w twórczości Netza z wielką pasją, jaką były tłumaczenia dzieł literackich; „Netz urodził się, by żyć jako translator” – podsumował Zbigniew Kadłubek. Poeta dokonywał, jak wiadomo, przekładów przede wszystkim z literatury węgierskiej, niemieckiej, rosyjskiej. Wybierał autorów, których wizja świata – jednostki, narodu, historii – była mu bliska, autorów wyrażających w swojej twórczości prawdę, że naród istnieje dzięki swojej kulturze. „Można powiedzieć – pisał Jacek Lyszczynski – że jako tłumacz Netz mierzył się [...] z największymi”. Szczególnym zainteresowaniem darzył Gogola, który mu towarzyszył po ostatnie lata życia, i Puszkina; przetłumaczył *Eugeniusza Oniegina*, którego polscy czytelnicy znali w przekładach Adama Ważyka i Juliana Tuwima. Swój pogląd uzasadniający potrzebę nowego tłumaczenia dzieła Puszkina wyłożył w *Posłowi*: „Po co nam Puszkina, zwłaszcza dzisiaj? Po co nam *Eugeniusz Onegin*, właśnie dzisiaj? [...] Rosji nie zrozumiesz, posługując się rozumem... Wobec tego czym? Czyż można coś zrozumieć, nie uciekając się do rozumu? [...] Czytamy Puszkina, aby poznać to, co w nim jasne i to, co w nim ciemne. Aby lepiej rozumieć Rosję, to, co w niej jasne, i to, co ciemne”.

Słowa te ukazują, jak ważnym wyzwaniem był dla poety przekład; zadanie to wymaga jednak znajomości nie tylko języka, ale też kultury i historii kraju, z jakiego wywodzi się autor dzieła. Dokonywanie przekładu to pewnego rodzaju posłannictwo, zobowiązanie, do jakiego poczuwa się tłumacz wchodzący w świat myśli pisarza, ale oddający również tłumaczonemu utworowi część siebie i swojej osobowości. Netz dowiódł tego, przybliżając polskim czytelnikom dorobek węgierskiego twórcy, Sándora Márai’ego, stając się propagatorem i komentatorem jego twórczości. O istocie tego zadania pisał Zbigniew Kadłubek: „Feliks Netz był oczywiście poetą, eseistą, krytykiem literackim i filmowym, jednak przede wszystkim był geniuszem przekładu wielkiej literatury. Dawał przekładowi nie tylko swoje słowa, wyobraźnię poetycką, swoje ciało, duszę i swoją wrażliwość (*Eugeniusz Onegin* Puszkina). Na własne uszy

to słyszałem, gdy twierdził, że urodził się po to, by przekładać książki heroicznie prawdomównego Sándora Márai’ego [...] Dla mnie Netz był poetą zintensyfikowanej moralności wywiedzionej z prozy Sándora Márai’ego”.

Sam tłumacz, przypominając batalie związane z próbą wydania pierwszej przełożonej przezeń powieści Márai’ego *Świece palą się do ogarka*, wyprowadził znaczące analogie pomiędzy węgierskim pisarzem a Herlingiem Grudzińskim: „Jestem pewien, że Márai i Herling Grudziński mieliby sobie wiele do powiedzenia, o upiorach rewolucji, o Europie, która utraciła styl, czyli duszę, o tzw. pożytecznych idiotach, ale i Conradzie, którego Márai niezmiernie cenił, znajdując w nim owo wysokie napięcie etyczne, które jest przecież znakiem szczególnym autora *Wyznań patrycjusza*. Los ich nie zetknął. [...] bo europejskość, tożsamość europejska, podziw dla jej kultury i wzdrganie dla jej rozlicznych ograniczeń – to jest klucz do dzieła Sándora Márai’ego”. Ostatnie słowa wyraźnie wskazują, jakie wartości w dziele węgierskiego pisarza były najbardziej istotne dla polskiego poety.

Z kwestią przekładu ściśle wiąże się wiersz Netza *Dwie śmierci*. Jest to przejmujący traktat o umieraniu (przypomniało go na łamach „Śląska”, gdy nadeszła wiadomość o śmierci autora), zawierający także rozważania na temat językowego tworzywa, środków, które pozwalają wyrazić w pełni prawdę o śmierci. Rozpoczynają go słowa:

Dwie śmierci były w moim domu:
po mieczu: *der Tod – des Schlafes Bruder*,
po kądzieli: śmierć – siostra snu.

Germańska śmierć jest mężczyzną,
w każdym razie rodzaju męskiego,
słowiańska i romańska – kobietą,

Netz opiera się tu na własnych doświadczeniach translatorskich, jakie zdobył w trakcie dokonywania, wspólnie z Gizelą Kurpanik-Malinowską, przekładu bestsellerowej książki młodego austriackiego pisarza Roberta Schneidera opublikowanej w 1992 roku – *Schlafes Bruder*. Tytuł ten ma dla niemieckojęzycznego czytelnika sens jednoznaczny: brat snu (*Schlafes Bruder*) – to śmierć. Rzeczowniki *der Tod* i *der Schlaf* są w języku niemieckim rodzaju męskiego; powinowactwa pomiędzy nimi ustanawiają się na poziomie gramatycznym i zarazem myślowym – sen i śmierć to bracia. W języku polskim sens tytułu objawia się dopiero w świetle pieśni *Przyjdź o śmierci, siostru snu*, której echa pobrzmiewają w wierszu Netza. Współpraca poety z tłumaczką polegała na tym, że dokonane przez nią wstępne tłumaczenie konfrontował z oryginałem, wnosząc do przekładu idiom XIX-wiecznych kronik i tekstów religijnych. Dowiedziawszy się, że austriacki pisarz jest z zawodu organistą, odszukał i odczuł w tekście utworu jego fantastyczny słuch. Dostrzegł, że Schneider posługuje się frazą jakby rodem z kancjo-

nałów, że powieść jest obrazowa w sensie muzycznym – tworzą ją obrazy muzyczne.

Bogate doświadczenie zdobyte przez Netza dzięki pracy nad przekładem rejestruje tekst poetycki. Dwie wizje śmierci – objawiającej się w postaciach kobiety i mężczyzny – zyskują na wyrazistości poprzez osadzenie ich w materii bliskiej poecie, w wielkich obrazach filmowych – Bergmana i Felliniego:

jest rzeczą godną mężczyzny walczyć
ze śmiercią rodzaju męskiego, nawet,
gdyby, jak u Ingmara Bergmana, polem
bitwy była tylko szachownica;

u Frederico Felliniego śmierć zawsze
jest kobietą, zachwyca i zarazem budzi
odręzę, coś pomiędzy Claudią Cardinale
a truchłem.

Kulturowe odniesienia wspierają w wierszu Netza doświadczenia osobiste, nadają ważną rangę jego własnemu konfrontowaniu się ze śmiercią – z odchodzeniem bliskich osób i z wyobrażeniami o sytuacji granicznej: gdy umierał ojciec, przyszedł po niego „*der Tod*, Pan Śmierć”; do matki „przyszła Śmierć, siostra/ snu”. Wykorzystanie owej dwoistości znaczeń słowa śmierć, kluczowego w wierszu, daje niezwykle efekt; pojęcia związane z ludzką egzystencją, z jej kresem, tracą swój abstrakcyjny charakter, budują wyraziste plastyczne wizje. Potęgują one wyobrażenie śmierci własnej, czekającej w pobliżu, śmierci symbolizowanej tradycyjnie przez utrwalony w sztuce atrybut – kosę; w wierszu, w którym śmierć objawia się w dwóch postaciach, mowa jest o dwóch kosach. Odczucie jej bliskiej obecności zamyka wiersz, w którym przestrzeń kultury i języka nadaje głęboki sens przeżyciom osobistym:

w holu mojego domu, tam gdzie zwykle
wieszam kurtkę i wełnianą czapkę, wiszą
dwie kosy, czasem słyszę jak w nocy jedno
ostrze lekko uderzy o drugie,
jakby mówily: śpij spokojnie,
jesteśmy,
czuwamy.

Wyobraźnię i wrażliwość Feliksa Netza ukształtowały fenomeny kultury – materialne, obrazowe, językowe, mitologiczne (mitologia narodowa). Poeta czerpał z tych bogatych zasobów, traktując je jako tworzywo własnej twórczości, ale zachowując równowagę pomiędzy tym, co wspólne i co własne, między tym, co uniwersalne i co osobiste. Wiersz *O północy* opatrzył Netz mottem z utworu Rainera Marii Rilke’go *Die zweite Elegie*: „Jeder Engel ist schrecklich”. I anioł w wierszu polskiego poety jest aniołem Rilke’go, a zarazem jego własnym, życie i śmierć w utworze austriackiego twórcy jest życiem i śmiercią autora *O północy*: „moim życiem i moją śmiercią”. Może dlatego monolog poety o sobie samym, o swoim istnieniu w świecie brzmi tak przejmująco. ■



Mój polski Oberschlesien

JAROSŁAW KRZYSZTOF
PIENIEK

Nie mam śląskich korzeni. Jestem stąd.

Dziadek przyjechał za pracą w 1932 spod Częstochowy. Częstochowa to nie Śląsk. To tylko to samo województwo. Śląsk zaczyna się od Brynicy. Rzeki, którą można przeskoczyć. Trzeba tylko szybko biec.

Dziadek Włodek pracował w zakładach azotowych w Chorzowie, których dyrektorem był Mościcki, przyszły prezydent II RP. Należał do Polskiej Partii Socjalistycznej, wcześniej służył w Korpusie Ochrony Pogranicza, strzegąc Kresów RP przed napaścią Związku Sowieckiego. Za komuny zawsze wywieszał polską flagę 2 maja wieczorem, ignorując ostentacyjnie 1 maja – święto zawłaszczone przez komunistów. W czasie wojny nie podpisał volkslisty, mimo że wezwał do tego katowicki biskup. Volkslistę na Śląsku podpisali prawie wszyscy. To nie była Generalna Gubernia, lecz część Rzeszy. Człowiek bez volkslisty był człowiekiem bez obywatelstwa. Pozbawionym praw antypaństwowcem. Śląsk był rządzony przez Niemców 600 lat. Przez Polskę niecałe 20. Ludzie podpisali więc volkslistę. Z wyjątkiem dziadka i kilku innych szaleńców.

Jeden z braci babci był marynarzem wojennym. Walczył o Polskę. Zginął we wrześniu 1939 r. na stawiaczu min ORP Gryf od niemieckich bomb. Babcia w Chorzowie handlowała mięsem. Potrzebowali go Niemcy i Polacy. Geschäft boł Geschäft, więc do domu dziadka przychodził po mięso także Sturmbannführer, szef chorzowskiego Gestapo. Brał wówczas tatę na kolana, a tata nazywał go Onkel, czyli wujek. Pewnego razu tata zapytał Onkla, dlaczego on tak źle mówi po niemiecku. Onkel roześmiał się głośno. Był rodowitym berlińczykiem i nie potrafił pozbyć się lokalnego akcentu.

Dziadek Włodek miał brata o imieniu Bolek. Bolek mieszkał na wsi już za Brynicą i był chłopakiem z lasu. Walczył w Batalionach Chłopskich. Tata pojechał do wujka Bolka na wakacje i znalazł na strychu ukryte karabiny i pistolety. Wynieśli je z kuchni na wieś, żeby się pochwalić. Ktoś doniósł. Wujka Bolka aresztowała Gestapo. Onkel, kiedy dowiedział się, że to wujek mojego taty, kazał wypuścić go na wolność.

Tata znał niemiecki. Babcia chciała, żeby było wygodniej i wsadziła go do wagonu „Nur für Deutsche”. Rozmawiali po niemiecku do momentu, kiedy tata wypalił, widząc pasącego się na łące zwierzaka, „Mutti, eine Koza!”. Współpasażerowie zdrętwieli. A później ktoś roześmiał się, komentując, że niezły z taty Niemiec.

Księżna Daisy, piękna Angielka wyszła w 1891 r. za Hansa Heinricha XV Hochberga von Pless, księcia pszczyńskiego z wysokiego niemieckiego rodu. Ślub odbył się w Londynie. Para otrzymała błogosławieństwo królowej Imperium Brytyjskiego Wiktorii, a świadkował jej syn, późniejszy król Zjednoczonego Królestwa i Cesarz Indii Edward VII. Daisy i Hans Heinrich Hochberg mieli trzech synów: Hansela, Alexandra i Bolko. Bolko został zamęczony przez Gestapo. Hansel, mimo że był obywatelem III Rzeszy, wstąpił do brytyjskiego RAF. Aleksander Hochberg przystąpił do Armii Generała Andersa i został polskim bohaterem spod Monte Casino. Ojciec trzech braci Hans Heinrich nigdy nie zaakceptował faktu, że Góry Śląsk wrócił do Polski. Uważał się za Niemca.

Mój tata i dziadek czuli się Polakami. Ale nie znosili Ruskich. Ale nie ludzi, lecz państwa. Amerykanów i Anglików mieli za sojuszników. Lubili Czechosłowaków. O Niemcach nie mieli zdania. Babcia i dziadek od strony mamy pochodzili z Wielkopolski. Zostali wywiezieni w wagonach bydłęcych na przymusowe roboty do Niemiec. Niko nie obchodziło, że babcia była w ciąży. Trafiła do niemieckich bauerów. Pasła krowy, pracowała w polu. W trakcie posiłków bauer gromadził rodzinę i robotników przymusowych przy wspólnym stole, odmawiał modlitwę i wspólnie spożywali posiłek. Dziadka wyrwano z domu i do wagonu zagnano uderzeniami kolb karabinów. Jechali w głąb Niemiec ponad tydzień. Też trafił na wieś do gospodarzy. Opowiadał, że podkradał niemieckim kurom świeże jajka prosto z kurnika i wypijał na surowo. Wrócił z robót dopiero w maju 1945 r. Jego syn miał już 3 lata.

Babcia z Wielkopolski opowiada jak niemieccy żołnierze wywlekali z domów dzieciątki młodych mężczyzn. Stawiali na głównym placu we wsi. Reszta wsi została zmuszona, żeby patrzeć na egzekucję. Babcia miała kilkanaście lat. Jej bracia wrzucali ciała zabitych na przygotowane w tym celu wozy. Rok później sytuacja się powtórzyła.

Scena z dzieciństwa. Jestem u babci z Wielkopolski na wakacjach. W kuchni wisi orzeł w koronie zrobiony z łusek po dużych szyszkach, a w pokoju wyblakła od słonecznych promieni fotokopia obrazu, przedstawiająca Tadeusza Kościuszkę w stroju chłopca. Widzę przez okno, jak podjeżdża dziwny czerwony samochód. Nie polski duży fiat i nie syrenka. Z samochodu wysiadają starsi państwo i niosą wielkie pakunki. Babcia mówi do nich po polsku, oni coś po niemiecku. Wyciągają prezenty: czekolady, ciastka, bożonarodzeniowe wycinanki dla dzieci, tańczącą, nakręcaną na kluczyczkę parę, która wynurza się z rozkładającego płatki w miarę ruchu kwiatu tulipana i na koniec... wielką chodzącą lalę – prezent dla najmłodszej siostry mojej mamy, która wciąż jeszcze chodzi do szkoły. To gospodarze, u których babcia pracowała przymusowo w czasie wojny.

Oma, to babcia mojej zony. Miała na imię Walburga. Rodzeństwem jej były dwie siostry: Edeltrauda oraz Hejdla. Trzy siostry zaczynały rozmowę po polsku, po czym zawsze przechodziły na niemiecki, nie bardzo zdając sobie sprawę, że to robiły. Kiedyś jedna z ciotek zwróciła im uwagę, że nikt ich nie rozumie. Oma prychnęła oburzona:



– Jak można po niemiecku nie umieć.

Tego samego wieczoru poleciła teściowej, że rodzinie z Niemiec trzeba wysłać polskie gazety.

– Żeby mogli sobie tego naszego polskiego prezydenta zobaczyć.

Prezydenta Oma podziwiała.

Hejdlą wyszła za Maxa, niemieckiego górnika. W 1945 Rosjanie kazali lokalnym Niemcom stawić się do kopania okopów. Onkel Max się stawił. Władza każe, to Niemiec wykonuje jej polecenia. Wrócił po 8 latach. Twierdził, że szczury, jak się je przypiecze na ognisku, mają całkiem dobre mięso. Na Syberii je uwielbiali. Hejdlą przez 8 lat była pewna, że jest wdową, bo Maxa rozstrzelali Ruscy. Po powrocie Max dostał z powrotem pracę na kopalni Makoszowy, w Zabrze. Zawaliło się wyrobisko. Ciało Maxa złożono w kostnicy. Hejdlą wybrała razem z siostrami czarną suknię. Max przyszedł nocą. Zapukał w okno, kiedy Hejdlą prasowała pogrzebowe szaty. Uciekł z kostnicy, gdzie się wybudził. Max mówił po polsku. Po niemiecku liczył, spowiadał się i rozmyślał.

Generał de Gaulle odwiedził Zabrze we wrześniu 1967 roku. Nazwał je najbardziej polskim ze wszystkich polskich miast. Na jego cześć wiatowały tłumy, krzyczące „Vive la France”. W 2005 r. stadion piłkarski w Zabrze zmienił patrona z Adolfa Hitlera na Ernesta Pohla. Wcześniej o zmianie patrona zapomniano.

Kiedy byłem w podstawówce nie obchodzono hucznie mało wygodnego komunistycznym władzom święta uchwalenia pamiętnej Konstytucji 3 Maja. Obchodzono natomiast rocznicę wybuchu III „zwycięskiego” Powstania Śląskiego (po nim niewielką część Górnego Śląska przyłączono do II RP, tworząc Śląską Autonomię z własnym Sejmem i budżetem). Z tej okazji do szkoły przychodził dziadek Heńka, jednego z moich klasowych kolegów, i opowiadał o walkach, w których uczestniczył. Pewnego razu do mamy Heńka przyszła tajemnicza paczka z Niemiec wypełniona mnóstwem prezentów. Okazało się, że niemieckie stowarzyszenie weteranów II wojny światowej wygrzebało w archiwach III Rzeszy, iż syn dziadka powstańca, wujek Heńka, zginął w czasie wojny jako lotnik Luftwaffe, więc rodzinie należy pomóc. Dziadek zmarł. Heniek przejrzał po nim rzeczy i znalazł niemiecki ausweis informujący, że dziadek-powstaniec miał w czasie wojny przyznaną I grupę narodowościową, jako Reichsdeutscher. Najlepszą z możliwych.

– Zastanawiam się, po której stronie on walczył w tym powstaniu – stwierdził Heniek.

Mama, pochodząca z Wielkopolski, nigdy nie nauczyła się śląskiej gwary. Kiedy jeden z polskich polityków stwierdził, że Ślązacy, to zakamuflowana opcja niemiecka, mama demonstracyjnie w ankiecie spisu ludności przypisała sobie narodowość „śląską”.

Generał Ziętek był komunistą. Zbudował po wojnie obozy koncentracyjne, w których zabijał Ślązaków. Generał Ziętek zbudował też centrum Katowic, słynny Spodek i Park Śląski. Ślązacy kochają Generała Ziętkę.

Nigdy w rodzinie nie miałem górników.

Mój Śląsk to Huta Bismarcka, dziś Batorego. Ponoć komuniści chcieli zachować „B” w logo huty. Dla marketingu. Śląscy Polacy w Cieszynie byli ewangelikami. Śląscy katolicy Niemcami. Tam „dobry Polak”, to nie „dobry katolik”, lecz „doby ewangelik”.

Marcela i Beatę znałem jeszcze z czasów młodości. On nadużywał i słynął z tego, że wypiuwszy, bardzo lubił chodzić pomodlić się do kościoła. Beata była piękną dziewczyną, jednak męczącą, gdyż non stop mówiła. Marcel twierdził, że jest Niemcem. Deklarował to wszem i wobec. Zapisał się do stowarzyszenia mniejszości niemieckiej na Śląsku. Beata czuła się w 100% Polką. Marcel chronicznie był bez pracy. Beata za pensję pielęgniarki próbowała związać koniec z końcem, wychowując niemiecko-polskie dzieci ze związku z Marcelem. Marcel i Beata zdecydowali się wyjechać do Niemiec. Niemiecki urząd Bundesverwaltungsamt negatywnie rozstrzygnął wniosek Marcela w sprawie jego niemieckiego pochodzenia. Niemieckiego pochodzenia doszukał się natomiast u Beaty.

Śląski, to dialekt języka polskiego z czeskimi i niemieckimi zapożyczeniami. Śląski, to dialekt języka niemieckiego z polskimi i czeskimi zapożyczeniami. Śląski, to dialekt języka czeskiego z polskimi i niemieckimi zapożyczeniami. Górny Śląsk był polski, śląski, czeski, węgierski, austriacki, pruski i niemiecki. Wydał 11 noblistów, Oscara Tropolowitza, wynalazcę pasty do zębów i kremu Nivea, prymasa Polski kardynała Augusta Hlonda oraz twórcę ruchu oazowego ks. Franciszka Błachnickiego. – Chopy gromy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ein, zwei, drei... – miał kiedyś zarządzić jeden dyrygentów orkiestry górniczej.

Kim ja jestem? Jestem stąd.

PS. O mocze słyszałem niestworzone historie, ale moja wielkopolska mama i chorzowski, lecz pochodzący z podczęstochowskich rodziców, tata, nigdy nie wpadli na tak awangardowy pomysł, żeby zaszerwować ją na Wigilię. Zobaczyłem ją u teściowej. Brązowa breja o konsystencji rzadkiego budyniu, która na pierwszy rzut oka przypomina o ciężkich problemach gastrycznych. Przepis? Pierniki rozmoczone na papkę w wodzie, piwie (mój ulubiony wariant) lub w wersji dla koneserów w... wywarze z rybich łbów. Trzeba zamknąć oczy i pomyśleć o czymś innym. Później już samo wchodzi. A na końcu człowiek się uzależnia... Szczerze mówiąc przepyszne. Na Śląsku czeskim dodają rumu... ■



Zygmunt Krzyżanowski

Trzy opowiadania

przełożył

MARIAN KISIEL

Orfeusz w piekle

Historię o Orfeuszu i Eurydyce opowiadano wiele razy. Opowiedzmy ją jednak jeszcze raz.

Podziemne królestwo wprowadziło Orfeuszowi jego przepiękną Eurydykę. Udał się więc na poszukiwanie swojej ukochanej. W tym zgodne są i starogreckie mity, i francuskie operetki.

U bram królestwa śmierci spotkał Orfeusza trzygłowy Cerber, strażnik piekielnych progów. Rozwarł trzy paszcze, zabulgotał krwawą pianą, zażądał pieśni na przejście.

Orfeusz przyłożył cytrę do lewego ramienia i zbliżył palce do strun.

Pieśń była cicha i zwyczajna jak szelest kropel deszczu, zmywających kurz z liści oliwki.

Wszystkie trzy głowy Cerbera słuchały, uważnie nastawiwszy sześć psich uszu. Były zapalonymi muzykami, więcej nawet – krytykami muzycznymi. Gdyby żył w naszych czasach, ten sześciouchy pies mógłby bardzo prostymi środkami urządzić muzyczną dyskusję, która zainteresowałaby na kilka tygodni sześć, siedem redakcji każdego muzycznego magazynu.

Cytra Orfeusza zamilkła.

Środkowa głowa Cerbera zastrzygłszy lewym uchem, powiedziała:

– Dosyć. A-ale...

I umilkła.

Prawa głowa, zlizawszy pianę z ust, dodała:

– I wiele więcej, no. Ponadto: nie, no. A może: nie. Tak powinniśmy odpowiedzieć debiutantowi, nie pamiętam, jak się nazwa...

– Nazywam się Orfeusz. Pozwolę sobie przypomnieć swe boskie pochodzenie i...

– Nie próbuj się wywyższać, pozbawiony talentu szarpidruce – warknęła trzecia, lewa głowa Cerbera. – Jeżeli tobie, synowi bogów dano nieśmiertelność, oddaj ją choć w połowie, ucząc się muzyki u naszych styksowych żab. Istotą muzyki nie jest brzdąkanie, a rechot.

– No, to już całkiem! – krzyknęła pierwsza głowa. – Chcesz powiedzieć, że sfery niebieskie rechoczą, a nie brzęczą? I to wtedy, kiedy one melodyjnie śpiewają, jednocześnie w swojej harmonii i dźwięk struny, i rechotanie żab?

– Obie łżecie – ryknęła środkowa głowa, gniewnie zastrzygłszy uszami i wyszczerzywszy zęby. – Muzyczne zagadnienia, podobnie jak literackie, należy rozwiązywać na płaszczyźnie tematu. Co, waszym zdaniem, wyrażała sztuka tego żebraka? Jaki obraz unosił się nad strunami jego cytry?

W odpowiedzi paszcza lewej głowy szeroko się otworzyła, odpowiadając szerokim uśmiechem na drwinę.

– Utwór opowiadał – w starym doryckim stylu – o locie czapli nad bagnem.

– Bzdura – warknęła lewa głowa Cerbera. – Rzecz jest programowa i całkiem jasno oddaje wahania czapli, która opuszczając się na bagno, nie wie, na jakiej nodze ma stanąć, na lewej czy na prawej...

– O, ty nieszczęsna trzecia części psa – wrzasnęła środkowa głowa. – A ty wiesz, na jaką myśl nastąpić? Obraz jest całkiem jasny: czapla już stoi na bagnie i otwarła dziób, żeby połknąć żabę.

– Więc niechżeż ją połknie – zaszczekały obie boczne głowy, szczerząc zęby.

– A wy udławcie się waszym nieuctwem – zawyla środkowa głowa i chwyciła zębami za grdykę swoją lewą sąsiadkę.

Orfeusz był bliski rozpacz. Gotów był opuścić piekielne progi. Ale w tym czasie stało się coś strasznego. Trzy głowy psa, krwiożerczo warcząc, dorwały się do swych gardeł. Cerber runął na ziemię i można było jedynie rozpoznać jego krótki, tłusty, gniewnie drgający ogon.

Orfeuszowi pozostało tylko jedno: skorzystawszy z tego, że droga do piekła pozostała bez ochrony, wejść pod sklepienie Hadesu – na spotkanie z najmilszą Eurydyką.



Spinoza i pająk

Biograf Benedykta Spinozy Colerus (XVII wiek) mówi o filozofie: „Lubił, odpoczywając od pracy naukowej, rzuciwszy muchę w sieć pająka, żyjącego w kącie jego pokoju, obserwować ruchy ofiary i drapieżnika. Powiadają, że czasami się przy tym śmiał”.

*

Stary krzyżak o kudłatych nóżkach, poczuwszy na sobie źrenice filozofa, troszeczkę, co jednak rzadko mu się zdarzało, zaniepokoił się. To oczywiście: chwila była bardzo znacząca. Prawdopodobnie z powodu czysto artystycznej emocji mistrza, dwie lub trzy nici zerwały się, lecz przecież praca została wykonana jak zawsze, szybko i czysto.

Osiem cienkich, wygiętych do środka łapek pająka, stąpając po mocno naciągniętym splocie pajęczyny, metodycznie, precyzyjnie, dokładnie jak palce pianisty, owinęły histerycznie drgające ciało muchy w srebrzystoszary kosmkowy całun. Trójkątny głowotułów mistrza z kolczastymi oczami na krawędziach, znalazłszy na wibrującym czarnym brzuszku muchy właściwe miejsce, wpił w nie ostro zakrzywioną szczękoczulkę.

Mucha zatrzepotała skrzydełkami. Jeszcze raz. I po wszystkim.

Kiedy pająk podniósł kolczaste szlifowane oczy w górę, wtedy jego oczy i źrenice metafizyka spotkały się. Na chwilę. A potem: i pająk krzyżak, i metafizyk, rozłączycywszy spojrzenia, rozeszli się.

Metafizyk podszedł do stołu przy oknie; wyciągnął prawą rękę – pstryknęła brązowa pokrywka kałamarza, szepnęły do siebie stronice rękopisu.

A pająk pocierając z lekka zakrwawione przednie łapki o parę środkowych, wpełzł po mokrym aksamitnym szmaragdzie do szczeliny, między ścianą i niedokładnie do niej przylegającymi traktatami Kartezjusza, Geborda i Claubergiusa. Przeszedłszy po zamkniętych ostrzach kart do jednej z książkowych wnęk, podciągnął do siebie, jak mógł najgłębiej, wszystkie osiem łapek i zamarł.

Metafizyk natomiast pisał przy oknie: „prawo naturalne rozciąga się na całą naturę w każdym poszczególnym przypadku tak dalece, jak moc. Dlatego wszystko, nad czym człowiek sprawuje władzę ze względu na naturalne prawa, czyni z absolutnym prawem naturalnym i jego prawo do Natury mierzone jest stopniem tej mocy”.

Stronice, upadając jedna na drugą, przylegały literami do liter i w ślad za tym rozumiały się nawzajem. Pióro skrzypiało. I tylko jeden raz metafizyk, oderwawszy oczy od linii, spojrzał na naciągnięte nici w ciemnym kącie pokoju i uśmiechnął się.

A pająk? Przytuliwszy się brzuszkiem do zakurzonego Claubergiusa, pogrążył się w czystym niemyśleniu. Filozof mógł się czegoś nauczyć od pająka, a czego mógł nauczyć się pająk od filozofa? Ten przy nierwących się czarnych liniach wiedział mniej niż powinien wiedzieć. Dlatego pisał i pisał. Ów zaś przy rwących się szarych niciach wiedział tylko tyle, ile powinien wiedzieć; był uświadomiony do końca i nie miał powodu, ani chęci porozumiewać się z szelestem kartek rękopi-

sów i drukowanych tomów. Siedząc we wnęce foliału, cieszył się z wielkiego przywileju, jaki został przekazany jego starożytnemu i szlachebnemu pajęczemu rodowi – z pradziada na dziada, z dziada na ojca i z ojca na niego, kudłatołapego – przywilej wolności od myślenia.

1921

Bóg umarł

1.

Zdarzyło się to, co kiedyś, chyba w XIX stuleciu, przepowiedział śmiały filozof: „Bóg umarł”.

W anielskich zastępach już od dawna tliło się i gorzało niedobre przeczucie. A w zamkniętym kręgu se-rafinów szemrano, tłumiąc szepty w szumie skrzydeł, o nieuchronnym. Pustka pojawiła się i rozszerzyła, czarna jaskinia rosła, ale nikt nie odważył się zajrzeć tam, gdzie był On, odwracający przestrzeń, rzucający w otchłań garść gwiazd i planet. Nicość studziła chęć uniesienia w przestrzeń pierzastych piersi, pełzła na bezgłośnie stąpających czarnych łapach po elipsach i okręgach orbit światów – lecz nikt nie odważył się zajrzeć.

Był cherubin o imieniu Azazel.

– Chcę zobaczyć – powiedział.

– Zginiesz – zaszeptano wkoło.

– Czy można zgubić straceńca? – odpowiedział Azazel i, rozłożywszy skrzydła, spojrział.

I rozległ się jego krzyk: umarł Bóg! Umarł Bóg!

Aniołowie zwrócili oblicza do wnętrza wnętrza i ujrzeli tam ziejącą czarną jamę Nicości.

– Umarł... Umarł Przedwieczny – rozniosło się od zastępu do zastępu, od gwiazdy do gwiazdy, z kraju do kraju. A cherubin Azazel otwartymi źrenicami patrzył w dal: nic się nie zmieniło. Bóg umarł – i nic się nie zmieniło. Chwila mijała za chwilą. Wszystko było takie, jak dawniej. Ani jeden promień nie drgnął u gwiazd. Ani jedna orbita nie oderwała się od swej elipsy.

I w precudnych oczach Azazela pojawiły się łzy.

2.

Thomas Graham szurając pantoflami podszedł do szafy z książkami. Pociągnął za jej szklane drzwiczki, zobaczył jak po ich śliskiej powierzchni wypęzło i zniknęło dobrze znajome, stare, ogolone, pomarszczone oblicze z leciutko przymrużonymi oczami; za odpełzłym na bok odbiciem lśniły kolorowymi grzbietami – książki. Mister Graham powiódł spojrzeniem po oprawach i nie znalazł. Pamiętał wyraźnie: zielony, niewielki grzbiet ze złotą linią wywroconą na swoją początkową literę: θ.

W roztargnieniu przeleciał palcami szorstkie oprawy kilku książek: szukany grzbiet nigdzie się nie zazielenił. Zmartwiony doktor Graham potarł nos opuszkami dużego palca: gdzież ona jest?

Doktor Graham, wiekowy i zasłużony profesor Londyńskiej Szkoły Wyższej w Katedrze Historii Upředzeń



Religijnych, był wielkim ekscentrykiem i lubił szczególnie w chwilach zagubienia i frustracji stare zwroty frazeologiczne, które już wyszły z obiegu, dlatego też, przełatając jeszcze raz palcami po grzbietach, zaburczał:

– Bóg wie, gdzie się podziała.

Lecz Bóg nie wiedział, co stało się z książką Mister Grahama. Nie wiedział nawet tego. Był martwy.

3.

Mr Broodge, siedząc przed fotometrem w okrągłym małym pawilonie L 3a Obserwatorium w Greenwich, spieszył się, żeby skończyć nudne testowe wyliczenia liczby ciał niebieskich w gwiazdozbiorze Skorpiona. Podłączając szmaragdowobiałą β do punktu przecięcia wskazówki wewnątrz refraktora, lewą ręką odkręcił śrubkę, a prawą szybko nacisnął stalowy przycisk; w tym momencie ruszył mechanizm zegarka.

Wkoło było cicho. Mr Broodge przyległ okiem do okularu. W polu widzenia zapalił się elektryczny punkcik. Wystarczyło przekręcić raz i drugi mikrometryczną śrubkę... – kiedy nagle zdarzyło się coś dziwnego: gwiazda β zgasła. Żarówka się paliła, a gwiazda zgasła.

Mr Broodge nie zmieszał się. „Zegar” – pomyślał; lecz wertykalnie naciągnięta stalowa wskazówka miarowo obracała kółeczko, z wcześniejszym rytmicznym szelestem. Nie wierząc szkłu, Broodge opadł na oparcie fotela i zwykłym okiem popatrzył w czarny segment nocnego nieba, rozpostartego nad okrągłym, rozsuniętym sklepieniem pawilonu. „ α na miejscu, γ na miejscu, również, β – nie ma” – powiedział głośno Broodge, i głos jego jakoś dziwnie i martwo zadźwięczał w pustym pawilonie.

Przybliżył żarówkę; wpatrzył się w mapę gwiazd: „ β ”. Dziwne – była i jej nie było. Broodge spojrział na zegarek: zaznaczył na polach mapy – „anno 2204.11.11. Scorpio obiit”. Nałożył abażur, zgasił światło. Długo stał w ciemności, próbując zmierzyć się z jakąś myślą. Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi; klucz nie od razu dał się wyjąć z zamka, ponieważ ręce Mr Eduarda Broodga lekko drżały.

4.

Stało się to w tym samym czasie, w mgnieniu oka, wraz z zanikiem gwiazdy β .

Victor Regnier, słynny poeta, pracował przy lampie z zielonym abażurem nad poematem *Ścieżki i orbity*; spod pióra wyskakiwały litery. Rymy dźwięczały ostro, skocznie. Mózg ukołysał się miarowym rytmem. Rysy podłużnej twarzy Regnieria wyostrzyły się i zapłonęły rumieńcem. Szczęście poetów – padaczka. Był to rzadki, lecz silny atak szczęścia; i nagle – ki diabeł? – miękkie pchnięcie w mózg – i wszystko zniknęło, od rzeczy do rzeczy, jakby wpadło w pustkę. Wprawdzie nic się nie zmieszało, wszystko było tam, gdzie było i takie, jak było. Lecz ze wszystkich – pustka, jakby ktoś krótkim szarpnięciem wydarł z liter dźwięki, z promieni światło, pozostawiając w oczach tylko martwe kontury linii. Wszystko było jak wcześniej, i niczego już nie było.

Poeta patrzył na rękopis: litery, z liter słowa, ze słów wersy. O, tu opuszczony dwukropek; poprawił. Ale gdzie jest poemat? Rozejrzył się wkoło: przy łokciu – otwarte księgi, rękopisy, zielony abażur lampy; dalej – prostokąty okien; wszystko tam, gdzie było, i w tym samym czasie – nie ma.

Regnier zacisnął dłonie na whisky. Pod palcami bił puls. Zakrył oczy i zrozumiał: poezji nie ma. I nie będzie. Nigdy.

5.

Gdyby w lutym 2204 roku oznajmiono w gazetach o śmierci Boga, to, prawdopodobnie, żadna z nich, nawet trzydziestodwustronicowe „Centralne Słowo” nie odnotowałyby dwoma linijkami petitu tego zdarzenia.

Samo pojęcie „Bóg” dawno było pozbawione znaczenia, wyciępione i wyrzucone z mózgow. Komisja do spraw likwidacji bałwochwalstwa, z braku potrzeby, nie funkcjonowała już od blisko stu lat. Wprawdzie historycy pisali o krwawych wojnach religijnych połowy XX i początku XXI wieku, lecz wszystko to dawno już minęło i ucichło, i sama możliwość pojawienia się i rozwoju wiary w bogów byłaby chyba wynikiem działania toksyn chorobotwórczych, osłabiających ze stulecia na stulecie centralny układ nerwowy. Został odkryty i złapany pod okularem mikroskopu nawet szczególnie fideococcus – wirus pasożytujący na żywej tkance neuronu, którego działanie można było określić jako „chorobę wiary”, dawną mania religiosa, naruszającą poprawne relacje między mózgiem i światem. Wprawdzie pogląd ten został zakwestionowany przez Neuburską Szkołę Neuropsychologii, lecz tłumy akceptowały istnienie fideococusa.

Tych, którzy zachorowali na wiarę w Boga (takich było coraz mniej), natychmiast izolowano i leczono specjalnymi zastrzykami z fosforu – bezpośrednio do mózgu. Procent wyleczeń był zadowalający, sięgając nawet poziomu 70-75, natomiast resztę ludzi, która sprzeciwiała się zastrzykom, tak zwanych „rozpaczliwie mających nadzieję”, osiedlano na małej wyspie, nazwanej – nie wiadomo przez kogo i dlaczego – „Wyspą Trzeciego Testamentu”. Tutaj, zamknięty za wysokim murem dla nieuleczalnie wierzących, został nawet zbudowany „kościół doświadczalny”; rzecz w tym, że niektóre autorytety, opierając się na starej regule medycznej „simila similibus curantur”, twierdziły, że morbus religiosa posiada tendencję w najcięższych i, wydawałoby się, nieuleczalnych formach, do samoodradzania i że doświadczalny kościół i laboratoryjne bałwochwalstwo mogą naturalne rozwiązanie procesu doprowadzić do niczego.

Doświadczalny kościół był przestronnym zasklepionym pokojem z oknem dachowym, oklejonym szarymi tapetami ze zmieniającymi się w dół długimi pasami, na których widniały wyraziste obrazy: krzyż – półksiężyc – lotos, krzyż – półksiężyc – lotos. W środku pokoju leżał okrągły kamień. Na kamieniu kadzielnica. Wszystko.

Kiedy Azazel krzyknął, chorzy na wiarę, ustawieni w szeregu wokół okrągłego kamienia, modlili się pod okiem lekarzy. Stali milcząc, nie poruszali nawet ustami. I tylko błękitnemu, wonnemu dymkowi z kadzielnicy wolno było się unosić; krążąc szarobłękitnymi spiralami, dymek wleciał jasną nitką do góry, dokładnie próbując dotrzeć do nieba, i zakasławszy, mętym nalotem zaczął opadać na dół. I wtedy najdalszy ledwie słyszalny krzyk, opadłszy z nieba, uderzył o kopułę, ześliznął się w dół ścian i dokładnie uderzywszy o ziemię, zamilkł. Lekarze nie słyszeli krzyku: widzieli tylko strach jaki przesyłał twarze i rozerwany szereg nagłe zbitych w jedną gromadę, jęczących i szepczących chorych. Potem wszystko powróciło in ante. Lecz zdumieniu leka-



rzy nie był sądzony nagły koniec: w ciągu tygodnia chorzy – jeden za drugim – zaczęli się wypisywać, oznajmiając krótko: „Bóg umarł”. Pytania pozostawiali bez odpowiedzi. Jako ostatni odszedł zgrzybiały starzec, który był świętym i jakby ostatnim apostołem doświadczalnego kościoła na wysepce.

– Obaj byliśmy starzy – powiedział, opuściwszy głowę – lecz czyż mogłem przypuszczać, że go przeżyję? Wyspa Trzeciego Testamentu – opustoszała.

6.

Mr Graham znalazł potrzebną książkę. Pozostało tylko odszukać cytate, znajdującą się, jak się zdaje, na stronie 376. Uśmiechając się, Mr Graham zgiął palec i leciutko postukał w okładkę: czy można? (lubił czasem pożartować z natchnionymi myślami umarłych). Zza kartonowych drzwi nikt nie odpowiadał. Wtedy otworzył okładki i spojrzął na stronę 376; był to dawno zapomniany wers starego autora, zaczynający się od słów: „umarł Bóg”. Nagle wzruszenie zawładnęło Mr Grahamem. Zamknął książkę, lecz emocja nie dawała się stłumić, rozszerzając się z każdą sekundą. Schwytany w nową namiętność, Mr Graham z niejakim lękiem wsłuchał się w siebie; zdawało się, jakby ostry druk liter, wbiwszy mu się w źrenice, rojem złośliwych os wiercił się w nerwach. Palce na wyłącznik; zgasły lampy. Graham siedział w ciemności. Do pokoju gapiło się tysiąc jam okien czterdziestopiętrowego budynku. Graham skrył oczy pod powiekami. Lecz taniec burz trwał dalej: „Bóg umarł – umarł Bóg”. Bał się poruszyć, kurczowo zacisnął palce; wydało mu się, że jeśli dotknie ściany, to ręka utonie w pustce. I nagle Mr Graham zrozumiał; jego wzruszone usta wypowiedziały: Panie!

W tę noc pierwszy czarny promień z Nicości, zmieniającej wszystko, przedarłszy się przez skrzydlate kręgi, dosięgnął ziemi. A później zaczęło się coś dziwnego. Krótkie sprawozdanie Broodge'a o zniknięciu β nie wyszło poza wąski krąg specjalistów. Lecz fakty, przykre liczby i formuły, zaczęły codziennie narastać; gwiazdy, od czasu do czasu, nie paliły się przed obliczonymi sekundami na przecięciu wskazówek meridionalu.

Nagle w gwiazdozbiornie Wagi pojawiła się szmaragdowa luna, błękitnymi odbłaskami zapełniająca połowę nieba. Gwiazdy spały się i zniknęły jedna za drugą. Pospiesznie wysuwano hipotezy na potwierdzenie faktów. W głowach zatliło się dawne słowo „cud”. Przez radio uspokajano, przepowiadając bliski koniec kataklizmu. Elektryczne słońca zawieszane na linach między drapaczami chmur, zasłaniały jasnożółtymi promieniami pustoszejące, pozbawiające się gwiazd niebo. Lecz stopniowo i orbity sąsiednich planet zaczęły się rozrywać i splatać ze sobą. Dokładnie wypolerowane szkła teleskopów czesały czarną otchłań, próbując wyłowić z niej choć jeden gwiazdny punkt. Wkoło ziemi ziała czernią czarna ćma. Teraz nie można było ukryć przed masami: ozdobiona numerami, wyłożona liniami orbit otchłań, rozrzucający gwiazdy, zmywszy orbity wstała by grozić śmiercią również ziemi. Ludzie ukrywali się na chłodniejszej i odzianej w wieczny zmierzch ziemi, za kamienie ścian, pod grube sklepienia, szukając oczami oczu, oddechem oddechu; lecz do dwóch zawsze przychodziło niejasne trzecie: należało oderwać spojrzenie od spojrzenia i wtedy można było ujrzyć w samych źrenicach ślepe or-

bity trzeciego; należało oderwać usta od ust – i wtedy – czarnym w szkarłatne – lodowe usta trzeciego.

Najpierw umarła poezja. A później również poeta Regnier – zamoczywszy zwykłe stalowe pióro w słoiczku z FSN, przebił nim skórę; było tego zanadto. Za nim poszli inni. Lecz profesor Graham dalej korzystał z pióra dla prostego celu: napisał książkę – *Narodziny Boga*. I dziwne, autora ani nie zamknęli na Wyspie Trzeciego Testamentu, jak by to uczyniono wcześniej, a książka do końca roku wyszła w czterdziestu jeden wydaniach. Przy czym terytorium opustoszałej wysepki nie wystarczyłoby teraz dla wszystkich, zarażonych epidemią morbus religiosa. Wysepka rozrosła się po brzegach, rozpełzła po całej ziemi, oddając ją królestwu szaleństwa. Ludzie przestraszeni katastrofami, zatraceni w nicości, ziejącej z dusz i przestrzeni, zbili się w drzące stado wokół imienia Boga; „to kara za stulecia braku wiary” – brzęczało w tłumie. I pokazując na rozwalający się wokół umarłego Boga świat, prorocy na rozstajach dróg krzyczeli: „Oto cuda Pańskie”, „Ukorzcie się”, „Wysławiajcie imię Pańskie”. Pod „imię” spiesznie podciągał ołtarze. Nad ołtarzami zawieszali sklepienia. Kościoły, jeden za drugim, rzucały w niebo złoto krzyży i srebro księżyców.

Zdarzyło się to, co powinno się zdarzyć: był Bóg – nie było wiary; umarł Bóg – rodziła się wiara. Dlatego się rodziła, że umarł. Natura „nie lęka się pustki” (mówili starzy scholastycy), lecz pustka lęka się przyrody; modlitwy wypełnione imionami bogów, jeżeli je wyrzucić w nicość, nieporównanie mniej naruszają jej nierealność. Dopóki rzecz się urzeczowia, nominatywne ustępuje miejsca substancjalnemu, jego imię jest nie-me; rzecz musi koniecznie wyjść z niebytu. Jak wtedy, kiedy się pojawiła, objając wszystkie „progi świadomości” – jego wdowa. Imię: jest smutne, w krepie i prosi o wsparcie i wspomnienie. Boga nie było – dlatego wszyscy powiedzieli, szczerze i oddając należną mu cześć: Jest.

Restaurował się stary kult; przyjął stare katolickie formy. Został wybrany biskup o imieniu Pius XVII. Kilka wytartych kamieni dawno zburzonego Watykanu zostało przeniesionych z muzealnych postumentów na ruiny Rzymu; na nich, obrastając nowymi marmurami, powstawał Nowy Watykan.

Nastał dzień poświęcenia nowej twierdzy Boga. Czyż dzień; zmierzch teraz nie nawiedzał ziemi; czarne bezgwiazdne niebo ziało wszędzie wokół planety nadal napędzane słabnącymi i gasnącymi promieniami słońca po ostatniej, samotnej orbicie świata. Lecz wzgórze wokół nowego kościoła, zebrawszy miriady oczu, oczekujących na chwilę, kiedy wiekowy biskup podniesie tabernakulum nad tłumem, uwalniając go od śmierci.

Oto przy marmurowych stopniach zakolysała się stara lektyka; i stare *in nomine Deo* uniosło się nad tłumem. Drżąca ręka, błogosławiąc, podniosła się do czarnego nieba, lecz niebo było martwe. Tysiące tysięcy ust, powtarzając „imię”, rzucone im *urbi et orbi*, przyzywało Boga; tysiące tysięcy oczu, podniosłszy się w górę za tabernakulum i dymem z kadzidel, szukało tam za martwym i czarnym bezgwiazdny niebem Boga.

Na próżno: był martwy.

1922





KRYSTIAN KRZEMIŃSKI

OSTATNIA NOC

Krysiu
kiedy ja umrę?

zapytała w środku nocy
kiedy zmieniałem opatrunek
na otwartej
cieknącej ranie

nie wiem
mamo
odpowiedziałem
nikt nie wie
kiedy umrze

czy coś cię boli?
powiedz

nic nie boli
tylko tu mnie uciska
(prawą dłoń położyła na piersi)

Po chwili zasnęła
głęboko oddychając

Minęły dwie długie
a może krótkie godziny

mamo
chcesz pić?

dobrze
przynieś z kuchni kakao z mlekiem

Krysiu
czy pada śnieg?

padał po północy
ale krótko
teraz nie pada

zawsze lubiłam
kiedy padał śnieg
wprawiany w taniec przez wiatr
wtedy nic nie było widać z okna
tylko wirującą białą ścianę

zawsze lubiłam
kiedy padał śnieg

Krysiu
znowu leci ze mnie ta woda
zmień opatrunek
szybko

podaj mi teraz tabletkę
wiesz jaką
może jeszcze zasnę

Prawie trzy godziny spałaś
mamo

(spojrzały na mnie
szare oczy
zamyślane
coraz bardziej odległe)

Uchyl okno
zaraz nadjedzie niebieska ciężarówka
zabierze naszego sąsiada do pracy
jak co dzień

i dosyp ptakom ziaren na parapecie
są w torebce na stole

Zgasilem lampkę
zawieszoną na ścianie nad jej łóżkiem
świeciła przez całą noc
ostatnią noc w życiu Mamy
tu na Ziemi
pośród nas i z tyloma innymi
obcymi często ludźmi

Zamilkło serce w słowach Różańca
i po gromnicy spłynęły nasze łzy
o osiemnastej trzydzieści dwie





ROZMOWA MAMY Z SĄSIADKĄ

Pani Danuto
czy śni się pani mąż?

dopiero kilka dni temu
nad ranem
zawołał mnie z przedpokoju

przebudziłam się
i już nie wiem
czy to był jego głos
a może mi się wydawało?

Pani Danuto
zmarli wiedzą
co się z nami dzieje

oni wszystko widzą
wszystko

SUKIENKA W KWIATACH

Idzie przez podwórko
moja młoda matka

jej sukienka w kwiatach
przesłania dwa wysokie jesiony
strzegące naszego domu
od zeszłego wieku

idzie zamyślona
z pochyloną głową
z siatką wypełnioną chlebem
kostką masła i topionym serem

wołam do niej
z nosem przylepionym do szyby:
mamo
tutaj jestem

i w tej zaczarowanej chwili
przenosi wzrok ponad swoje troski
uśmiecha się do mnie
i zaraz wejdzie do kuchni
przez mroczny przedpokój





KRYSTIAN KRZEMIŃSKI

KTO UCHYLIŁ OKNO

Mam nowe wieści
mamo
z ulicy Ogrodowej

zmienił się nasz dom
odkąd w nim nie mieszkasz

niedawny remont dachu i kominów
oraz plastikowe okna
odmłodziły go co najmniej o ćwierć wieku

trawniki przy podwórku i chodniku
ścinane są częściej
nie zdobią ich stokrotki mlecze i osty
jak dawniej

jest czysto
porządnie
bez skazy

ponadstuletnie dwa jesiony
strzegące domu
pozbawiono wielu gałęzi
skrócono znacznie konary
dotkliwie okaleczając korony

dwoje sąsiadów z parteru
zamontowało ciemnobrązowe rolety
które odsłaniają w ciągu dnia tylko do połowy

zamilkły na zawsze rozmowy i sprzeczki
na schodach w korytarzu
toczone między panią Danutą i panem Ryszardem
ale o tym już wiesz

Wczoraj wieczorem
mamo
wracałem ulicą Lipową

w oddali
od strony zapuszczonego ogrodu
z pochylonymi jabłoniemi
i dziko porośniętymi krzewami
zamigotało światło w pokoju
który zajmowałaś przez 52 lata

kiedy podszedłem bliżej
światło zgasło
ktoś uchylił okno i pokiwał ręką
abym wszedł do środka

po chwili
zapukałem do drzwi





DZIEWCZYŃKA Z CZERWONĄ PIŁKĄ

Mamo
zapadająca co rano w sen
nad rzeką twojego dzieciństwa
porywistą
urodzajną
to znowu wzbierającą na przedwiośniu
tuż przy polach i rozległych pastwiskach

zabrałaś ją po wojnie ze sobą
do obcego miasta
na północnym krańcu Górnego Śląska

wytyczyłaś dla niej za oknem
nowe łóżysko
zakola i bieg
aby przywołać te same ptaki
krzewy i drzewa
unoszące wysoko
rozedrganą melodię dojrzałego lata

Rzeka za oknem
nie uroniła kropli
kiedy dobywałaś z jej głębin
i składałaś na brzegu
coraz więcej kamieni
o które potykali się tobie najbliżsi
powiernicy pamięci
wyprowadzeni przez karpackie góry i doliny
na otwarte pole
gdzie kule zbłądziły pod ich serca

Nie odstąpiłaś od rzeki nawet wtedy
gdy światu oddałaś synów
którzy drażyli źródła i przemieniali je
w strumienie
potem w wodospady
spadające śmieiej i głośniej
u początku narodzin słów jedynek i ważnych

Byłaś z nią
i do niej wchodziłaś
dalej i głębiej
skrywając przed nami
mamo
ów sen:
spotkanie z sobą
kilkuletnią dziewczynką
stojącą na brzegu
i wpatrzoną w czerwoną piłkę
którą wiatr porwał i poniósł w najgłębszy jej nurt





Final X „Fitelberga” w Filharmonii Śląskiej prowadziła red. Violetta Rotter-Kozera, natomiast o przebiegu konkursu mówiła dyrektor Agnieszka Młynarczyk.

Su-Han Yang ze Złotą Batutą

25 listopada 2017 roku, późnym wieczorem w Filharmonii Śląskiej im. Henryka Mikołaja Góreckiego w Katowicach ogłoszono wyniki jubileuszowego X Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga. Międzynarodowe jury pod przewodnictwem Juozasa Domarkasa I nagrodę ufundowaną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (25 000 euro) i Złotą Batutę przyznało Su-Han Yang z Tajwanu. II nagroda ufundowana przez Marszałka Województwa Śląskiego (20 000 euro) i Srebrna Batuta przypadła Bar Avni z Izraela, a trzecia nagroda – ufundowana przez Prezydenta Miasta Katowice (15 000 euro) i Brązowa Batuta – Modestastowi Barkauskasowi z Litwy.

Przyznano także trzy wyróżnienia: pierwsze – ufundowane przez Powszechną Kasę Oszczędności Bank Polski Spółka Akcyjna (10 000 euro) otrzymał Aleš Kománek (Czechy), drugie – ufundowane przez Mokatę S.A. (7 000 euro) przypadło Boon Hug Lienowi (Singapur), trzecie – ufundowane przez Fundację Muzyczną Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, Stowarzyszenie Przyjaciół Filharmonii Śląskiej i Filharmonię Śląską im. Henryka Mikołaja Góreckiego (5 000 euro) zdobył Iaroslav Zaboïarkin (Rosja).

Boon Hug Lien został również uhonorowany specjalną nagrodą przyznaną przez młodych jurorów z katowickiego

Zespołu Szkół Muzycznych im. Wojciecha Kilara.

Nagrody wręczone zostały następnego wieczoru, 26 listopada, podczas finałowej gali w Filharmonii Śląskiej. Laureatom X Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga gratulował Juozas Domarkas oraz zaproszeni goście – fundatorzy nagród. Natomiast śląskim filharmonikom, którzy przez cały czas trwania konkursu towarzyszyli jego uczestnikom podziękowania złożył dyrektor naczelny i artystyczny Filharmonii Śląskiej prof. Mirosław Jacek Błaszczak. Szczególne słowa podziękowań skierował do dyrektor X MKD Agnieszki Młynarczyk.

Po części oficjalnej odbył się koncert laureatów, w którym konkursową Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Śląskiej Modestast Barkauskas poprowadził w uwerturze do opery *Moc przeznaczenia* Giuseppe Verdiego, Bar Avni zaprezentowała się publiczności w uwerturze *Bajka* Stanisława Moniuszki, a zwycięzca konkursu Su-Han Yang w IV Symfonii e-moll op. 98 Johanna Brahmsa. Koncert laureatów powtórzony został dwukrotnie: 27 listopada o godz. 18 w Filharmonii Śląskiej, a kolejnego dnia w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

W finale nie znalazł się, niestety, żaden z polskich dyrygentów. W drugim etapie Polskę reprezentowało dwóch dyrygentów: Maciej Kotarba i Marek Wroniszewski, który uhonorowany został szeregiem nagród pozaregulaminowych.

10. edycji tego liczącego się w świecie muzycznym konkursu patronował prezydent RP Andrzej Duda. W gronie patronów medialnych był miesięcznik „Śląsk”.



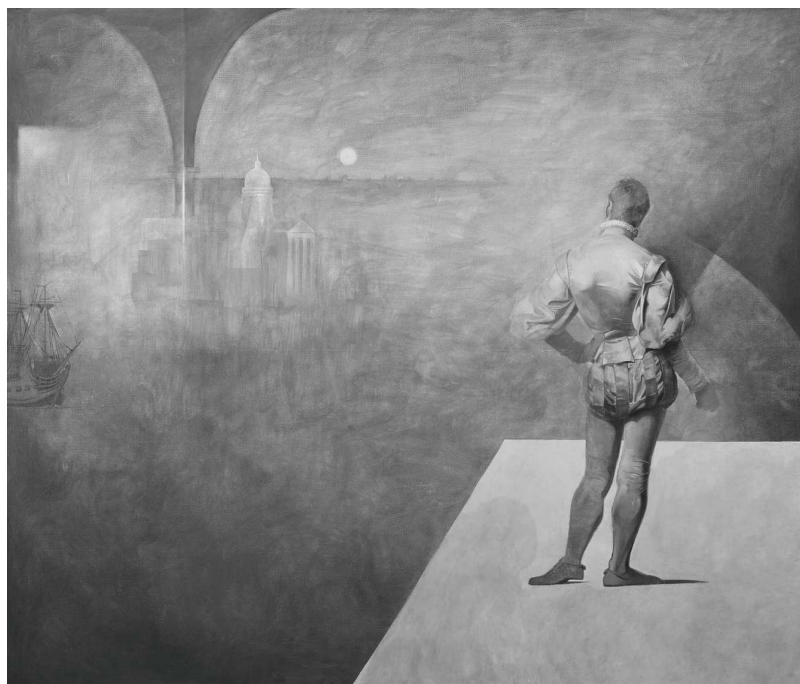
Przewodniczącym jury X MKD im. Grzegorza Fitelberga był Juozas Domarkas

WIESŁAWA KONOPELSKA



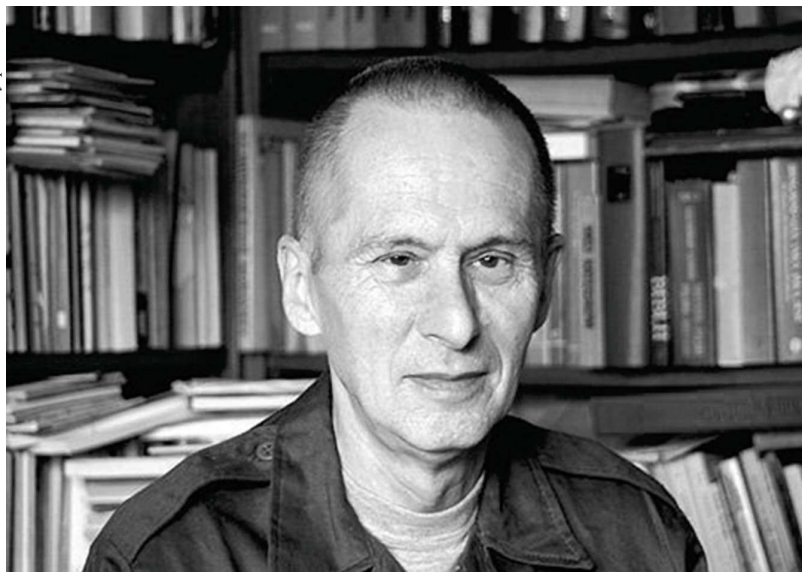
Anna Korusiewicz

MALARSTWO



Anna Korusiewicz, urodzona w Katowicach w roku 1980. W 2006 otrzymała tytuł magistra sztuki i uzyskała dyplom z malarstwa w pracowni prof. Piotra Jargusza w Instytucie Sztuki (Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie) Zajmuje się głównie olejnym malarstwem sztalugowym, najczęściej o dużych formatach oraz rysunkiem, przede wszystkim portretem. Jej prace, rzadko oferowane na rynku sztuki, znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i zagranicą. Prezentowane obrazy pochodzą z wcześniejszego okresu jej twórczości, w którym Anna Korusiewicz zafascynowana była dziełami mistrzów holenderskich – pośród nich najważniejszy był dla niej Jan Breughel starszy zwany Aksamitnym, a także średniowiecznym malarstwem ołtarzowym. Inspiracją dla jej prac były także akademickie obrazy austriackiego malarza Juliusa Victora Bergera. Cechami szczególnymi malarstwa Anny Korusiewicz jest perfekcyjny warsztat, wielopiętrowość symboliki łączącej motyw średniowieczny i barokowy ze współczesnymi, często czerpanymi z wydarzeń szczególnie zapisujących się w zbiorowej świadomości. Obrazy tworzone są nieśpiesznie, z namysłem, na przestrzeni wielu miesięcy niosąc ze sobą historię osobistą wpisaną w bogatą materię kulturową.





Wańkiewicz

ZBIGNIEW CHOJNOWSKI

Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku uczestniczyłem w spotkaniach z poetami i krytykami literackimi, organizowanych przez olsztyński Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Jednym z zaproszonych gości był Andrzej Krzysztof Wańkiewicz (urodził się 22 czerwca 1941 w Warszawie, zmarł 11 lipca 2012 w Gdańsku). W sali Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy ulicy Zwycięstwa (aktualnie Piłsudskiego) zgromadziło się kilkudziesięciu adeptów pióra z Warmii i Mazur. Na szczycie prostokąta ułożonego z niskich stolików siedział szczupły, z plecami zgiętymi w pałąk, ostrzyżony na rekruta trzydziestokilkuletni mężczyzna. Mówił ze swadą, bez zahamowań, jakby spontanicznie, a przede wszystkim zajmująco. Jego głos wchodził na wysokie i lekko śpiewne tony. Padaly słowa – zaklęcia: „poezja”, „awangarda”, „społeczna rola poety”, „tomik”. Nie obyło się bez mitycznego wyrazu „debiut”. To był Andrzej Krzysztof Wańkiewicz. Wciążał w powagę literatury, z uznaniem odnosił się do wszystkich uczestników literackiej komunikacji. Słuchając KRYTYKA LITERACKIEGO (jak mniemałem), „z Warszawy”, czułem się

wtajemniczany w kwestie rozstrzygające o losie świata.

Organizatorzy poprosili Wańkiewicza, aby przewodniczył jury turnieju jednego wiersza. Był to stały punkt programu młodoliterackich spotkań. Turnieje poetyckie ekscytowały. Dawały możliwość bycia zauważonym, ale też usłyszenia o swoich utworach uwag z ust ZNAWCY. Nieobojętnie przedstawiała się perspektywa otrzymania nagrody pieniężnej. Kilkaset złotych dla licealisty z nauczycielskiej rodziny stanowiło pokaźną sumkę, przeliczaną na liczbę książek, które za nią można zakupić. Kartki z wierszami podpisanymi godłem zostały zebrane. Uzbierała się papierowa stertka. Jurorzy udali się na obrady.

Gdy Wańkiewicz odczytywał wedykt, moje serce waliło jak młot. Wygrał mój wiersz. Krytykowi spodobał się obraz słów jako przezroczystych kul, które przesuwają się ulicami niedostrzeżone przez nikogo. Jeśli dobrze pamiętam, metaforę uczynił pretekstem do zaapelowania o to, aby poeci głębiej wnikal w rzeczywistość społeczną.

Przebieg i treści spotkań takich, jak to z Wańkiewiczem, wywierały na mnie duże wrażenie. Stanowiły

rzadkość. Jakoś formowały licealistę intensywnie poszukującego swojej drogi życiowej. Dzięki ludziom pokroju Wańkiewicza podtrzymywałem wolę bycia poetą i odkryłem w sobie (w nieco późniejszym czasie) żyłkę do uprawiania krytyki literackiej. Po uzyskaniu matury wiosną 1980 roku dostałem się na polonistykę. Z mojego pokolenia pod największym wpływem poglądów i urokiem Wańkiewicza pozostawał Marian Kisiel, późniejszy wybitny profesor związany od dziesięcioleci z Uniwersytetem Śląskim.

Wańkiewicz pojawiał się także na kolejnych etapach. Jako student zgromadziłem kilka jego książek. Z uwagą przeczytałem tę o „formulizmie”, „formach obecności nieobecnego pokolenia” czy o świadomości poetyckiej „nowych roczników”. Przeglądałem jedyne w swoim rodzaju antologie debiutantów, które Wańkiewicz redagował wspólnie z Jerzym „Leszinem” Koperskim (1935 – 2013). Na każdy tom za dany rok składa się diagnostyczny przegląd debiutanckich książek poetyckich i wybór wierszy, a następnie dopełniająca całość ankieta, w której młodzi poeci odpowiadali na kilka postawionych przez redaktorów pytań. Pamiętam, że wyszukiwałem w tych wydawnictwach nazwiska moich kolegów i koleżanek i w ogóle autorów z Warmii i Mazur. Marzyłem, że kiedyś i moje utwory oraz komentarze znajdą się w którejś edycji tej serii. Przestała się ukazywać w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

Szczere i wytrwale zainteresowanie Wańkiewicza debiutantami było jednym z impulsów, które obudziły we mnie pasję pisania o pierwszych książkach poetów. Starania, aby wydać swój dorobek krytycznoliteracki z tamtego czasu pt. *Stopniowanie goryczy* w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, rozpocząłem od listu do Wańkiewicza z prośbą o poradę. Poparł moje chęci i na tym się skończyło. Zmieniała się epoka. Moje pierwociny ukazały się dopiero w 2012 pod innym tytułem. Ze szkiców, recenzji, not o poetyckich debiutantach lat osiemdziesiątych złożyłem tom *Ruiny przez ciw wizji. O młodej „niepolitycznej” poezji dziewiętej dekady XX wieku*.

Współpracę z Koperskim i Wańkiewiczem jako redaktorami czasopisma „Integracje” rozpocząłem w 1985 roku. Utrzymywało się legendarne przekonanie, że jest to najważniejsze młodoliterackie czasopismo w Polsce. Toteż gdy postanowiłem pokazać się ogólnopolskiemu środowisku jako po-



eta, wysłałem na adres redakcji kilka wierszy. Zostały przyjęte do druku (pochodziły ze złożonego w olsztyńskim wydawnictwie „Pojezierze” tomiku – jego maszynopis zaginał podczas likwidacji masy upadłościowej oficyny).

Moje propozycje szerokiego omówienia nowych zbiorów poetyckich Kazika Brakonieckiego i Tomasza Jastruna zostały niezwłocznie przyjęte. Miałem też pisać o Zbigniewie Joachmiaku, ale coś mi przeszkodziło w zrealizowaniu tego zamiaru. Redaktorzy „Integracji” nie widzieli nic zdrożnego w opublikowaniu fragmentu mojej pracy magisterskiej o poezji Witolda Wirpsy, który zmarł w Berlinie Zachodnim 16 września 1985 jako emigrant. Wraz z artykułem ukazał się wybór wierszy poety i jego listy do mnie.

W 1986 roku wpadło mi w ręce imponujące dwutomowe wydanie całej twórczości Anatola Sterna (czołowego futurysty) w opracowaniu Waśkiewicza. Nie mogłem wyjść z podziwu dla skrupulatności i systematyczności redaktora. Podał i opisał pod względem edytorskim każdy odnaleziony rękopis, wszelkie dostępne wersje danego wiersza. Opracowanie stało się dla mnie wzorem benedyktyńskiej roboty filologicznej, w której liczy się nie tylko ustalenie poprawnego brzmienia tekstu, ale także odnotowanie obecnych w nim skreśleń, miejsc wątpliwych, historii poprawek, charakterystyka papieru, kolor atramentu lub tuszu i w ogóle wszelkich znaków świadczących o przebiegu i dramacie aktu pisania. Począwszy od lat dziewięćdziesiątych, wydawcy Tadeusza Różewicza czy Zbigniewa Herberta lubowali się w dodawaniu do ich tomików faksymili rękopisów, co rzeczywistość stwarza nową przestrzeń lektury. Waśkiewiczowska edycja Sterna kreuje dodatkowe wymiary czytania w sposób niesłychany.

Krytycznoliterackie umiejętności Waśkiewicza były mi znane najwcześniej, a potem zobaczyłem, że jest wytrawnym filologiem i znawcą literatury awangardowej XX wieku.

W latach dziewięćdziesiątych nasze drogi skrzyżowały się podczas gołdapskich spotkań „Ocalenie przez Poezję”, organizowanych przez Mirka Ślapika. Integrowały one rosnące w siłę twórczą i znaczenie środowisko literackie Polski północno-wschodniej. Na całodzienne rozmowy zapraszano gości specjalnych, poetów i krytyków z Warszawy, Krakowa... Z Gdańska któregoś razu przyjechał Waśkiewicz. Gdy go zobaczyłem po kilkunastu latach,

pomyślałem, że niewiele się zmieniła sama szczupła i jakby pomniejszona twarz, krótko przycięte włosy, sucha sylwetka, noga założona na nogę na ścisk. Ale w postaci dojrzałem coś znamiennego. Za pewnością krytyka skrywało się poczucie zagubienia, może zagrożenia i jakaś wzmożona czujność. W dłoniach miał swego rodzaju różaniec z turkusowych koralików. Nie był to jednak różaniec. Waśkiewicz nieustannie i regularnie przepuszczał przez palce kolejne paciorki, nawet gdy mówił. Bez trudności podejmował dialog. Polegał on na sygnalizowaniu za pomocą nazwisk, tytułów, kluczowych słów spraw większych. Taka wymiana wytwarzała atmosferę bezkolizyjnego porozumienia. Wydaje się, że był chodzącą encyklopedią literatury okresu powojennego. Jej twórców znał z autopsji. Reprezentował chyba ostatnie pokolenie pisarskie, które znało się osobiście, komentowało między sobą książki, życiorysy, zdarzenia. Zrozumiałe jest więc to, że Waśkiewicz żywił przekonanie o możliwości ogarniania tego, co dzieje się w polskiej literaturze. A może już tracił wiarę w zapanowanie nad wielością autorów i książek...

Przypominam sobie pewien epizod, który zbliżył nas trochę bardziej. W Domu Kultury w Gołdapi wystąpił dla uczestników „Ocalenia...” zespół „Świetliki”. Gdy na estradzie coraz bardziej pijany Marcin Świetlicki coraz głośniejszymi wykrzykiwał przez mikrofon: „Niczego o nas nie ma w Konstytucji”, Waśkiewicz i ja spojrzeliśmy na siebie i wyszliśmy z sali.

„Ocalenie przez Poezję” składało się też z części kulaarowej i nieoficjalnej. Języki rozwijały się dodatkowo pod wpływem trunków. Wtedy z Andrzejem wypilem bruderszaft. Oddaliśmy się dysputom do późnej nocy. Sypał anegdotami. Zwierzył się, że czasami przychodzi mu mówić o wierszach, których nie rozumie. Za przykład posłużyły mu poezje Tadeusza Dawidejta (panowała wówczas jakaś cicha zmowa niechęci do tego augustowskiego autora). Andrzej, żegnając się w zajeździe „Pod Piękną Górą”, podarował mi dwa swoje tomiki poetyckie. Zaledwie przejrzałem je. Do dziś czekają na lekturę.

Ktoś z dezaprobata wypowiedział się o Waśkiewiczu z powodu jego zażytych związków z władzą Polski Ludowej, do której – to fakt – miał sentymenty do końca. Twierdził, że w PRL-u twórcy czuli się bardziej swobodni niż w III RP. Nie dziwi się, należał do generacji, dla której Polska

niekiedy bez reszty wypełniła się „sojalistyczną treścią”. A przecież gdy zaproponowałem Waśkiewiczowi jako redaktorowi „Autografu” recenzje z książek znakomitych pisarzy opozycjonistów, Bolesława Faca i Erwina Kruka, obydwie wydrukował. Wśród ludzi kochających literaturę prawdziwą miłością ustępują uprzedzenia i podziały polityczne.

Ostatni raz widziałem się z Waśkiewiczem 9 października 2007 roku podczas konferencji o życiu i twórczości Mieczysława Cychowskiego (1931–1996), Kurpiu, który wpisał się niebanalnie w artystyczny krajobraz Wybrzeża. Organizatorzy zaproponowali mi udział być może dlatego, że jestem autorem biogramu tego artysty i poety w przewodniku encyklopedycznym *Literatura polska XX wieku*. Sympozjon zorganizowała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku. Merytorycznym sprawcą literaturoznawczego wielogłosu był profesor z Uniwersytetu Gdańskiego i poeta Kazimierz Nowosielski. Waśkiewicz w swojej wypowiedzi próbował usytuować Cychowskiego w kulturze literackiej swojego czasu.

W rękach Andrzeja trzymał znany mi „różaniec”. Był ożywiony. Słuchał i mówił. Pytał o moje plany pisarskie i naukowe. Zdziwiła mnie jego orientacja w kwestii literatury mazurskiej.

Po konferencji pilnie domagał się szkicu o Cychowskim. 20 października 2007 pisał: „Pilnie czekam na tekst o Cychowskim, nie ma sensu przepisywać. Ostatni tegoroczny numer [„Autografu” – przyp. ZCh] chcę mu poświęcić. // pozdrawiam // akw”. Pięć dni później odpisałem: „Andrzeju, szkic o Cychowskim w załączniku. Pozdrawiam pięknie – // Zbyszek Chojnowski”. Artykuł *Odzyskiwanie poety, czyli lektura świata według Mieczysława Cychowskiego* ukazał się w „Autografie” o znamienym dla redaktora i jego osobowości nadtytuł: „Literatura – Sztuka – Krytyka – Życie społeczne”.

Mimo że Andrzeja kojarzyłem z „Centralą”, od pewnego czasu uświadamiam sobie, że był, co rozumie pozytywnie, z prowincji. Wszak zanim wypłynął na szerokie wody, pracował na Ziemi Lubuskiej jako bibliotekarz, dziennikarz, redaktor (kraina nadodrzańska pamięta o nim). Praktykował zanikającą współcześnie ideę, że tworzenie i oddziaływanie literatury wymaga niekończących się, codziennych działań zarówno w przestrzeni międzyludzkiej, jak i instytucjonalnej.



B'ezrat Haszem!

MARIA PESZT

Zmagania

Młoda, samotna kobieta nie powinna sama wybierać się w podróż. Rzymscy legionieści wprawdzie pilnowali duktów, ale po zmroku patrole spotykało się rzadziej, a wiadomo, noc to pora zbójców. Prawo również zabraniało kobietom oddalania się w pojedynkę od miejsca zamieszkania. Wewnętrzny głos przynaglał ją jednak do spakowania najpotrzebniejszych rzeczy na kilka najbliższych tygodni, przyszykowania prowiantu i uprzątnięcia izby. Kiedy poczyniła już wszystkie przygotowania, czekało ją najtrudniejsze: rozmowa z narzeczonym.

Co jeśli jej nie puści? Jeśli nie zrozumie? Jak mu wytłumaczyć, że musi iść!

Wybrała dobry czas: za dziesięć dni w Jerozolimie Żydzi świętują Paschę. Z kupieckimi karawanami pielgrzymują setki pątników. Spróbuje się ukryć, wmieszać się jakoś w wielonarodowy tłum. Może Ehud będzie tak dobry i pożyczy jej osiołka? Nie ujdzie daleko na piechotę z tymi tobołkami. Już wie, że go nie zapyta. Przecież nie ma pojęcia, na jak długo zatrzyma się w Ain-Karim. Dziś myśli, że będą to może dwa tygodnie, ale co zrobi z osiołkiem, jeśli potrwa to miesiąc, albo dwa? Kiedy tam dotrze, zorientuje się w sytuacji i wtedy dopiero będzie mogła ocenić, na jaki czas powinna zaplanować swoją wizytę. Zamierzała pozostać u kuzynki tak długo, jak długo będzie jej potrzebna. Nie, nie może pozbawić sąsiada narzędzia pracy. Będzie musiała zrezygnować z zabrania ze sobą grubszego płaszcza. Jednak wodę i prowiant zabrać musi. Droga potrwa przecież cztery do pięciu dni i to w terenie górzystym, surowym i odsłoniętym. Słońce w dzień pali niechętnie, bardzo dokucza pragnienie. Pamięta swoją pierwszą pielgrzymkę z rodzicami. Była wtedy jeszcze bardzo mała. Ta to niósł ją na ramionach, prawie przez cały czas; cztery dni na barana, prawda, z małymi przerwami. Pamięta gorąco bijące z pleców taty i to, że były mokre, tak bardzo, że można było wykręcać i płaszcz ojca i jej tunikę. Czy teraz sama da radę? Czy nie zasłabnie? To dopiero sam początek. Przez najbliższe tygodnie nie będzie niczego widać. Czy uda się ukryć nudności?

Nie myśl Miriam. Twoje potem nie będzie zależało od ciebie. Po powrocie od Eliszy oddasz się w ręce Jehose. Jeśli to sprawa Jehowy, to on się o wszystko zatroszczy, jeśli to był omam, twoja imaginacja, to tym bardziej nie powinnaś się martwić.

To nie Jehose jest zagrożeniem, ale prawo, na którego straży stoi cała gmina. Jeśli ktokolwiek zauważy, że jestem przy nadziei będzie zobowiązany donieść na mnie kapłanom. Zostanę potraktowana jak każda kobieta nierządna i ukamienowana. Czy tego pragnie Jehova? Anioł mówił, że Jehova posyła na świat swojego syna, wyczekiwanego Mesjasza. A ja nie mam wyjścia, muszę wierzyć.

Miriam, bądź spokojna! Dziś i tak powinnaś milczeć na ten temat. Gdyby Jehose dowiedział się, że jestem przy nadziei na pewno nie puściłby mnie do Ain-Karim, ale najpewniej nie uwierzy i nie zrozumie. A ja nie będę umiała mu tego wytłumaczyć. Tego nie da się wytłumaczyć. Zresztą, nie potrafię znaleźć słów, aby opisać to, co się wydarzyło. Potrzebuję czasu. Muszę porozmawiać z Elisze. Jeśli Elisze-niepłodna, Elisze-stara oczekuje dziecka, to będzie znaczyło, że to nie był sen, że rzeczywiście Jehova mi zaufał.

Skończ już z tymi myślami! Napominała samą siebie. A może lepiej iść bez pożegnania? Ale co zrobi Jehose, jeśli jej jutro nie zastanie w domu? Doniesie na nią do świątyni? Nie, on nie mógłby tego zrobić, jest za dobry! Po prostu będzie się martwić!

Narzeczony

Kiedy zbliżała się do domu jego rodziców, wydawało się jej, że wszyscy słyszą, jak mocno bije jej serce z przejęcia. Bała się, że Jehose zatrzyma ją siłą. Wiedziała, że się mu nie sprzeciwi. Kobieta musi być posłuszna mężczyźnie. Najtrudniejsze było to, że nie mogła wyjawic mu powodu swojej decyzji. Dlaczego musi odwiedzić Eliszę? Jeśli mu powie, że właśnie dowiedziała się, że kuzynka spodziewa się dziecka, to zaraz ją zapyta skąd to wie. Nie umiem kłamać! Pewnie szkoda, ale gdyby skłamała, Jehose zacząłby zadawać pytania, a nie umiała przewidzieć wszystkich i przygotować sobie wariantów odpowiedzi. Poza tym naprawdę jest uczciwa, po prostu kłamstwo jakoś nie chce jej przejść przez usta. Nawet kiedyś próbowała, ale zanim cokolwiek powiedziała, strasznie się zawstydyła. Nie umie kłamać.

Drzwi były uchylone, wypowiedziała jednak tradycyjne powitanie i weszła dopiero wtedy, gdy jej przyszła teściowa przeprowadziła ją przez próg domu. Jehose pracował w warsztacie. Jego matka zajęta była wyrabianiem tradycyjnych placków na oliwie. Przywitały się, obmyły dłonie i już razem skończyły przygotowywanie kolacji. Po posiłku poprosiła ukochanego o rozmowę. Kiedy usiedli przed chatą poczuła się bardzo samotna i bezradna. Czekala w milczeniu, aż on pierwszy się odezwie.

– W czym mógłbym ci pomóc?

No właśnie. W czym mógłby mi pomóc?



– Jehose, czy nie znasz kogoś, kto mógłby zrobić mi taką grzeczność i pożyczyć mi na jakiś czas osiołka?

– Osiołka? A na co ci osiołek?

– Nie gniewaj się na mnie i zanim nie skończę, proszę, Jehose, nie przerywaj mi. Wiem, że to ważne, że muszę tam iść, do Ain-Karim. Czuję, że Elisze mnie potrzebuje. Stało się coś ważnego, wyjątkowego. Nie pytaj mnie o nic więcej. Dziwnie to wygląda, bardzo nieprawdopodobnie, ale proszę uwierz mi, proszę cię Jehose, uwierz, że to ważne, bardzo ważne. Wiem, że Elisze mnie potrzebuje, ja jej również.

– O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

– To zrozum, proszę Jehose: potrzebuję osiołka, ponieważ wybieram się jeszcze dzisiaj do Ain-Karim, czy mi pomożesz?

– Nie powinnaś iść sama, wiesz o tym. Nie możesz. Nie rozumiem skąd ci to przyszło do głowy. Nie poznaję cię. Kobieta musi być poddana mężczyźnie. Co powiedzą kapłani, jeśli dowiedzą się o twoich planach? Co powiedzą o mnie? To ja będę z nimi wtedy rozmawiał. Ponieważ twój ojciec zmarł, a nie masz innego krewnego, to ja za ciebie odpowiadam.

– Spróbuj mnie zrozumieć Jehose. Czy wierzysz w sny?

– W sny? Nie wierzę w sny, ale rozważam to, co w nich usłyszę.

– Jehose, skoro tak, to proszę zaufaj słowom, które ja usłyszałam.

– Spróbuję, ale czy nie powinnaś mi opowiedzieć tego snu?

– Na razie nie mogę. Jeśli mi nie pomożesz i tak wyruszę w góry. Ukochany, wróć. Poczekaj na mnie proszę. Nie martw się. Ty odpowiadasz za mnie, ale ja odpowiadam przed Jehową. Słucham jego głosu. Dlatego natychmiast wyruszą do Ain-Karim.

Jehose milczy. Widzę zmarszczkę na jego czole. Wysilek. Czy zatrzyma mnie siła? Jeśli nakaze mi pozostać w domu jego matki, będę mu posłuszną, tak nakazuje tradycja, nieposłuszeństwo jest surowo karane.

Wciąż milczysz kochany. Czas ucieka. Widzę siebie już w drodze. Rzemyki sandałów wbijają się w zakurzone, spuchnięte stopy. Pot splywa po twarzy, droga prowadzi wciąż pod górę. W tłumie nie ma ucieczki przed gwarem. Głośne ryki zwierząt, nawoływania poganiaczy, rozmowy kupców i modlitwy pątników. Pył unosi się w powietrzu, razi światło odbite od białych skał, męczy pragnienie i uciążliwy brak intymności. Krępujące jest złatwianie naturalnych potrzeb. Teren jest odkryty, porośnięty jedynie ciernistymi berberysami, czasem trafi się niski figowiec, który nawet nie daje cienia. Studnie rozmieszczone są tak, aby można było zaopatrzyć się w wodę na dzień drogi. Noce należy spędzać w gospodach z innymi pielgrzymami. Tak mówi prawo, tak jest bezpiecznie. Jak to zrobić, aby nikt nie domyślił się, że podróżuje samotnie?

– Pójdę z tobą! Pożyczę osła od kupca Ibrahima. Zapłacę mu z góry za miesiąc.

– To wspaniale! Dziękuję! Dziękuję ci Jehose! Czy moglibyśmy wyruszyć jeszcze dziś?

– Spróbujemy. Wróć do domu i poczekaj na mnie.

Jehose znał Miriam. Wiedział, że będzie mu posłuszną, jeśli nakaze jej zostać, to ona mu się nie sprzeciwi. Widział jednak w jej prośbie coś niezwykłego. Młoda kobieta, która rzadko przecieżyła podróżowała, nagle postanowiła, że przejdzie sama sto pięćdziesiąt kilometrów!

Dlaczego od razu nie zapytała czy Jehose z nią pójdzie? Skąd ten pośpiech? Same pytania Jehose, same pytania. Nie myśl zbyt wiele, bo niczego nie wymyślisz. Tajemnica. Teraz do Ibrahima!

Jehose chciał pójść z osłem, ale osioł z Jehose – nie bardzo i choć został już opłacony, nie udało się wyprowadzić osła z zagrody. Zaparł się. Jehose wrócił do domu bez osła, spakował najpotrzebniejsze rzeczy, pożegnał z matką i zajął do warsztatu, aby porozmawiać z majstrem. Mają dużo zamówień, majster nie puści go na dłużej niż dwa, może trzy dni. To oznacza, że nie będzie mógł zaprowadzić Miriam do samego Ain-Karim.

I na co ja liczę? Że stanie się cud i że Miriam jakoś sama dotrze do Ain-Karim? Sama? Na pewno nie! Kobietom bez opieki podróżować nie wolno. Trzeba ją odprowadzić. Czas ruszać w drogę, ukochana nie powinna zbyt długo na ciebie czekać!

Przed warsztatem stał osioł. Przyprowadził go młody niewolnik Ibrahima. Nadal się opierał, kiedy Jehose próbował przejąć wiaźadło, dlatego chłopak zaproponował, że podprowadzi ich pod domek Miriam. Tam jakimś cudem zwierzę pozwoliło się zakulbaczyć i nawet nie protestowało, kiedy posadzono na nie dziewczynę.

Wśród pielgrzymów

Tak jak się spodziewali, do Jerozolimy ciągnęły tłumy. Jehose miał świadomość, że ma tylko dobrą, aby znaleźć opiekę dla narzeczonej. Po kilku godzinach drogi w potwornym upale dziewczyna wyglądała na zmęczoną. To był najwyższy czas, aby poszukać dla niej miejsca noclegowego. Najbliższa gospoda okazała się wyjątkowo obszerna. W izbie dla kobiet znalazło się wystarczająco miejsca dla Miriam. Mężczyźni nocowali w szopie za gospodą.

W nocy palono ogniska. Jehose wyszedł z dusznej szopy, usiadł i grzał się. Od najbliższej świątyni dzieliło ich dwa dni drogi, dlatego to tutaj włożył na głowę tałes i pogrążył się w modlitwie. Każdy pobożny Żyd zna Torę. Jehose wielbił swojego Boga psalmami. I w rozmowie z Jehową próbował szukać odpowiedzi i wsparcia. Po godzinie skończył i wstał od ognia.

– Jehose to ty? Ktoś zawołał go po imieniu. Oczy odzwyczajone od ciemności szukały znajomej twarzy. Jehose jednak był chwilowo ślepy. Ktoś podszedł do niego, ktoś niższy, i szarpnął go za rękaw płaszcz, pociągając w stronę ognia, Jehose omal się nie wyrzucił.

– Elia?

– Tak, bracie. Co tu robisz?

– Chodźmy gdzieś dalej spokojnie porozmawiać, cieszę się, że cię widzę. Elia, co u ciebie?

– Idę z bratem i jego małżonką do Jerozolimy na święto, a poza tym, to wyprawa po żonę! Rebeka mieszka pięćdziesiąt stadiów za Jerozolimą. Po święcie odbędzie się nasze wesele!

– Mazel Tow! Elia, cieszę się!

– Ale teraz ty, Jehose mów!

– Ja mam już żonę, właściwie, to jeszcze nie mieszkamy razem, ale jesteśmy już sobie obiecani. B'ezrat haszem już długo! Odpoczywa teraz z kobietami w gospodzie.

– I podróżujecie razem?!

– Elia, wiem, że to wygląda podejrzanie, że nie powinniśmy być w podróży widziani razem, sami. Ale sytuacja jest wyjątkowa. Proszę nie pytać o słowa wyjaśnienia, ponieważ ci ich nie udzielię. Sam nie zostałem wtajemniczony. Miriam postanowiła odwiedzić swoją kuzynkę w Ain-Karim. Tak, jest tu z mną. Jako jej jedyny opiekun odpowiadam za jej bezpieczeństwo. Powiniennem jednak jutro wracać do Nazaretu, aby gmina nie nabrała podejrzeń. Wszyscy wiedzą, że nie mieszkamy jeszcze razem. Nie mogę jej pozwolić iść bez opieki, ale Miriam tak bardzo pragnie odwiedzić swoją kuzynkę, że mam wrażenie, że gotowa jest pójść do niej sama!

Milczenie. Żydzi często milczą. Czy zanim odpowiedzą proszą Jehowę o światło? Elia nic nie mówił i długo patrzył przyjacielowi w oczy.

– Jak nazywa się kuzynka, do której idzie Miriam?

– Elisze, żona jerozolimskiego kapłana Zachariasza.

– Znam Zachariasza, wiem gdzie mieszka!

I Elia znowu milczy. Twarz skupiona, oczy przymknięte. To, co najważniejsze rozgrywa się w jego umyśle i w sercu. Jeśli się nie zgodzi, to będzie to ostrzeżeniem i sygnałem, że Jehose popełnił błąd, że mu zaufał, i że ani on ani Miriam nie będą już mogli wrócić do Nazaretu.

Serce Jehose biło jak szalone, zdążył już dziesięć razy pożalować, że cokolwiek powiedział Elii. To była straszliwa głupota! Skąd ma wiedzieć, czy przyjaciel ich nie wyda?

– Dobrze Jehose, zaopiekujemy się Miriam. Odprowadzimy ją do samego Ain-Karim.

– Mazel Tow Elia! B'ezrat Haszem!

– B'ezrat Haszem, Jehose!





Podejrzana sprawa, zauważył Elia, ale, że był pobożnym Żydem, to starał się źle nie myśleć o przyjaciółach; o wrogach to już, co innego. Odprowadzą Miriam, nie nadłożą wiele drogi, ponieważ miejscowość, w której mieszka jej krewna, oddalona jest o trzydzieści siedem stadiów od Jeruzolimy i właściwie będzie im po drodze. Lepiej za dużo nie myśleć o tej sprawie. Dotrzymać słowa, a potem milczeć, a najlepiej zapomnieć.

Jehose nie opuściły obawy, ale w obecnej sytuacji nie znajdował żadnego dobrego rozwiązania. Elia już wie. Podjął się opieki nad Miriam. Jest dobrym człowiekiem, pobożnym Żydem. Jehose miał nadzieję, że jego przyjaciel ceni sobie jednak bardziej ludzkie życie niż żydowskie prawo. I tej nadziei Jehose desperacko się uczepił.

Wątpliwości

Silny niepokój wyrwał Miriam ze snu. Coś było nie w porządku. Jej serce biło szybciej, dłonie i stopy miała lodowate. Po chwili zdała sobie sprawę, że boli ją również brzuch. Może z nerwów, pomyślała najpierw. Ale kiedy wstawiała, aby napić się wody, ręką natrafiła na wilgotne miejsce na pościeli, nie był to pot.

Krew? Skąd? Jak to?! Co się dzieje? Zakręciło jej się w głowie. Musiała usiąść, inaczej by zasłała.

Strach odbiera nadzieję, wpędza w bezradność, zabiera oparcie i rodzi nieufność.

Szum w głowie. Jak uspokoić oddech?

Comiesięczna nieczystość? Niemożliwe! Anioł zapowiedział poczęcie dziecka. Uwierzyłam mu! Co teraz?! A może to przemęczenie? Jeśli ktoś zauważy krew, nie będę mogła podróżować! Powinnam wrócić z Jehose! Co ja sobie myślałam decydując się na tak długą drogę?

Oddech już spowalnia, dłonie jednak wciąż lodowate, boi się poruszyć.

Trzeba wyczyścić posłanie i szatę.

Czyli mam wracać? Zapomnieć o przesłaniu? To nie był zwykły sen, wiem to na pewno.

Jeśli jednak noszę pod sercem maleństwo – to, co się dzieje?

Skąd ta krew? Nie chcę się bać.

Boże, nie chcę się bać! Obiecałeś, że mnie nie zostawisz. Nie mogę niczego powiedzieć Jehose, jeszcze nie.

Tak się cieszyłam! Co teraz?

Jehova, boję się. Co mam zrobić?!

Miriam, Bóg ogniem hartuje duszę. Umiłowanych sprawa w ufności. Uczepiła się tej myśli całą wolą i spróbowała na nowo uwierzyć temu, co usłyszała od anioła. Musi spotkać się z Elisze. Jeśli ona jest przy nadziei, to będzie to dla niej znakiem. Będzie dowodem na to, że niczego sobie nie wymyśliła.

Ale co dalej, Miriam, co dalej? Za cztery miesiące trudno będzie ukryć prawdę. Zabiją cię, kiedy się dowiedzą. Miriam nie myśl, póki co nic nie jest pewne. Jak to? Przecież Jehova obiecał. Jego słowo jest prawdą.

Ale jak mam zaufać?

Muszę spróbować.

Na razie tajemnica musi pozostać tajemnicą.

Nawet dla mnie.

Świt zastał Miriam na kolanach. Spała oparta o ławę, kiedy obudziła ją Samarytanka pracująca w gospodzie.

Jehose pożegnał się, miał nadzieję, że oddał Miriam w dobre ręce. Widział, że czuła się skrępowana, ale jednocześnie wydawało mu się, że w jej oczach widzi radość i wdzięczność,

że tak szybko udało się znaleźć dla niej opiekunów. Ufała Jehose całkowicie. Mógłby ją sprzedać a pomyślałaby, że zrobił to w dobrej wierze. Teraz to on musi wierzyć, że Elia dotrzyma słowa i nie zdradzi ich.

Pozostałe dwa dni minęły spokojnie i bez niespodzianek. W dzień podróżowali w tłumie, a w nocy, choćby dla kobiet, udawało się znaleźć kawałek podłogi w przydrożnej gospodzie.

Czwartego dnia pod wieczór dotarli do Ain-Karim. Tam się pożegnali z Miriam. Elia i jego krewni ruszyli w dalszą drogę.

Potwierdzenie

Zachariasz i Elisze mieszkali w wygodnym, kamiennym domu na wzgórzu. Część pomieszczeń, głównie sypialnie, wykute były w skale, dzięki temu panował w nich chłód. Właśnie do takiej sypialni zaprowadzono gościa, aby przywitał się z odpoczywającą gospodynią. Elisze była w siódmym miesiącu ciąży. Już niemłoda, ciężko znosiła wyzwania odmiennego stanu, jednak na widok kuzynki poderwała się z postania i z wielką czułością ją uściskała.

– Miriam! To naprawdę ty! Witaj w naszym domu! Siostrzo, bądź pozdrowiona! Jehova jest wielki! Zobacz, Pan zaszczerpił we mnie nowe życie! We mnie: uschłym drzewie! Ta, która straciła już wszelką nadzieję, oczekuje dziecka! Stara kobieta stała się młodą matką! Jakże się cieszę! B'ezrad haszem!

A ty Miriam?! Ja wiem. Miałam sen. Ty zostałam wyróżniona. Miriam, Pan wybrał cię na matkę swego syna. B'ezrad haszem! Twój syn będzie naszym Mesjaszem! W tobie i przez ciebie spełnią się wszystkie proroctwa. Niech Jehova będzie uwielbiony! Zobacz, na twój widok poruszyło się dzieciątko w moim łonie! Przyszłaś sama? Jak się o mnie dowiedziałaś? – Elisze wypowiedziała wszystkie te słowa na jednym oddechu.

– Bądź pozdrowiona Elisze! Miałam sen, w którym anioł powiedział mi, że spodziewasz się dziecka. Natychmiast spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i wyruszyłam w drogę. Nie martw się. Jehose zaprowadził mnie do pierwszej gospody, a tam przekazał mi w ręce dobrych przyjaciół. Ale ty na pewno potrzebujesz pomocy! Elisze, teraz odpoczywaj, a ja się wszystkim zajmę.

– Miriam, ty również nie powinnaś się przemęczać. Proszę zachowuj się roztropnie, abys nie zasłała z przemęczenia. Ktoś mógłby niepotrzebnie zwrócić na ciebie uwagę. Musimy ukryć twój stan. Czy Jehose wie?

– Nie, nie wiedziałam jak mu powiedzieć.

– Będziesz musiała wrócić do Nazaretu zaraz po moim rozwiązaniu. Do tego czasu musimy mieć nadzieję, musimy ufać, że Jehova o wszystko się zatroszczy.

Dolegliwości na szczęście nie powtórzyły się i Miriam czuła się raczej dobrze podczas swojego pobytu w Ain-Karim. Miewała nudności, szczególnie przed pierwszym posiłkiem, ale udawało się ukrywać ten fakt. Miriam po prostu nie wychodziła ze swojej izdebki dopóki nie napełniła żołądka, a w ciągu dnia towarzyszyła Elisze w jej dodatkowych posiłkach.

Została w Ain-Karim do czasu, kiedy Elisze urodziła syna.

Później wróciła do Nazaretu.

Jehose musiał zapłacić Ibrahimowi za kolejne dwa miesiące najmu osiołka. Zwierzęciu dobrze było w domu Zachariasza i Elisze. Tak dobrze, że nie chciał wracać. Kiedy jednak posadzono na niego Miriam, ruszył posłusznie w drogę. ■

Maria Peszt – iberystka – jest autorką nowonarodzoną, choć jakiś czas temu przekroczyła trzydziestkę. Mówi: „Kiedy tworzę, wszystkie wydarzenia i przeczytane książki wyciągają do mnie pomocną dłoń”. Oprócz opowiadań pisze wiersze i baśnie. Prywatnie żona i mama czwórki pociech. Tytuł opowiadania *B'ezrad haszem! znaczy Dzięki Bogu!*





Profesor Barbara Gutkowska od lat przygląda się czterem kręgom literackim. Jej prace obejmują refleksję nad prozą polską XX wieku, biografistykę literacką (głównie w jej odmianie diarystycznej), związki literatury i życia literackiego współczesności, a także relacje literatury, mitologii (symboliki) i ideologii przeszłego stulecia. Za literaturoznawczą konsekwencję uznać należy skoncentrowanie się badaczki na wszystkich polach dwudziestowiecznej literatury polskiej (poezja, proza, dramat, diarystyka), jednocześnie różnorodność wyboru form literackich jest przy tym planowa. Badaczka nie chce się na jakimś konkretnym obszarze sztuki słowa (sub) specjalizować, ale wybiera z niego najistotniejsze fragmenty, które poświadczają znaczenie i wagę historycznoliterackiego *nucleus*. Mowa tutaj zarówno o głębokich związках pisarza z historią narodu i biografią społeczną, jak również o jego wyobraźni artystycznej – jedynej w ostateczności gwaranta podmiotowości.

Barbara Gutkowska od początku swej naukowej biografii niestrudzenie przygląda się tym kwestiom. W jej dorobku mieszczą się klasyczne już niemal dla polskiego literaturoznawstwa pozycje (jak choćby pierwsza zasadnicza monografia powieści Stanisława Dygata), a także obszerne, przekrojowe studia o dwudziestowiecznej polskiej diarystyce. Są w nim ujęte błyskotliwe interpretacje wierszy Bolesława Leśmiana i – wreszcie – prace o charakterze popularnonaukowym, skierowane do środowiska szkolnego (tu: bardzo dobrze sproblematyzowana książka o kanonicznych dramatach Sławomira Mrożka, *Tangu i Emigrantach* oraz dwie krótkie – lecz treściwe – interpretacje podręcznikowe: *Trans-Atlantyku* Witolda Gombrowicza i *Cudzoziemki* Marii Kuncewiczowej). Owa wielorakość form pisarstwa naukowego jest imponująca. Profesor Gutkowska to nie tylko uniwersytecka uczona, ale także – otwarta na inne dyskursy – uczestniczka współczesnego życia polonistycznego (akademickiego i szkolnego).

Jej wczesny dorobek to istna feeria nazwisk i problemów. Badaczka przez lata przyglądała się m.in. Jerzemu Andrzejewskiemu, Stanisławowi Dygatowi, Witoldowi Gombrowiczowi, Pawłowi Jasienicy, Mieczysławowi Jastrunowi, Światopełkowi Karpińskiemu, Marii Kuncewiczowej, Bolesławowi Leśmianowi, Jerzemu Niemojowskiemu, Czesławowi Straszewiczowi, Zbigniewowi Uniłowskiemu. Kilka szkiców o tych pisarzach weszło do monografii *Odczytywanie*



PORTRETY MISTRZÓW

Profesor Barbara Gutkowska

MARIAN KISIEL

śladów. W kręgu dwudziestowiecznego autobiografizmu (2005), większość jednak spoczywa w różnych tomach zbiorowych. Ten pozostający w rozproszeniu dorobek Gutkowskiej uклада się w trzy interesujące projekty badawcze. Są to: projekt Leśmianowski (Habilitationka jest autorką trzech szkiców o poezji twórcy *Łąki*, wnikliwych i niejednokrotnie opozycyjnych wobec wcześniejszych koncepcji historycznoliterackich), projekt emigracyjny (tu trzy szkice o twórczości Jerzego Niemojowskiego – pisarza kontrowersyjnego, lecz

ważnego dla zrozumienia mechanizmów życia literackiego na emigracji po 1945 roku), a także projekt tożsamościowy (tu refleksja na temat „polskiej duszy”, wyrażona w szkicach o prozie Dygata, Gombrowicza i Straszewicza). Wymienione szkice mogą stać się w przyszłości podstawą do dalszych uszczegółowień, bądź też wejść w skład osobnego zbioru autorskiego.

Naturalnie, w tym dorobku najważniejsze miejsce zajmują autorskie książki Barbary Gutkowskiej. Pierwsza z nich (*Powieści Stanisława Dygata. Czas i przestrzeń życia i marze-*





nia, 1996) jest skróconą wersją doktoratu, druga (*O „Tangu” i „Emigrantach” Sławomira Mrożka*, 1998) powstała jako pomoc szkolna, lecz w istocie rzeczy przekracza ramy opracowań pomocniczych. Obydwie publikacje są – w najlepszym tego słowa znaczeniu – interpretacjami głęboko osadzonymi w tradycji badań polonistycznych, nie odtwarzają porządku dotychczasowych odczytów ale konstruują własną propozycję lekturową.

Książka o Dygacie ma układ dwudzielną. Najpierw badaczka poddaje oglądowi najwstępną formalną powieści twórcy *Jeziora Bodeńskiego* (status bohatera, styl i techniki fabularzacyjne) i ich tematykę (tu: mitologie narodowa oraz erotyczna), a następnie – w części drugiej – przechodzi do szczegółowych interpretacji tekstowych. Teoria literatury wspomaga tutaj lekturę, lecz nie wysuwa się na plan pierwszy. Przejrzystość konstrukcji (mocna strona pisarstwa naukowego Gutkowskiej) sprzyja precyzji analitycznej. Studium o powieściach Dygata jest bardzo dobrze sproblematyzowane, wyraziście i po raz pierwszy na obszarze polonistyki ukazując artystyczną maestrię twórczości zonglującej schematami literatury elitarnej i popularnej, technikami literackimi i filmowymi, tematem wysokim i powszechnym.

Stanisław Dygat został tutaj nazwany „Piotrusiem Panem polskiej literatury powojennej, po mistrzowskiemu potrafiącym wykorzystać doświadczenia dwudziestowiecznej prozy awangardowej i jednocześnie umiejętnie pozyskać względy szerokiej publiczności literackiej”. Przywołując taką analogię, badaczka czyta autora *Karnawału* w kontekście wyższych figur znaczeniowych. Wprawdzie nie zawsze i nie wyłącznie, lecz ta perspektywa dominuje w przyjętej przez Gutkowską metodzie opisu. W deklaracji badawczej czytamy: „Przedmiotem mojej pracy stał się opis wielkich figur semantycznych: w postaci literackiej narracji, fabuły, czasu i przestrzeni, implikujących określone konteksty literackie, socjologiczne, psychologiczne i światopoglądowe. W zakres obserwacji włączyłam kategorię ironii, uznając ją za właściwość stylu powieści Dygata i wyznacznik jego autorskiej i światopoglądowej postawy”. Wierna tej deklaracji, Barbara Gutkowska z rozważą i precyzją analizuje kształt narracyjny sześciu powieści Stanisława Dygata, zatrzymuje się nad charakterystycznymi dla niej motywami („mitologiami”: narodową i erotyczną) i schematami fabularnymi („mitologizacją fabuły”), konstruk-

cją postaci („ironicznym autorem-narratorem-bohaterem”). Bardziej ją interesuje finałny wizerunek opisywanej prozy niż jej światopoglądowe proveniencje. Do nich również się odnieść, lecz raczej z literaturoznawczej powinności niż osobistych upodobań.

Zaletą monografii jest nie to, że udziela ona odpowiedzi wyczerpujących, lecz to, że uwyrażnia komplikacje artystyczne, w jakie proza Stanisława Dygata jest uwikłana. O tym zasadniczo traktuje część pierwsza pracy, poświęcona mitologiom pisarskim i panoramicznie kreśląca ich usytuowanie „w świecie kulturowych schematów, stereotypów i mitów”. Mitologie te zostały świetnie pokazane w części drugiej książki, w której badaczka przedstawiła nowe i konsekwentnie ze sobą zespolone interpretacje *Jeziora Bodeńskiego*, *Pożegnań*, *Podróży*, *Disneylandu* oraz (traktowanych łącznie) *Karnawału* i *Dworca w Monachium*. Z książki Barbary Gutkowskiej wyłania się portret pisarza świadomego swojego rzemiosła, a równocześnie twórcy, który doskonale wykorzystuje doświadczenia całej prozy XX wieku.

Teza *Powieści Stanisława Dygata* brzmi tak: „Oryginalny synkretyzm tej prozy sprawia, iż sytuuje się ona na pograniczu autobiografizmu, socjologizmu, psychologizmu i kreacjonizmu. Każda z podjętych przez Dygata konwencji odbija jedynie określony fragment rzeczywistości, których suma daje pełniejszy obraz ludzkiej egzystencji. Kolejne powieści są parafrazami *Jeziora Bodeńskiego*, a ich tematem jest uwikłanie jednostki w kulturowe – narodowe, ideologiczne, socjologiczne i obyczajowe – stereotypy i schematy zachowań, od których bezskutecznie usiłuje się wyzwolić”.

Równie ambitnie pomyślana została książka o *Tangu* i *Emigrantach* Sławomira Mrożka. Odwołując się w niej do schematu opracowań w ramach Biblioteki Narodowej, Barbara Gutkowska przyjęła tezę o literackim, a nie teatralnym charakterze sztuk tego twórcy. Ta opcja interpretacyjna (dramat należy do literatury) pozwoliła badaczce uwyżnić „zamyknie w słowie” subtelności obu utworów i nie podlegające, by użyć terminu Zbigniewa Raszewskiego, „partyturze teatralnej”. Literackość dramatów Mrożka, uwyrażnia się więc na obszarze konkretyzacji, kiedy trzeba rysunek psychologiczny postaci wydobyc z ledwie zarysowanych scen. By przenieść kwestię na płaszczyznę teatru: interpretator staje się tutaj i reżyserem (twórcą koncepcji), i aktorem (sobowtórem literackiego bohatera).

Bardzo to inteligentnie zostało pokazane na drodze precyzyjnych, detalicznie wyłożonych analiz.

W monografii *Odczytywanie śladów* Barbara Gutkowska podjęła refleksję nad dwudziestowiecznym autobiografizmem. Nie jest to dla polskiego (współczesnego) literaturoznawstwa teren dziewiczy, ma on już około trzydziestoletnią tradycję badawczą, szczególnie jednak intensywnie rozwinięta w latach 80. (np. w studiach Małgorzaty Książek-Czerwińskiej, Ireny Skwarek, Reginy Lubas-Bartoszyńskiej, Jerzego Łukosza, Romana Zimanda) i na przełomie stuleci (poza obficie przyswojonym piśmiennictwem obcym, warto tu przypomnieć choćby monografie Czerwińskiej, Andrzeja Zieniewicza, Hanny Gosk, Joanny Cieplińskiej czy Jerzego Madejskiego). Zainteresowanie to znalazło także swój realny wymiar w polityce wydawniczej po roku 1975. Publikacje dzienników m.in. Zofii Nałkowskiej, Marii Dąbrowskiej, Jerzego Andrzejewskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Pawła Jasienicy, Mieczysława Jastruna, to wstępna zaledwie czynność owego wzmoczonego „odczytywania śladów” przeszłości, która przeszłością – z wielu względów – stać się nie chce. Nasza lektura dopiero się zatem rozpoczyna, będzie ona przybierać rozmaite kształty.

Barbara Gutkowska postanowiła spojrzeć na przeszłe stulecie od strony zamkniętej w słowa biografii intymnej, politycznej i kulturowej, *in effectu* jej studium otwiera (wydany w roku 1913, lecz obejmujący lata 1910-1911) *Pamiętnik* Stanisława Brzozowskiego, a zamykają (opublikowane w latach 2001 i 2004) paradienniki Manueli Gretkowskiej *Polka* i *Europejka*. W takiej „ramie tekstowej” pokazane zostało tamto stulecie, do którego nie możemy przyłożyć jeszcze żadnych pewnych kryteriów, ponieważ wciąż jest intelektualnym i emocjonalnym problemem polskiej duszy. W „ramie” umieszczono refleksję nad innymi tekstami autobiograficznymi: Zbigniewa Uniłowskiego, Witolda Gombrowicza, Mieczysława Jastruna, Pawła Jasienicy, Jerzego Andrzejewskiego, Marii Kuncewiczowej i Zygmunta Mycielskiego. Dziewięć postaci i dziewięć tekstów: obok wielkiego filozofa kultury (Brzozowski) kiepska skandalistka (Gretkowska), obok gatunków pewnych (dziennik, powieść) gatunki niepewne (sylwy, hybrydy). Wszystko to, by przywołać metaforę estancji Gonzala z *Trans-Atlantyku*, unieważnia się tutaj i także dopełnia: wysoka kultura wzajemnie zjada się z niską polityką, wielka literatura podgryza małą (i odwrotnie), po-





stawa niezłomności bywa zastępowana postawą uległości, konfesja ociera się o kicz, a intymność pragnie odnaleźć swoją wewnętrzną formę w kształtach publicznej ekspresji. Oto podany „w pigułce” wiek XX, czas widziany poprzez biografię istnień i biografię tekstów.

Badaczka wybrała dziewięć ważnych postaci polskiej kultury, pominęła inne. Nie ma w jej książce szkiców o Bronisławie Malinowskim i Cezarym Jellencie, nie ma Marii Dąbrowskiej i Stefana Kisielewskiego, nie ma obu Brandysów (Kazimierza i Mariana) i Jerzego Zawieyskiego, nie ma wreszcie Jarosława Iwaszkiewicza i Czesława Miłosza. Wybór nazwisk i utworów jest tutaj redakcją tematów i redukcją materiału, jest także – by odwołać się do Anthony’ego Giddensa – możliwą „trajektorią” losu (od przeszłości do przyszłości); „możliwą” w tym sensie, że każdy inny układ postaci i materiału daje gwarancję dopełnień lub rewizji zarysowanego projektu. W tym sensie propozycja intelektualna Barbary Gutkowskiej jest i ważna, i oryginalna. A wreszcie – odważna, ponieważ łączenie postaci i ich poglądów ponad historyczną „wspólnotą miejsca” oraz pomimo światopoglądowej *varietas*, zawsze rodzicie pytania o sens, cel i zasadność podjętej czynności lektury.

Studium to mimo mocnego zakorzenienia w teorii, filozofii i antropologii literatury ma charakter interpretacyjny, historycznoliteracki. Przemienność tematów głównych: Polska i polskość, kultura i religia, polityka i ideologia, podmiot i zbiorowość itd., stale obecna w przywoływanych przez badaczkę tekstach, służy ujawnieniu autkreacyjnych strategii diarystów oraz, by tak powiedzieć, „gry” podmiotu ze światem. Poszczególne rozdziały rozprawy, każdorazowo świetnie napisane, są – naturalnie – w swoich partiach szczegółowych (a nawet tezach) dyskusyjne, niemniej poziom, na jakim ta dyskusja mogłaby być prowadzona jest zawsze wysoki.

Dwa przykłady. Pierwszy: w fascynującym szkicu o *Pamiętniku* Brzozowskiego autorka stawia tezę, iż jest to „przemysłany akord puentujący uczestnictwo Brzozowskiego w kulturze” i przeciwstawia ją tezie Ostapa Ortwiną, który twierdził, że ostatni tekst twórcy *Idei* jest namiastką zamierzonej od dawna autobiografii. Otóż to przeciwstawienie wcale nie musi być tak ostre i można pomyśleć tekst konkurencyjny, opierając się np. na korespondencji Brzozowskiego i jego wstawkach odautorskich w ogłoszonych przez niego pracach, całkowicie uzasadniający opinię Or-

twina. Drugi przykład: *Przeźrocza* Marii Kuncewiczowej. Dość niska ocena tego tekstu wypływa z niewiary badaczki w prawdziwość konfesji pisarki, z przekonania, że nakłada ona maskę. Tymczasem autkreacyjna strategia diarysty jest zawsze sposobem istnienia; u Kuncewiczowej widać to już w *Naturze* i *Fantomach*. Czy „niepogłębione” refleksje wynikają z jej niewiedzy, czy może mieszczą się w nurcie współczesnego franciszkanizmu, tzn. w granicach potoczności, której przecież nie możemy zaliczyć do gorszej sfery myśli tylko dlatego, że nie podejmuje dyskusji z pojętnością (*intelligentia*) kultury...

Przywołuję te dwa przykłady po to, by podkreślić, że mamy oto do czynienia ze studium żywym, którego tezy będą jeszcze wielokrotnie dyskutowane. Wielką wartością książki *Odczytywanie śladów* jest bowiem jej intelektualna otwartość, prowokowanie dyskusji, a wreszcie łączenie kwestii artystycznych z zagadnieniami szeroko pojętej kultury literackiej.

Autorka najczęściej ukazuje podmiotowość twórców w kontekście aparatów ideologicznych państwa (termin Louisa Althussera) i wynikających z tej relacji związków z historią, polityką oraz środowiskiem artystycznym. Szkice o Andrzejewskim, Jasienicy, Jastrunie czy Mycielskim są właśnie tego rodzaju. Nieco inaczej w studiach o Brzozowskim, Uniłowskim, Gombrowiczu i Gretkowskiej, gdzie na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie artysty i jego pytanie o miejsce w swojej formacji kulturowej. W ogóle, jak się zdaje, jest to pytanie centralne książki Barbary Gutkowskiej. Rola podmiotu w stale zmieniających się warunkach społecznych i światopoglądowych, jego pozycja określona przez rodowód (szlachecki, inteligencki, proletariacki), jego światopogląd wsparty przez genealogię lub budowany wbrew niej – oto podstawowe dylematy dwudziestowiecznej kultury i jej wybitnych reprezentantów.

Edward Balcerzan pisał kiedyś, że autobiografia zastąpiła w XX wieku wielką epikę. Autorka *Odczytywania śladów* twierdzi, że dziennik jest „powieściową mistyfikacją”. Służy autoprezentacji politycznej i moralnej, wystawia intymność na widok publiczny, twarz przykrywa maską, kreację nazywa konfesją. Współczesność polska w owej „grze” podmiotu ze światem (czytelnikiem) iryzuje emocjami. Tworzy kulturę opartą na iluzjach i z niej wyprowadza kodeks etyczny. Ostatnia książka Barbary Gutkowskiej, w której widać metodologiczne

przedłużenie myśli z monografii wcześniejszej, nosi tytuł: *Wyzwania i wyzwania. Od Andrzeja Trzebińskiego do Sławomira Mrożka* (2013). Traktuje ona o etycznej wspólnotcie, której początek widać w roku 1939 (koniec II Rzeczypospolitej), a reaktującą (lub koniec) już w naszych czasach. Bohaterami są Czesław Straszewicz, Zygmunt Mycielski, Andrzej Trzebiński, Czesław Miłosz i Zbigniew Herbert, Edward Balcerzan i Sławomir Mrozek. Naturalnie – inni także, bo literatury nie daje się czytać tylko jednostkowo. Trzebiński jest zatem tutaj widziany poprzez pryzmat „artystycznego światopoglądu, estetycznej i etycznej ideologii oraz egzystencjalnego heroizmu”; Straszewicz to moralista, przenikliwy diagnostyk ludzkich postaw, uwikłań ideologicznych i rzecznik katastroficznej czy pesymistycznej wizji świata; Mycielski – „wzór kultury obcy współczesności”, nasz Don Kichote – „rozpoznał „koniec wielkich narracji”; dzieło Balcerzana to „zapis procesu poznawczego, ruch indywidualnej, oryginalnej myśli, bezkompromisowości w intelektualnym zmierzaniu się pisarza z formą, sobą i rzeczywistością”; o Mrożku zaś powie badaczka, że „cała [jego] autobiograficzna twórczość jest [...] przykładem – charakterystycznego dla nowoczesności zradikalizowanej – konsekwentnego tworzenia tożsamości refleksyjnej, czyli takiej, „[...] za który jednostka jest odpowiedzialna. [...] Nie jesteśmy tym, czym jesteśmy, ale tym, co z siebie zrobimy”. A taka autoprezentacja ma nacechowanie etyczne, zakotwiczone w sferze wartości i znaczeń”.

Pisząc o poetach, prozaikach i krytykach wieku XX Barbara Gutkowska szuka w ich dziele nie tylko tego, co artystyczne, ale i etyczne. Biografie (i zapisy autobiograficzne) są tym, co jedynie prawdziwe w sztuce porozumienia. „Co nie jest biografią, nie jest – w ogóle”, pisał Stanisław Brzozowski. Pani Profesor w swoim poszukiwaniu owego „w ogóle” stara się pokazać, jak wielkie i jednocześnie niespokojne intelektualnie było przeszłe stulecie. A jednocześnie – otwarte na nowe wyzwania. Ostatni projekt badawczy jest temu otwarciu właśnie poświęcony. Seria wydawnicza *Literatura i...*, redagowana m.in. z prof. Agnieszką Nęcką, pokazuje jak stulecia XX i XXI – bliskie sobie i jednocześnie odległe – są dwiema stronami tej samej rzeczywistości istnienia: chaosu, granic, potencjalnych możliwości. „Ja” zamkniętego w słowie.





BLASK ARCYDZIEŁ

Fot. Jaromir Paszek



Blask *Ferdydurke*

JERZY PASZEK

Najśłynniejsza powieść Witolda Gombrowicza ukazała się w Warszawie jesienią 1937 roku, choć na jej stronie tytułowej widniała data 1938. Pisarz w Argentynie, wraz z kilku znajomymi literatami, przełożył swój ulubiony utwór na język hiszpański (1947). W tłumaczeniu wprowadził szereg poprawek, które utrzymał również w polskiej reedycji dzieła z wiosny 1957 roku, chociaż na stronie tytułowej pojawiła się tu data 1956. Najobszerniejsze zmiany przeprowadził autor w rozdziale IV, czyli w *Przedmowie do „Filidora dzieckiem podszytego”*, o czym możemy się przekonać studiując aparat krytyczny, zawarty w opracowanym przez Włodzimierza Boleckiego drugim tomie *Pism zebranych Gombrowicza (Ferdydurke)*. Kraków 2007). W dalszych wywodach cytuję tekst powieści i materiały zgromadzone przez Boleckiego w aneksach tej obszernej książki (tekst – s. 5-241, dodatek krytyczny – s. 245-833), używając skrótu FB.

Tytuł utworu nawiązuje do powieści Sinclaira Lewisa *Babbitt* (1922; polski przekład Zofii Popławskiej, 1927), gdzie Ferdy Durkee występuje jako bohater metamorfozy charakterologicznej (z zastraszonym subiekta staje się odważnym

i pewnym siebie starszym subiektem). W czytanim przez Babbitta (jest to świetnie uchwycony typ prowincjonalnego mieszczaucha) żonie fragmente reklamy kursu krasomówczego podkreśla się tę zdumiewającą przemianę: „Jak sądzisz, kogo spotkałem wczoraj wieczorem w restauracji De Luxe? Starego Ferdy Durkee, subiekta od pana Mose-mana [...] nigdy nie placono mu tyle, ile była warta jego praca. On w De Luxe! Zamawia sobie najwybredniejsze dania [...] Wrzeszczy na kelnera jak jaki milioner! [...] Ferdy uśmiecha się i mówi: [...] Oto jak do tego doszedłem. Wpadło mi w ręce ogłoszenie Kursów, na których uczą ludzi wyrażać się płynnie i stosownie, [...] składać oferty, zabawiać towarzystwo” (FB 402).

W 2004 roku Henryk Markiewicz dokonał rewelacyjnego odkrycia (vide: „Teksty Drugie” 2004, nr 6, s. 234-235). Oto w mało znanym pisemku („Problemy. Dwutygodnik Polityczno-Literacki” 1935, nr 7) znalazł przedziwną etiudę Gombrowicza pod nagłówkiem *Uszy*, będącą parodią przytoczonego poprzednio fragmentu powieści Lewisa: „Jak sądzisz, kogo spotkałem wczoraj wieczorem w restauracji De Luxe? – Starego Ferdy Durkee, subiekta od Pana Mose-mana [...] Był

to niedołęga i wszyscyśmy z niego kpieli. – Szalenie bał się pana Mose-mana, a poza tym był tak chorobliwie nieśmiały, iż nie odważył się nigdy **wypić na kolację więcej nad jedną kroplę mleka, a i to musiał zamykać się na klucz w wygodce.** [...] Mose-man, bliski ataku apoplektycznego, rozpiął kołnierzyk i krawat. Ferdy nic, tylko **jedną ręką bawiąc się twarzą pani Mose-mana, drugą wyjadł panu Mose-mana ananasową sałatkę z talerza**” (FB 263-265, podkr. J.P.).

Jak widać, Gombrowicz uważa, że powstawanie nowego utworu może polegać na wyszukiwaniu wszelkich istniejących dzieł. Stąd bierze się parodia, pastisz, persyflaż bądź podejście karykaturzysty. Oczywiście jest, iż Lewis nawet w minimalnym stopniu nie sugerował takiego kierunku przemiany jego powieści. Ale Gombrowicz we wspomnianej *Przedmowie do „Filidora dzieckiem podszytego”* zastanawia się poważnie nad sposobami zaistnienia na literackiej arenie. Było to już po nieprzyjaznym przyjęciu jego debiutanckiej książki pt. *Pamiętnik z okresu dojrzewania* (1933), zawierającej 7 opowiadań; wydanie powojenne (1957) miało ich o 5 więcej, przy czym zmieniono tytuł na *Bakakaj*; edycja krytyczna (*Pisma zebrane*. T. 1: *Bakakaj i inne opowiadania*, oprac. Zdzisław Łapiński, Kraków 2002) przynosi dodatkowo jeszcze 4 nowele (autor przejął się negatywnymi opiniami Juliusza Kadena-Bandrowskiego, Tadeusza Sinka, Pawła Hulki-Laskowskiego, Ignacego Fika). Tutaj – w reakcji na cierpką i paternalistyczną recepcję swego debiutu – zdradza arkana i tajniki techniki literackiej, która umożliwi mu wejście na polski Parnas: „I polecam wam moją metodę nasilania przez powtarzanie, dzięki której powtarzając systematycznie niektóre słowa, zwroty, sytuacje oraz części nasilam je potęgując zarazem wrażenie jednolitości stylu do granic nieomal maniackich. Przez powtarzanie, przez powtarzanie najśladniej tworzy się wszelka mitologia!” (FB 65).

Jest to technika, o której mówi amerykański teoretyk i praktyk beletrystyki, George Saunders, w esejie *Co tak naprawdę robi pisarz, kiedy pisze*, przełożonym przez Agnieszkę Pokojką („Książki” 2017, nr 2, s. 56). Oto skrót jego koncepcji: „Jako artysta stwarzam wyrafinowaną przestrzeń (wyrafinowaną pod względem języka i formy [...]), po czym zapraszam czytelnika do środka. Nie może uwierzyć, że mam o nim aż tak dobre zdanie, gdy jestem przekonany, że przemówię do niego subtelne niuansy tego wnętrza [...] Taki sposób pracy nad tekstem sprowadza się więc do tego, żeby wyobrazić sobie czytelnika, jako istotę równie wrażliwą, inteligentną, błyskotliwą, doświadczoną i życzliwą jak ja. Oraz do pamiętania o tym, że [...] muszę utrzymać, wciąż poprawiając tekst, wielkoduszne wyobrażenie o nim. Z każdą lekturą niezadowolającego zdania udoskonalam – w wyobraźni – swojego czytelnika”. Autor bestsellerowej powieści *Lincoln w stanie bardo* (termin z filozofii buddyzmu), którą w przekładzie bożymy





w 2018. roku, w dalszych wywodach odwołuje się do obrazu żonglera i maczuga: „Wyrzuciwszy w górę kilka odpowiednio interesujących maczuga, pisarz wie, że muszą zacząć opadać. [...] Jedną z przyjemności, jakich doświadczyłem, dopiero pisząc powieść, polegała na tym, że maczuga było więcej niż w wypadku opowiadań, dłużej wisały w powietrzu i spadały w sposób, którego zupełnie nie umiałem przewidzieć” (op. cit., s. 57).

Gombrowicz jako swoje „maczugi” w *Ferdynandzie* wybiera trzy środowiska: uczniowskie, mieszczańskie, ziemiańskie. Te maczugi wyrzuca do góry tak, by uzyskać efekt satyryczny. Dodatkowo maczugi – wtrącone nowelki o Filidorze i Filiberce – kreują nastrój groteski, znany już z cytowanej etiudy *Uszy*. W znalezionej przez Markiewicza parodii powieści Lewisa „ucho” pojawia się w zdaniu: Ferdynand „zachowywał się jakby był sam w pokoju, to znaczy dął w ucho i mówił sam do siebie” (FB 264). Czyli słabe to uzasadnienie tytułu karykaturalnego szkicu. Gdybyśmy powiedzieli, że powiązanie utworu Lewisa i Gombrowicza jest jakimś nadużyciem, naciąganiem „za uszy”, to chyba byłibyśmy bliżsi zrozumienia intencji autora *Bakakaju*. W debiutanckiej powieści niewinny prymus szkolny Pylaszczkiewicz, pseudonim Syfon, jest „gwałcony przez uszy”. Miętuś krzyczy do niego: „Nadstaw uszko! Na szczęście jeszcze można dostać się do ciebie... na siłę... przez uszy... [...] Miętuś go przyduś! I wytworzyła się pogoń na podłodze, gdyż goniciel zaczął ustami to jedno, to drugie znów ucho Syfona, który turlając głową, uciekał z uszami – i zaryczał widząc, że nie może uciec, zaryczał, by zagłuszyć zabójcze, uswiadamiające słowa” (FB 61, podkr. – w cytatach – J. P.). O śmierci Syfona mówi się zdawkowo i z podejrzanym dobrym humorem: „Zgwałcony przez uszy, nie mógł przyjąć do siebie [...] powiesił się pewnego popołudnia na wieszaku” (FB 118).

Bo trzeba tu powiedzieć, że głównym tematem *Ferdynandzie* (nb. tytuł ten może mieć nijaki, ale także żeński i męski rodzaj, na co pozwala czytelnikom dobrodusznemu autor) jest życie seksualne młodzieży, nowoczesnych mieszczan, ziemianstwa czy rozpustnego chłopstwa. Ba, w samym akcie twórczym wścibski detektyw doszuka się metaforyki płciowej. Wystarczy porównać *Przedmowę do „Filidora dzieckiem podszytego”* z 1937. i 1957. roku; w pierwodruku pojawia się zdanie: „Ale patrząc na was zdawać by się mogło, że człowiek lęka się rzeczywistości, jak śmiertelnego wroga i powołany jest do znęcania się nad nią i do **wydymania** jej wedle swojego widzimisie, że człowiek piszący nie jest od tego aby dążył do realiów, lecz aby fikcyjną bajeczką zakłamał świat cały do niemożliwości, do przesady” (FB 384); w reedycji autor po słowie „wydymania” dodał przecinek i synonim „wydymania” – „wylbrzymianie”: „Porzucicie zatem owo cackanie się ze sztuką, porzucicie – na Boga! – cały ten system **wydymania** jej, **wylbrzymiania**; i zamiast upajać się legendą, pozwólcie,

aby fakty was stwarzały” (FB 73). Każdy dostrzeże, iż Gombrowicz raz mówi o wydymaniu (wylbrzymianiu) rzeczywistości w akcie twórczym, a za drugim razem – kładzie nacisk na to, że prawdziwa sztuka opiera się na faktach, a stąd nie należy na siłę zniekształcać tzw. rzeczywistości przedstawionej w utworach. Może to i nieważne różnice, ale ciekawe jest, że w „wydymaniu rzeczywistości” autor – po latach – wyczuł dwuznaczność!

Do roku 2013., czyli do wydania pośmiertnej książki Gombrowicza pod tytułem *Kronos* (wstęp Rity Gombrowicz, posłowie Jerzego Jarzębskiego, przypisy tychże i Klementyny Suchanow, Kraków 2013, s. 460), wiedza o pisarzu rozwijała się bujnie, przyspieszając około roku 2004 (stulecie urodzin autora *Opętanych*) niewiarygodne rozmiary 10 tomów corocznie! Po tym owocnym w głośne monografie okresie, by wspomnieć o książkach Michała Głowińskiego (*Gombrowicz i nadliteratura*, Kraków 2002, s. 284), Ewy Graczyk (*Przed wybuchem wstrząsnąć. O twórczości Witolda Gombrowicza w okresie międzywojennym*, Gdańsk 2004, s. 320), Michała Pawła Markowskiego (*Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*, Kraków 2004, s. 410), Olafa Kühla (*Gęba Erosa. Tajemnice stylu Witolda Gombrowicza*, tłum. Krzysztof Niewrzęda, Maria Tarnogórska, wstęp Włodzimierza Boleckiego, Kraków 2005, s. 326), Łukasza Garbala (*„Ferdynand”. Biografia powieści*, Kraków 2010, s. 274) – nastąpiła posucha, spowodowana, moim zdaniem, bezpruderyjnymi wyznaniami autora *Pornografii*. Są to m.in. takie fragmenty *Kronosa*: „Wzrasta oczarowanie... Z początku te spacerki po porcie, Retiro... Odkrywam teren na Corrientes. Chodzę dużo. Ale jeszcze mam duże wymagania – i ambicje... Po czym przystosowuję się. Okres zahamowania [...] A potem już oddaję się całkowicie wybierającej pasji” (op. cit., s. 83); „Chico/a z Avenida Costanera [...] Puta w hotelu. [...] Wzrastająca erotyka. [...] Esperma [‘sperma’] bar [...] Zerwanie z Gustavo” (op. cit., s. 88). Wymowa tego tomu jest jednoznaczna – Gombrowicz był od wieku młodzieńczego biseksualistą, czyli – jak mówią skrabliści – osobnikiem „bi”! Co zmienia aurę wokół pisarza i jego dzieła: nie ma już żadnych niedomówień!

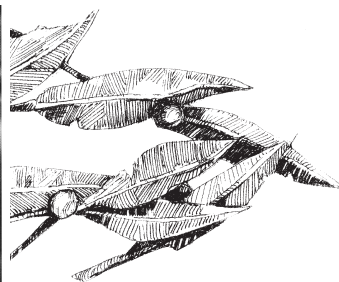
A to z kolei w oczywisty sposób wpływa na interpretację nie tylko argentyńskiej mikropowieści *Trans-Atlantyk* (1953), w której występuje bogaty homoseksualista („puto”), ale i *Ferdynandzie*, gdzie kolega szkolny 30-letniego Józia Kowalskiego, 18-letni Miętuś (pseudonim Miętalski, Miętoł) najpierw oznajmia: „Zgwałciłem służącą” (FB 167), a potem podczas pobytu na wsi dąży do „pobratania się” z parobkiem Walkiem, co wujek Józia, Konstanty Hurlecki, przyjmował jako dowód pederastii i „przy obiedzie przepijał doń [Miętusa] za pan brat na gruncie homoseksualnym” (FB 218).

Kłopoty czytelnika z wczesną fabułą Gombrowicza polegają właściwie na stylu *Ferdynandzie*, który skrzący się błyskotliwymi gramami słów, kalamburami, wielo-

znacznością. Jeśli w opracowaniu szkolnym (vide: Jerzy Paszek, Filip Mazurkiewicz: *Przeżyłacie „Ferdynandzie”*, Katowice 1998, s. 72-73) poświęcono na dowodzenie tezy, iż dzieło pisarza definiować należy jako SATYRA RARYTAS (ten palindrom ma 2 sensy: po pierwsze chodzi tu o „rarity” sprośnego Satyra czy Sylena, a po drugie o apozycję, stwierdzającą, iż ta „satyra” na stosunki międzywojenne w szkole, w nowoczesnej rodzinie Młodziaków, w starodawnej posiadłości Hurleckich jest unikatem literackim, czyli rarytatem!) kilka rozdziałów, to widocznie nie każdy czytając takie zdania, jak „Starkę podaj!” (FB 231; dwuznaczność słowa „starka” – „gdowa” i wódka wyborowa), „służba usługiwała na **palcach**” (FB 190 i 191; nie tylko cicho, ale i na bosaka!, podkr. W. G.), „pinczerk wabił się z pudłem” (FB 212; tu pojawia się anagram: WABIŁ – BAWIŁ), „wuj Konstanty [...] – Cugi – rzekł – były. Ale już się skończyły” (FB 189; chodzi i o konie do powozów, ale także o przeciągi w dworze) potrafi bezbłędnie wysledzić wszelkie meandry myśli i zmyśleń Gombrowicza.

Wymieniony przeze mnie polonista niemiecki Olaf Kühl pisze, iż w powieści o Józju „Pod pozorem niewinnych gier słownych działa [...] dość już zuchwała metaforyka erotyczna” (op. cit., s. 91). Podaje przykłady następujących niestandardowych użycy wyrazów, prowadzące do dzikich i dziwacznych groteskowych obrazów: „ciocia [...] pławila się w podgorączkach i krwawej bieguncie wuja” (FB 188), „Przy stole poplamionym starą” (FB 232), „Wina! Franciszku, kaźcie przynieść z piwnicy ‘babkę Henrykową’ – napijemy się kieliszczykami” (FB 207). Lubi pisarz igrzać solecyzmami, czyli niepoprawnymi w polszczyźnie konstrukcjami składniowymi typu „bezwzględny belfer tak mnie nagle zbełzrzył absolutnym belfrem swoim” (FB 37), „maleć w ciotce to coś przedziwnie nieprzyzwoitego, lecz maleć w wielkim belfrze zdawkowym jest szczytem nieprzyzwoitej małości” (FB 18) czy też „w niej byłem, ona mnie w sobie zawierała razem z mym szyderstwem [...] Tortura – tkwić bez reszty w nowoczesnej pensjonarce” (FB 122). Dwuznaczność polega tu na grze „oscylującym sensem. Szczególnie znaczenie posiada przy tym ‘bycie zawartym’ i ‘sterczenie w czymś’” (op. cit., s. 93). Obsceniczność jest wyrazna, choć autor może się bronić, iż źle odszyfrowujemy ten metaforyczny komunikat, który jest w istocie tak niewinny! Nie każdy podziela to zdanie, bo należy dopuścić wszak osąd, że taka barokowa maniera komuś lub czemuś służy! Dla mnie – miłośnika szaradziarstwa i rozrywek umysłowych – są to plusy języka Gombrowicza (sięganie po graniczne potencje polszczyzny!), ale nie każdy musi lubić tak wysyłony i udziwniony dyskurs Gombrowicza-filozofa. Notabene, *Ferdynandzie* ma swe hasło w *Encyklopedii rozrywek umysłowych*, opracowanej przez Krzysztofa Oleszczyka (Konstancin-Jeziorna 2007, s. 135).





Floreccistki GKS, mistrzynie Polski z roku 1967. Od lewej: Wanda Kaczmarczyk-Fukała, Halina Balon, Danuta Balon, Elżbieta Mnich-Pawlas.

Floreccistki z GKS

HENRYK MARZEC

Były czasy, że katowicki sport szermierką stał. I nie ma w tym przesady. Funkcjonowały dwie wspaniałe sekcje szermiercze w Górniku-GKS i Baildonie. Katowiccy szermierze należeli do ścisłej krajowej czołówki. W mistrzostwach Polski seryjnie zdobywali medale. I tak Baildon sięgnął w sumie po 96 medali MP, a GKS po 128 medali MP. Szermierze katowiccy reprezentowali barwy narodowe w najważniejszych światowych i europejskich imprezach. I odnosili cenne zwycięstwa. Jedną z najsilniejszych w kraju sekcję szermierczą miał Górnik-GKS. Trenowano we wszystkich broniach (szabla, szpada, floret). Wspomniałem, że szermierze GKS zdobyli w sumie 128 medali mistrzostw Polski. Dodajmy od razu, że połowa tego dorobku jest zasługą florecistek. Tak. W latach 1957-1968 florecistki GKS dominowały na krajowych planszach. Ustanowiły, dotąd nie pobity rekord, 12 pod rząd zdobytych złotych medali mistrzostw Polski. W następnych latach również sięgały po medale. Florecistki GKS zdobyły w sumie 64 medale mistrzostw Polski (indywidualnie i w drużynie). Przypomnijmy nazwiska zawodniczek, które rozstrzelały katowicki sport.

SYLWIA JULITO-GEMBALCZYK – KOZŁOWSKA. Urodziła się w Chorzowie 28.03.1929 r. Szermierkę zaczęła uprawiać trochę przypadkowo. Miała 22 lata kiedy pierwszy raz zobaczyła walczące florecistki. Spodobał się jej ten sport i postanowiła spróbować

w nim swoich sił. Zaczęła trenować w Górniku Katowice. Na początku traktowano ją trochę z uśmiechem. Dorosła panna chce się bawić w szermierkę, to niech się bawi. A jak jej sprawa to przyjemność to dobrze – mówiono. Mało kto jednak wierzył w jej sportowe możliwości. Jej głównym sportowym wychowawcą był fechtmistrz Adolf Czipionka, który szybko dostrzegł w niej szermierczy talent.

Przełomowym w karierze sportowej Sylwii był rok 1955. W turnieju indywidualnym o mistrzostwo Polski niespodziewanie stanęła na podium. Wywalczyła brązowy medal. Wprzeczyli ją tylko koleżanki klubowe z Górnika Anna Adamczyk i Urszula Koch. W turnieju drużynowym również wywalczyła brązowy medal. Ten rok nie tylko dla Sylwii był wyśmienity. Był również początkiem supremacji florecistek Górnika Katowice na krajowych planszach. W następnych latach były niepokonane w rywalizacji drużynowej. A indywidualnie też regularnie stawały na podium. Od 1957 r. rozpoczęła się seria zwycięstw Sylwii na krajowych planszach. Trzy razy pod rząd Sylwia sięgnęła po tytuł mistrzyni Polski. Do tych tytułów dorzuciła jeszcze wicemistrzostwo w 1961 r. i mistrzostwo w 1962 r. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych była naszą najlepszą florecistką. Odniosła również wiele zwycięstw w międzynarodowych turniejach. Można powiedzieć, że przejęła krajowy prymat po Annie Skupień-Włodarczyk, też katowiczanki z Baildonu.

Krajowy prymat przejęła po niej Elżbieta Cymerman-Franke z gliwickiego Piasta. Przez te lata była silnym punktem w drużynie Górnika (GKS), z którą wywalczyła 11 tytułów mistrza Polski.

Olimpijka z Rzymu 1960 była w dobrej formie. W eliminacjach wygrała cztery pojedynki. Awansowała do ćwierćfinałów. W tej fazie turnieju coś się u niej „zacięło”. Musiała uznać wyższość rywalek. Walczyła w drużynie, która wygrała z faworyzowaną Francją 9:6 i USA 8:8 (lepsze trafienia), ale o półfinał nasze florecistki przegrały z Włoszkami 5:9. Drużyna sklasyfikowana została na 5-8 miejscu.

Po zakończeniu czynnej kariery zajęła się szkoleniem młodzieży w Pałacu Młodzieży w Katowicach. Pracowała w tej placówce prawie 22 lata i odnosiła sukcesy szkoleniowe. Przez ten czas wychowała całą plejadę utalentowanych zawodniczek, które sięgały po medale mistrzostw Polski w różnych kategoriach wiekowych. W gronie tym można wymienić Mariolę Muchę, Iwonę Orzechowską-Pawlik, Barbarę Malik, Barbarę Szewczyk-Wolnicką srebrną medalistkę olimpijską w drużynie w Sydney 2000 r. Piękna postać sportsmenki i wyśmienitego szkoleniowca.

WANDA KACZMARCZYK-FUKAŁA. Podpora drużyny floretowej Górnika Katowice (GKS). Urodziła się w Katowicach 2.09.1935 r. Zaczynała zabawę w szermierkę w sekcji Międzyszkolnego KS Katowice, w którym wychowało się wielu zawodników i zawodniczek. Po rozwiązaniu klubu (odgórna decyzja władz) przeszła z całą grupą do Górnika Katowice. W klubie tym szermierzami „dowodził” wyśmienity szkoleniowiec fechtmistrz Adolf Czipionka. W młodej dziewczynie dostrzegł dobre predyspozycje do szermierki. I nie pomylił się. Wanda wykazała się pracowitością i była bardzo ambitna. O bardzo dobre wykształcenie techniczne zadbał Adolf Czipionka. Śmiało można powiedzieć, że była wyróżniającą zawodniczką w drużynie florecistek, która pod rząd zdobyła 12 tytułów mistrza Polski, od 1957 do 1968 roku. Takim wyczynem do tej pory nie popisały się żadne inne drużyny szermiercze. Dodajmy jeszcze, że drużyna





GKS (Górnika) wywalczyła jeszcze mistrzostwo kraju w następnych latach. Dokonały tego młodsze koleżanki. Walcząc w drużynie odniosła najwięcej zwycięstw. Pod tym względem jest rekordzistką w gronie wszystkich florecistek katowickiego klubu. Miała natomiast trochę pecha w turniejach indywidualnych o mistrzostwo Polski. Stawała na podium, ale nigdy na miejscu oznaczonym numerem jeden. Wywalczyła 6 razy brązowy medal. Na drodze po lepsze trofeum „przeszkodziły” jej w tym Sylwia Julito dwa razy, Genowefa Migas-Stawarz z Baildonu jeden raz oraz Elżbieta Cymerman-Franke z Piasta Gliwice trzy razy.

Dwukrotna olimpijka. W Rzymie 1960 odpadła po eliminacjach. Walczyła w drużynie, która została sklasyfikowana na 5-8 miejscu. W Meksyku 1968 też się jej nie powiodło. Po tych igrzyskach zakończyła czynną karierę sportową. Zajęła się domem. W międzyczasie wyszła za mąż za wieloletniego kierownika sekcji szermierczej GKS.

ELŻBIETA MNICH-PAWLAS. Nie pochodziła ze Śląska. Urodziła się w Gdyni 23.02.1934 roku. W mieście tym zaczęła się bawić w szermierkę. Następnie losy rzuciły ją do Warszawy. Ukończyła warszawską AWF. Była najpierw zawodniczką AZS AWF (1953-1955), a następnie Legii (1955-1957). W barwach tych klubów wywalczyła pierwsze medale mistrzostw Polski. Najpierw w drużynie dwa razy brąz (1953, 1954) i dwa razy złoto (1955, 1956) oraz indywidualnie brąz w 1957 r.

Na Śląsk, a dokładnie do Katowic przeniosła się z... miłości. Nie dla zadymionego Śląska, ale dla Zygmunta Pawłasa, wymienitego szablisty, dwukrotnego olimpijczyka z Helsinek 1952 oraz Melbourne 1956, gdzie walczył w drużynie, która zdobyła srebrny medal, a także czterokrotnego medalisty mistrzostw świata w drużynie. Elżbieta Mnich wyszła za mąż za Zygmunta Pawłasa i pokochała również Śląsk. Trafiła do Górnika Katowice, w barwach którego walczył także jej mąż.

W Górniku Katowice (potem w GKS), pod okiem fechtmistrza Adolfa Czipionki odniosła największe sukcesy na krajowych i zagranicznych planszach. Dwukrotna olimpijka. W Rzymie 1960 w turnieju indywidualnym spisała się bardzo dobrze. Była pierwszą polską florecistką, która dotarła do szerokiego finału olimpijskiego. Ostatecznie zajęła 6 miejsce. Walczyła również w drużynie, która sklasyfikowana została na 5-8 miejscu. Wystąpiła także w igrzyskach w Meksyku 1968. Walczyła w drużynie, która odpadła po meczach eliminacyjnych po porażkach z ZSRR 4:12 i Rumunią 6:10. Po tych igrzyskach zrezygnowała z czynnej kariery szermierczej.

Wysmienita florecistka, której nie udało się wywalczyć tytułu indywidualnej mistrzyni Polski. Najbliżej tego tytułu była w 1959 r, ale w finale przegrała z koleżanką klubową Sylwią Julito oraz w 1969 r, w którym również w finale musiała uznać wyższość Barbary Orzechowskiej z warszawskiej Legii. Straty te powetowała



Medalistki MP. Od lewej: Krystyna Tchórz-Rachel, Ludmila Bortnowska-Zaczek, Jolanta Skop, Grażyna Blacha.

sobie w drużynie Górnika Katowice, potem GKS, w której była bardzo silnym punktem. W barwach tego klubu wywalczyła 10 tytułów mistrzyni Polski.

HALINA BALON. Należała do młodszej generacji florecistek GKS. Urodziła się w Katowicach 18.04.1948 r. Przygodę z szermierką rozpoczęła w GKS Katowice pod okiem wspomnianego już parę razy fechtmistrza Adolfa Czipionki. Jej trenerem był także Zygmunta Pawłasa. Przez jakiś czas reprezentowała barwy innych klubów. Najpierw Krakowskiego KS w drużynie którego wywalczyła dwa brązowe medale mistrzostw Polski w drużynie i jeden srebrny (1969-1971). Walczyła także w barwach AZS AWF Warszawa, z którym też wywalczyła brązowy medal w drużynie (1979). Zmiana barw klubowych związana był m.in. z nauką. Ukończyła m.in. Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Największe sukcesy odniosła jednak w barwach GKS Katowice. Była mistrzynią Polski juniorów. Większe w drużynie niż indywidualnie. W swoim dorobku ma 9 tytułów mistrza Polski w drużynie (1962-1968) i (1972, 1976). Natomiast indywidualnie wywalczyła tylko dwa medale mistrzostw Polski złoty w 1971 i brązowy w 1972. Całkiem nieźle radziła sobie w rywalizacji międzynarodowej. W roku 1966 w Wiedniu wywalczyła tytuł wicemistrzyni świata juniorek. W mistrzostwach świata seniorek w roku 1971, też w Wiedniu wywalczyła z drużyną brązowy medal. I był to pierwszy medal wywalczony przez polskie florecistki w mistrzostwach międzynarodowych.

Olimpijka z Monachium 1972. Dobrze walczyła w eliminacjach, w których wygrała 5 pojedynków. W ćwierćfinałowej grupie nastąpił jakiś niezrozumiały „zastój”. Wygrała tylko jedną walkę i odpadła z rywalizacji. Drużyna, w której walczyła zakończyła start w eliminacjach.

Wspomniałem szerzej tylko o czterech zawodniczkach. Na ten bogaty i wspaniały dorobek medalowy mistrzostw Polski zapracowało znacznie więcej florecistek. Należy przypomnieć ich nazwiska.

Anna Adamczyk. Indywidualnie mistrzyni 1955. W drużynie 8 tytułów mistrzyń (1957-1964). **Danuta Balon-Zugaj.** W drużynie 7 tytułów mistrzyń (1964-1967, 1972, 1974, 1976). **Halina Szczerba-Rak.** W drużynie 4 tytuły mistrza (1967, 1968, 1972, 1974). **Grażyna Staszak-Makowska.** Indywidualnie 2 razy mistrzyni (1975, 1976), wicemistrzyni (1977), 2 razy brąz (1978, 1983). W drużynie 3 razy mistrz (1974, 1976, 1977), wicemistrz (1975, 1978, 1979, 1981, 1982, 1984, 1986). **Krystyna Tchórz-Rachel.** Indywidualnie mistrzyni 1984, wicemistrzyni 1987, 4 razy brąz (1973, 1975, 1979, 1982), w drużynie 4 mistrzostwa (1972, 1974, 1976, 1977), 6 wicemistrzostwa (1979, 1981, 1982, 1984, 1986), i jeszcze 3 razy brąz.

Jeszcze można wymienić inne medalistki w drużynie: Stefanie Hombek-Świerkot, Halinę Polok, Iwonę Orzechowską-Pawlik, Jolantę Skop, Iwonę Baron-Burian, Ludmiłę Bortnowską-Zaczek.

Ostatni medal mistrzostw Polski w drużynie w historii sekcji szermierczej GKS zdobyły florecistki w 1989 roku. Medal brązowy. Wywalczyły go w składzie Grażyna Staszak-Makowska, Krystyna Tchórz-Rachel, Iwona Orzechowska-Pawlik, Barbara Malik. Wywalczyły ten medal w roku 1989, w którym rozwiązano sekcję szermierczą w GKS. Kierownictwo klubu pozbyło się medalodajnej dyscypliny sportowej. Pozostały tylko piękne wspomnienia.





„Jubileuszowe bukiety”

O światach poetyckich ze Śląska

MAŁGORZATA RYGIELSKA

O pożytkach z jubileuszy

Konferencje, zjazdy i wszelkie uroczystości o charakterze jubileuszowym, kiedy to świętuje się wspólnie, nie rzadko w bardzo zróżnicowanym gronie, ważne, okrągłe rocznice jakichś istotnych wydarzeń z życia zbiorowości lub jednostki, mają zazwyczaj wspólny mianownik: uczczenie jubilata i zarazem wspomnienie przeszłości. Jubileusz jest okazją do podsumowań długoletniej działalności i spotkań ludzi, których łączy zazwyczaj dzielane przez nich wartości i idee. Spogląda się wstecz, nie po to jednak, by głosić apoteozę zmiany, lecz by zwrócić uwagę na ciągłość – i ludzkiego życia, i twórczości. Czasami takie spotkania stają się okazją do pogłębionej refleksji nad jakimś problemem, do wspólnych rozmów, dyskusji, wreszcie – zakrojonych na szeroką skalę projektów, dla których katalizatorem stała się jedna z rocznic, np. urodziny znanych (a może nie dość jeszcze znanych?) poetów, artystów, pisarzy. W słowie Od Redaktorów (Mariana Kisiele i Pawła Majerskiego), w tomie *Światy poetyckie Stanisława Krawczyka* (Katowice 2014) czytamy: „W 2013 roku Stanisław Krawczyk obchodził 75. rocznicę urodzin. Ów poeta osobny, z rzadka uczestniczący w literackich zgromadzeniach, organizujący jednak w swojej małej ojczyźnie – Czerwionce-Leszczynach i Dębieńsku – liczne sympozja, biesiady i seminaria literackie, niezwykle interlokutor, szanowany i ceniony, zainspirował przyjaciół ostatnim wyborem wierszy *Zrosty* (2012) tak, że postanowili na jego jubileusz skrzyknąć się i ofiarować mu swoje interpretacje”. Została więc w tym celu zorganizowana konferencja, a następnie wydano tom, będący jej pokłosiem: „Najpierw miały to być interpretacje pojedynczych wierszy, ale – jak to bywa – niektóre szkice rozrosły się” – informowali redaktorzy książki, Marian

Kisiel i Paweł Majerski, dodając: „Zbiór ten jest bukietem jubileuszowym, a także świadectwem lektury wielokrotnej, odsłaniającej piękno i głębię poezji Stanisława Krawczyka”. To zresztą nie pierwsza książka rocznicowa, poświęcona twórczości autora *Lasu mieszanego*, wcześniej ukazały się *Destruktor symbolu. Szkice o twórczości Stanisława Krawczyka* (red. P. Majerski, Czerwionka-Leszczyny 2002, w serii pod znamienym tytułem „Okolica najbliższa” oraz „Wypowiedz moje milczenie”. *Stanisławowi Krawczykowi w czterdziestopięciolecie pracy twórczej – Przyjaciele* (red. M. Kisiel, P. Majerski, Czerwionka-Leszczyny 2007).

Dlaczego więc ta akurat publikacja miałaby być wyjątkowa? Otóż *Światy poetyckie...* zapoczątkowały całą serię podobnych książek: rocznicowych, jubileuszowych, a jednocześnie w istotny sposób wykraczających poza uroczyste laudacje, pochwały, teksty wspomnieniowe czy też ceremonialne uprzejmości, tym razem uwiecznione na papierze. Ich pomysłodawcą i inicjatorem, podobnie jak poprzedzających je konferencji naukowych, jest prof. Marian Kisiel, od wielu lat zajmujący się twórczością poetów i pisarzy pochodzących ze Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego albo też ze Śląskiem bądź Zagłębiem w rozmaity sposób powiązanych. Cały ten projekt (na stronie Uniwersytetu Śląskiego została zamieszczona informacja, że „Przedsięwzięcie pt. „Światy poetyckie” ma na celu opisanie dorobku wybitnych poetów XX wieku z Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego) współtworzy wiele osób i instytucji, spośród których wymienić należy Zakład Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego, Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce-Leszczynach, gdzie odbywają się rokrocznie (a nawet częściej) konferencje pod hasłem „Świa-

ty poetyckie”, a także wydawnictwo „Śląsk”, prowadzone przez dr. Tadeusza Siernego. Często też do współtworzenia poszczególnych tomów zapraszani są badacze i znawcy poezji z całego kraju (m.in. Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, Uniwersytetu Opolskiego, a także, jak miało to miejsce przy przygotowywaniu *Światów poetyckich Feliksa Netza*, Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie).

Do tej pory w serii światów poetyckich ukazały się jeszcze: *Światy poetyckie Tadeusza Kijonki* (red. M. Kisiel, T. Sierny, Katowice 2016), *Światy poetyckie Andrzeja Szuby* (red. M. Kisiel, P. Majerski, Katowice 2016), *Światy poetyckie Wilhelma Szewczyka* (red. M. Kisiel, K. Niesporek, Katowice 2016), *Światy poetyckie Tadeusza Sławka* (red. E. Bartos, M. Kisiel, Katowice 2017), *Światy poetyckie Feliksa Netza* (red. M. Kisiel, T. Sierny), a kolejne tomy (poświęcone m.in. twórczości ks. Jerzego Szymika, Bolesława Lubosza, Stanisława Horaka) są w przygotowaniu.

Jest to bez wątpienia przedsięwzięcie unikatowe i wielkiej wagi: autorzy tomów – każdy na swój sposób – dopominają się bowiem o twórców lokalnych, być może dotąd, mimo wszystko, nie dość docenianych, nie dość poznanych albo też z różnych powodów wcześniej poznawanych być może bardziej jednostronnie (np. jako prozaicy, publicyści, działacze społeczni, politycy, tłumacze literatury, badacze, naukowcy), mniej natomiast znanych jako poeci, zmagający się ze słowem inaczej niż w innych obszarach ich niekiedy bardzo rozległej działalności. Z drugiej strony bohaterowie *Światów poetyckich...*, którym poświęcono konkretne tomy analiz i interpretacji ich poezji, to postaci wielkiego formatu, nie rzadko obrosłe legendą, których życiorysy i dzieła doczekały się już wielu, niekiedy sprzecznych ocen





i interpretacji (*vide*: Wilhelm Szewczyk, Tadeusz Kijonka, Feliks Netz). Stąd *Światy poetyckie...* to przynajmniej w pewnym zakresie *novum*, pozwalające nam odkryć inne aspekty niekiedy niezwykle bogatej twórczości takich naukowców, jak Tadeusz Ślawek (redaktorzy tomu poświęconego poezji autora *O głodzie*, a zarazem współautora *Sześciu godzin opowieści o Śląsku*, serii audycji wydanych na płytach CD, znanej także pod wymownym tytułem *My som stond* [Polskie Radio Katowice, 2008] napisali we wstępie „Chcieliśmy [...], by rozmowa o poezji stała się rozmową o obecności w poezji – również na Górnym Śląsku. Jak się okazało, linie rozumowań biegły różnymi szlakami, dlatego pisząc o poezji, autorzy wystąpienia odwoływali się też do innych form pisarstwa Jubilata: jego esyстыki, prac literaturoznawczych, szkiców z pogranicza literatury, filozofii i teologii”, a inna książka, także poświęcona Tadeuszowi Ślawkowi i powstała dla uczczenia jego różnorodnej aktywności w siedemdziesiątą rocznicę urodzin, to nie bez powodu *Polytropos: na drogach Tadeusza Ślawka. Tracing Tadeusz Ślawek's Routes* (red. P. Bogalecki, Z. Kadłubek, A. Mitek-Dziemba, K. Pospiszil Katowice 2016) już w inicjalnej, wieloznacznej formule wskazująca na mnogość traktów naukowego i nie tylko naukowego pisarstwa Ślawka, sugerująca zarazem potencjalną obfitość i różnorodność poświęconych mu interpretacji. Andrzeja Szubę możemy poznać nie tylko jako anglistę i tłumacza poezji (nie tylko brytyjskiej, ale przede wszystkim amerykańskiej, a także mniej u nas znanej, choć od co najmniej kilku lat silnie obecnej – poezji irlandzkiej), który wraz z Tadeuszem Ślawkiem wydał *Geografię wyobraźni. Antologię osobistą*, złożoną z wybranych przez obu miłośników liryki utworów brytyjskich i amerykańskich poetów, ale również jako wytrawnego liryka.

Seria tworzona i redagowana przez Mariana Kisiela oraz grono jego przyjaciół i współpracowników ukazuje nam także poetyckie oblicza Tadeusza Kijonki, wieloletniego redaktora naczelnego ważnego miesięcznika „Śląsk”, którym autor *Witraży* kierował od samego początku, od 1995 do 2012 roku, dziennikarza i działacza niemal przez całe życie (oprócz studiów w Krakowie) związanego z Katowicami i Śląskiem. W poświęconej mu *Nocie biograficznej* Marian Kisiel przypomina jego zasługi dla tego regionu, jednocześnie przypominając, iż „W roku 2014 został [on] uhonorowany Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w uznaniu „nieocenionych zasług dla kultury polskiej”” (*Światy poetyckie...*, s. 264). *Światy poetyckie* Wilhelma Szewczyka pozwalają natomiast czytelnikom prześledzić jego drogę twórczą od poezji zaangażowanej i obfitującej w tematykę społeczną (a także polityczną) po wyci-

szone, bardziej prywatne wiersze ostatnie, z uwzględnieniem niezwyklej wręcz rozpiętości tematycznej i genologicznej tej liryki. *Światy poetyckie* Feliksa Netza prezentują autora *Krzyku sowy* właśnie jako liryka, z uwzględnieniem jego bogatej twórczości prozatorskiej i translatorskiej (Netz nie tylko tłumaczył dzieła Sandora Marai’ego, ale też uczył języka węgierskiego w jednym z katowickich liceów). Przez wiele lat związany z Północnym Radiem w Katowicach oraz z miesięcznikiem „Śląsk” wspierał i promował twórczość młodych poetów (wspomniał o tym w jednym z wywiadów pochodzący z Mikołowa Maciej Melecki: „Pamiętam, że po wyjściu z redakcji byłem niezwykle rad z owego spotkania, albowiem pozostawałem pod wrażeniem doskonałej orientacji Feliksa w najmlodszej literaturze i tego, jaki emanował z niego zapał, jeśli chodzi o tworzenie w Katowicach częstych spotkań nie tylko na łamach „Śląska”, ale i też na forum publicznym, o czym parokrotnie w rozmowie wspominał”.

Światy (nie tylko) poetyckie

Marian Kisiel, ale też i inni autorzy *Światów...* wielokrotnie dopominają się – nie tylko o lokalność, ale też o próbę (na miarę literaturoznawczych poszukiwań) rozpoznania kulturowego kontekstu. Stawiają też pytania (choć nie zawsze wprost) o kulturowe uwarunkowania twórczości poetyckiej konkretnego autora. To właściwie również pytania o relacje: kultura – osobowość, o to, w jaki sposób, na przecięciu wielu różnych zmiennych, wykształca się poetycki idiom. I o to, jak konkretna rzeczywistość, w której żyje dany poeta, wpływa na kształtowanie się jego wrażliwości i wyobraźni poetyckiej. Widać to wyraźnie już od pierwszego tomu serii. „Wiersz, zdaniem Stanisława Krawczyka, powinien zakorzeniać się w rzeczywistości dostępnej naszemu poznaniu; doświadczenie świata nie może opierać się na domysłeniach, ale musi być „wyjęte” z samej istoty codzienności” (M. Kisiel, *Destruktor symbolu*, s. 15). To zakorzeniecie w rzeczywistości oznacza również wielokrotne próby jej poetyckiego opisu, w którym poczesne miejsce zajmuje m. in. hałda, „jako znak najbliższej okolicy, ale także znak tożsamości” (M. Kisiel, *Destruktor symbolu*, s. 23, K. Niesporek, „Kupa kamieni pustych i ziem plonnych”. *Hałda w poezji Stanisława Krawczyka*, s. 70-77). Krawczyk w utworze *Pieśni o matkach* z tomu *Zrosty* (Czerwonka-Leszczyny 2012, s. 96): „Między hałdami/ na zielonych parcelach/ w głębi ksiąg wieczystych/ nasze matki pod oknami/ odmawiają różaniec ojcowizny” nie tylko zarysowuje – w mowie związanej – kulturowe realia konkretnych, znanych mu miejsc,

ale też zwraca uwagę na to, jak istotna jest świadomość kulturowego dziedzictwa, zarówno w jego materialnym i niematerialnym wymiarze. *Księgi wieczyste* to nie tylko tytuł jednego z wcześniejszych tomików Krawczyka (Katowice 1991), nie tylko odniesienie do sfery *sacrum* (zwłaszcza w połączeniu z różaniec z kolejnych wersów utworu), ale też metafora długowieczności. *Księgi wieczyste* wytracają częściowo charakter poetyckiego tropu (w księgach wieczystych zapisuje się przecież prawa rzeczowe do konkretnych nieruchomości), po to, by w inny sposób uwypuklić związek z ziemią – ojcowizną, ziemią, na której żyli przodkowie, wreszcie ziemią, na której matki „odmawiają różaniec ojcowizny”.

W tomie drugim, *Światy poetyckie Tadeusza Kijonki*, czytamy, że (*Rzeźby w czarnym drzewie*) jest poetą trzech tematów: ziemi, pamięci i ciała. Właśnie w takiej kolejności, ona bowiem określa rodowodowy, kulturowy i egzystencjalny charakter jego liryki. Świadomość własnego miejsca, które skazane jest na jedyną i niepodzielną kulturę – w poezji Kijonki manifestuje się od początku i stale. Poeta konsekwentnie zagłębia się w rodowód rodziny i narodu, w siebie, aby zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da, jeśli nie zgodzi się człowiek na to wszystko, co jest faktem pamięci, faktem doświadczenia, faktem ziemi, na której się żyje, faktem ludzi wreszcie, zaludniających polski i śląski krajobraz” (M. Kisiel, *Ziemia, pamięć, ciało*, s. 14). Spostrzeżenia badacza zdaje się potwierdzać wiele wierszy Kijonki, a nawet tytuł jednego z jego najnowszych tomów, *Czas, miejsca i słowa* (Katowice 2013). Także Bogdan Zeler dostrzega nie tylko wiele wymiarów działalności Kijonki na Śląsku, ale też eksponuje wątki w jego poezji związane właśnie z tym regionem: „Był inicjatorem Kongresu Kultury na Śląsku i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach. W wierszach Kijonki oglądamy oczami poety śląski krajobraz i spotykamy mieszkańców tego regionu, śledzimy ich historię, religię i obyczaje. Ślady fascynacji Śląskiem są w liryce Tadeusza Kijonki wszechobecne” (B. Zeler, *Spowiedź poety*, s. 23-24). Nie bez powodu więc aż cztery (sic!) teksty w tomie, Krzysztofa Kłosińskiego, Marka Piechoty, Wojciecha Ligęzy i Edyty Antoniak-Kiedos poświęcone są *44 sonetom brynnowskim*, ukazując złożoność tego cyklu przy jednoczesnej otwartości na wielość interpretacji, inspirujących, oryginalnych. O „przeźreni realnej i symbolicznej” w poezji pochodzącego „z Radlina, ze Śląska” Tadeusza Kijonki, pisze Krystyna Heska-Kwaśniewicz, zadając pytanie o to, co się stanie, gdy „biografię Kijonki nałoży się na topografię miejsc poetyckich”. Badaczka odpowiada na nie i krótko, wprost, już na początku wspominając o „wierności ziemi, którą zoba-





czyliśmy w dzieciństwie” (s. 163) i w sposób bardziej szczegółowy, poświęcając twórczości autora *Czasu zamarłego* obszerne, przekrojowe omówienie. Pojawiają się też rozważania dotyczące innej problematyki, np. związanej z pojmowaniem i przedstawianiem historii w *Stygmatkach* w artykule Anny Szawerny-Dyrzki, czy dotyczącej spłotu historii i konkretnych miejsc, dla opisu których poszukuje się jak najpełniejszej formy wyrazu – pomemu w tekście Aleksandra Nawareckiego, czy wreszcie dotyczących kwestii roli poety jako komentatora aktualnych wydarzeń społecznych i politycznych (w nocie Feliksa Netza o *Czasie zamartym*).

Wilhelm Szewczyk jako poeta realizował się w różnych formach lirycznych, podejmował też niezwykle różnorodne tematy, w tym – wyraźnie związane z przemianami społecznymi i politycznymi (jak chociażby *Pogrzeb Korfante*, o którym w tomie pisze Paweł Sarana). Marian Kisiel we *Wprowadzeniu* (s. 14) zauważa natomiast: „Metafizyka lub egzystencja świadoma własnej eschatologii, staną się bodaj najważniejszym tematem tej poezji. Odnaleźć ją będzie można również w wierszach o małej ojczyźnie, Śląsk. Los człowieka trwale jest bowiem zespolony z miejscem serdecznym, krajobrazem prywatności, a doświadczenie obcości, wykorzenia, utraty czy braku jest najbardziej dojmującym doznaniem jego ziemskiej egzystencji”.

O poezji Tadeusza Sławka, który w utworze *Pieśń kopyisty* wyznał: „Moi rzemiosłem jest litera. [...] Jestem pisarzem liter, a nie słów”, poezji jawiącej się jako wyzwanie intelektualne dla czytelnika, powstał tom ponad dwustutnicowy. Znalazły się tu również artykuły poświęcone, przynajmniej po części poszukiwaniu wątków „cieszyńskich”, zdawało się, sugerowanych chociażby w cyklu *Różne podróże w okolicach Cieszyna*. Aleksander Nawarecki spytał: „Czy to na pewno są okolice Cieszyna?” i przyznał: „Wygląda na to, że dałem się nabrać, a raczej wyprowadzić w pole [...]” (A. Nawarecki, *Mucha w powietrzu. O „hotelowych wierszach” Tadeusza Sławka*, s. 111). Od przyziemnego konkretności w wspomnianym cyklu bliżej bowiem do tego, co widoczne z oddalenia, *Z powietrza*, bliżej do refleksji filozoficznej, *notabene* przeplatanej niezwykle bogatymi odniesieniami do znanych postaci i dzieł europejskiej filozofii.

Feliks Netz, który wyznał kiedyś „Bałem się Śląska jako tematu literackiego. Śląsk jako temat pojawił się u mnie stosunkowo późno, miałem chyba trzydzieści pięć, sześć lat. Opublikowałem wtedy w kwartalniku „Regiony”, którego naczelnym redaktorem był Wiesław Myśliwski, obszerny tekst zatytułowany *Drzystoń*. Coś pomiędzy reportażem a prozą narracyjną, tekst,

w którym spróbowałem zdefiniować sobie Śląsk, przywołałem serię intensywnych obrazów i postaci z Bogucic i Zawodzia, a także obraz owego familoka z Kopalnianej 1” http://wyborcza.pl/1,75410,17655354,Zmarl_Feliks_Netz_pisarz_tlumacz_i_ambasador_Sandora.html). Familok przy Kopalnianej 1 to dom rodzinny pisarza, niezwykle cenionego przez i Edwarda Redlińskiego, i przez Małgorzatę Szajnert, autorkę *Czarnego ogrodu*. Elżbieta Dutka natomiast, pisząc o liroyce Netza, stwierdziła, że „Utwory Netza układają się w biograficzną, choć i uniwersalną opowieść zarazem – opowieść o kształtowaniu się tożsamości, o szukaniu własnej drogi, w której istotny jest *genius loci* (śląski, ale i „ziemski” w ogóle)” („ *Szukając swego miejsca na ziemi, czyli w sobie*”. *Topografia Katowic* w Krzyku sowy Feliksa Netza, s. 236).

O napięciu pomiędzy „kulturą śląską”, „kulturą na Śląsku” i „kulturą województwa śląskiego”, a także o problemach jakie rodzą pytania o ich ontologię i epistemologię wielokrotnie pisała Ewa Kosowska (*Kultura w województwie śląskim*, s. 1; *Górny Śląsk – syndrom przechodniego pokoju*. Katowice 2001; *Logos „przechodniego pokoju”*, w: *Po pierwsze: Śląsk. Tadeuszowi Kijoncy w siedemdziesiąt rocznicę urodzin*, red. M. Kisiel, T. Sierny, Katowice 2007, s. 167-176; por. także: E. Kosowska, E. Jaworski, *Globalizacja a „narcyzm małych różnic”*, „Śląsk” 2001, nr 9, s. 44-45.). Anna Gomółka zastanawiała się natomiast: *Pejzaż śląski, czyli jaki?* (w: *Człowiek jest w drodze. Pejzaż śląski – pamięć, tradycja, współczesność*, red. Anna Kowalczyk-Klus i Ryszard Solik, Cieszyn 2008, s. 55-67). Autorzy *Światów poetyckich...* nie pretendują do jakichkolwiek rozstrzygnięć dotyczących tak zarysowanej problematyki. Interesują ich bowiem związki ze Śląskiem wyznaczane przez biografie poetów, których twórczość omawiają, a także bardzo różnie rozumiana „śląskość” ich liryki, zazwyczaj wyznaczana przez wątki i motywy tematyczne mniej lub bardziej ściśle powiązane z tym regionem. Wielokrotnie natomiast pojawiają się w serii uwagi o Śląsku jako „małej ojczyźnie”, „śląskim krajobrazie”, rozważania dotyczące antynomii przestrzeni i miejsca (choć niekiedy zdarza się, że przestrzeń i miejsce traktowane są jak synonimy). Rozmaicie pojmowana topofilia (niekiedy także za wykładnią Yi-Fu Tuna, por. *Topophilia: a Study of Environmental Perception, Attitudes and Values*, New York 1974) także zajmuje poczesne miejsce w rozważaniach wielu badaczy (por. artykuły Elżbiety Dutki, a także tejsze: *Zapisywanie miejsca. Szkice o Śląsku w literaturze przełomu wieków XX i XXI*, Katowice 2011).

Światy poetyckie... pozwalają także zastanowić się nad spłotem literatury

i życia, poezji i biografii. Skomplikowana problematyka relacji tekstu i *Świata za tekstem* (to tytuł wydanej w tym roku książki jubileuszowej poświęconej Henrykowi Fontańskiemu), języka i rzeczywistości pozajęzykowej powraca na kartach tej serii wielokrotnie, także w artykułach, w których próżno by szukać owych rozważań o lokalności, o *genius loci*, o przestrzeni i miejscach Śląska odwzorowywanych i poetycko przetwarzanych w liroyce. *Światy poetyckie...* to także wielowątkowa opowieść o literackich wpływach, literackich kontekstach (ale też katowickim „Kontekście”), nurtach literackich oraz konwencjach i programach estetycznych polskiej poezji XX wieku. *Światy poetyckie...* to także próby opisanego *differentia specifica* twórczości konkretnych poetów, poszukiwanie ich indywidualnego poetyckiego idiomu.

Więcej niż florilegia

Światy poetyckie... to opowieść mozaikowa, różnorodna, składająca się wszak w rezultacie na spójną, choć wielowątkową narrację. To zarazem i ukłon w stronę odbiorcy, który może wybrać dowolny artykuł z tomu, i czytelnicze wyzwanie dla kogoś, kto chciałby zapoznać się zarówno z pojedynczą książką, jak i z serią *Światów...* w całości. Na uwagę zasługuje także zamieszczona w każdym z tomów bibliografia (podmiotowa i przedmiotowa) dotycząca twórczości poetyckiej konkretnego autora, a także zamysł ideowy i konstrukcyjny, zarówno każdej pojedynczej książki, jak i całej serii. Każdy z tomów został bowiem wzbogacony o autografy wierszy i zdjęcia, nie tylko poetów, ale też ważnych dla nich osób. Nie sposób omówić wszystkich tekstów z serii, by nie wpaść w pułapkę mechanicznej enumeracji i uwzględniających tylko niektóre z wielu wązkich kwestii, pobieżnych streszczeń (a te sześć tomów, wydanych w doprawdy imponującym tempie, bo w ciągu zaledwie trzech lat, to prawie tysiąc dwieście stron omówień, not, wspomnień, wielowątkowych analiz i interpretacji). Wielość formuł wypowiedzi *Światów...* – od szczegółowych analiz i interpretacji pojedynczych wierszy, poprzez próby opisanego cykli lirycznych z uwagi na interesującą danego badacza problematykę, aż po teksty czułe, jawnie wspomnieniowe sprawia jednak, że każdy z tomów jawi się jako swoiste florilegium. To jednak nie zbioru kwiatów, a „jubileuszowe bukiety”, które oferują czytelnikowi nie bezładny zbiór złożonych razem wystąpień, lecz pewną przemyślaną całość: całość spójną przy całej swej różnorodności, całość harmonijną i w zamysłu, i w realizacji, wreszcie całość, w której każdy może odnaleźć coś dla siebie. ■





Powiedzmy od razu, bez zbytniej skromności, że jest to opowieść fascynująca o skali globalnej, w której występują geniusze, wizjonerzy i męczennicy, a także jak to w życiu bywa ludzie banalnie zwyczajni. Dziwne, że do tej pory nie powstał serial o tych wydarzeniach, może zresztą powstał, ale ja nie oglądam telewizji.

Na początku niczym bóg ojciec był Beiersdorf, Paul zresztą, dziwny facet, który w życiu szczęścia miał mało i zwykle nigdzie nie mógł znaleźć swojego miejsca. Mam duże podejrzenie, że chyba gościł trochę po ciemnej stronie mocy i był przeklęty. Interesy prowadził a to w Moskwie, a to w Zielonej Górze i jeszcze w kilku innych miejscach, aż trafił do Hamburga, gdzie zakupił aptekę przy Mühlenstrasse. Wydawało się, że wreszcie znalazł swe miejsce, zwłaszcza że udało mu się poznać młodego dermatologa, swego imiennika, Paula Gersona Unnę. Unna cieszący się tytułem profesora, miał łeb na karku i opracował rewelacyjny wówczas plaster leczniczy nazwany Guttapercha. Ten innowacyjny produkt zgłoszono do rejestracji w niemieckim urzędzie patentowym. Dzień rejestracji – **28 marca 1882 roku**, przyjęto za datę powstania firmy Beiersdorf. Na początku małej fabryczki, by nie rzec warsztaciku, zatrudniającej kilka osób.

Cud w Hamburgu

Można by przypuszczać, że z takim produktem i Unną u boku, droga do sławy i pieniędzy stoi otworem. Ale jak już wiemy Paul C. Beiersdorf był przeklęty i interes wcale nie szedł tak jak powinien. 8 lat po opatentowaniu plastra firma stała na progu bankructwa, a dodatkowo jej właściciela dotknęła straszna tragedia, samobójstwo popełnił jego 16-letni syn. Załamany, być może był on pierwszym „męczennikiem” NIVEA, Beiersdorf postanowił sprzedać interes.

I w tym miejscu następuje jak w dobrym thrillerze nagły zwrot akcji, cud, na scenie pojawia się jak anioł, rycerz Jedi, mąż opatrnościowy, niezwykły i w dodatku Ślązak, czyli w całej swej wspaniałości Oskar Tropolwicz z Gliwic i kupuje interes Beiersdorfa.

Oglądając niektóre portrety Tropolwicza (powtarzam niektóre, bo na innych wygląda na emerytowanego, wesołego członka rockowej kapeli) możemy odnieść wrażenie, że to jakiś kolejny pruski feldmarszałek z kwadratową twarzą i krótkimi włosami, ktoś w rodzaju Hindenburga. Nic bardziej błędnego Tropolwicz to super fajny gość, ktoś kompletnie odmien-



Opakowanie plastra leczniczego Guttapercha. To od niego zaczęła się historia firmy Beiersdorf. Opakowanie pochodzi z początku XX wieku, już z okresu przejęcia firmy przez Tropolwicza.

Śląskie przygody kremu NIVEA

TOMASZ BIENEK

Podobno na całym świecie co sekundę sprzedaje się jedno opakowanie produktu NIVEA, jeśli nawet to do końca nie jest prawdą, to jednak zdanie to brzmi wspaniale i mogłoby być finałem tej historii, która zaczyna się pod koniec XIX wieku na Górnym Śląsku i w hanzeatyckim Hamburgu.

ny od członków Der Deutsche Generalstab. Człowiek o społecznej wrażliwości i miłośnik sztuki nowoczesnej, pamiętający cały czas o swych rodzinnych Gliwicach, nawiązujący bezpośrednie kontakty z pracownikami, dbający o nich w sposób zadziwiający, ktoś z kim chcielibyśmy się spotkać i pogadać o szaleństwie świata.

Prawdziwie pozytywna twarz Niemiec.

Gdy w maju 1918 roku upada na hamburskiej ulicy jest człowiekiem, który może powiedzieć, że w życiu mu się poszczęściło. Łaskawy los pozwala mu nawet odejść bez cierpień we właściwym momencie. Co byłoby gdyby dożył triumfu nie używającego





Słynna, lecz trochę pechowa, pasta do zębów PEBECO ma swe korzenie w Gliwicach. Na zdjęciu opakowanie amerykańskie z okresu drugiej wojny światowej.



Tubka niemieckiej pasty PEBECO produkowanej dla Wehrmachtu w Poznaniu przez Beiersdorf A.G. Posen. Tubka, którą być może używał jakiś Ślązak posłany na front wschodni, została odnaleziona pod Stalingradem (obecnie Wołgogradem).



kosmetyków, wrednego i śmierdzącego Adolfa H.? W chwili gdy nazistowskie, populistyczne szaleństwo opanoowało Niemcy miałby 70 lat.

Ja się spytam drogi panie Tropłowitz, co by się z Panem stało gdyby Pan jednak żył na przykład w 1941 roku?

Oskar Topłowitz jest jednym z dość dużego grona ludzi, których przedsiębiorczość i wizja zmieniła Niemcy na przełomie XIX i XX wieku. Wszyscy ich znamy i kochamy, a jeśli nawet nie to korzystamy po dziś dzień z tej erupcji pomysłowości, która uszczęśliwiła świat Aspiryną, Heroiną, Merceoldem oraz wieloma innymi rzeczami. Opisując życie Tropłowitza większość koncentruje się na jego żydowskim pochodzeniu, gliwickim, wrocławskim – śląskim dzieciństwie. Zwłaszcza to drugie jest eksponowane w Polsce, tak jak byśmy chcieli troszeczkę uszczknąć z tej wielkości, bo przecież on tak naprawdę, tak ociupinkę jest nasz, taki odrobinę polski. Ech te nasze kompleksy, które chcielibyśmy naiwnie wyleczyć kremem NIVEA. Dodajmy, że w oficjalnej historii NIVEA publikowanej w sieci na różnych krajowych stronach Beiersdorfa, a kierowanej zapewne w stronę słodziutkich modowych blogerek, garkotłuków robiących za autorytety i ograniczonych umysłowo celebrytów zaludniających teraz świat, twórcy kremu jeśli nawet się pojawiają nie mają żadnej narodowości, żadnych korzeni i sprawiają wrażenie, jakby wszyscy przylecieli z kosmosu.

Ale wracajmy do 1890 roku: Tropłowitz, kupuje fabryczkę Beiersdorf, sam P. Beiersdorf znika wraz ze swymi nieszczęściami z kart historii, a 6 lat później umiera, ale ponieważ Tropłowitz zostawia jego nazwisko w nazwie firmy Beiersdorf rodzi się na nowo, trochę jak Golem, w wersji wirtualnej, nieśmiertelnej, jako nazwa firmy, nazwa produktów i powielony w milionach pudełek, puszek, tubek, reklam panuje dziś nad światem.

Dobrze znać kogoś na Śląsku

Jeszcze w 1891 roku zakłady Tropłowitza odwiedza – pociąg z Gliwic do Hamburga z przesiadką w Berlinie jechał 10 godzin – znajomy stomatolog z Gliwic – jak to dobrze pochodzić ze Śląska i mieć znajomych na Śląsku – dr Florisa. Jest to postać niezmiernie zagadkowa i nawet gdyby ten facet nie istniał naprawdę, trzeba by go wymyślić. Tajemniczy i chyba bardzo niedoceniany człowiek o pachnącym nazwisku, o którym nic nie wiemy i nawet nie znamy jego imienia, a który tak naprawdę stoi za pierwszymi ogrom-

nymi sukcesami firmy. To za jego podszepem i dla niego farmaceuta tworzy pierwsze na świecie pasty do zębów. Na początku powstały pasty „Kalichloricum” i na cześć tajemniczego stomatologa „Florisal”. Ale w tym miejscu Tropelwitz – każdemu się zdarza – popełnia błąd i pakuje je do szklanych słoiczek. Konkurencja jest sprytniejsza. Amerykańska firma Colgate & Co mająca podobny produkt wykorzystuje metalowe tubki, jakich używali w Paryżu malarze do przechowywania farb i w nich oferuje światu pastę do zębów. Odnosi sukces.

Trudno w to uwierzyć, ale fatalne skutki tego błędu trwają po dziś dzień. By nie być gołosłownym posłużymy się „mądrością” naszego słynnego ministra Sikorskiego od ośmiorniczek, że na „gębę może być krem Nivea” ale tak naprawdę potrzeba dowodów i zrobimy eksperyment – udajmy się do drogerii. Mimo poszukiwań pasty Beiersdorfa tam nie znajdziemy natomiast Colgate jest w kilkunastu wersjach.

Ale pod koniec XIX wieku jeszcze tego stanu rzeczy nic nie zapowiadało. Tropelwitz koryguje swój błąd i biorąc przykład z Ameryki i francuskich impresjonistów też pakuje swe pasty do tubek i choć dr Florisa nie poznaliśmy możemy zobaczyć piękną utrzymaną w czerni i złocie z secesyjnymi ornamentami i kwiatami nawiązującymi do nazwiska tajemniczego lekarza tubkę pasty stworzoną na jego cześć. Jest to zdecydowany unikat ponieważ wszystko trwa dość krótko. Tropelwitz łączy dwie marki w jedną, która otrzymuje w 1905 roku nazwę PEBECO i taką pastę w zielono czarnej tubce rzuca na rynek. (Trzeba zwrócić uwagę na tę nazwę, która jest skrótem od nazwy firmy P. Beiersdorf & Co, bo pełni ona podwójną rolę, nazwę produktów – pasty do zębów, a także proszku do zębów, ale później również nazwę niektórych produktów wytwórni Beiersdorfa).

Pasta PEBECO odnosi autentyczny sukces zarówno w Niemczech jak i we Francji i Wielkiej Brytanii, a również w USA. Kampania reklamowa pasty, która trwa z dużym nasileniem od 1910 do 1922 roku, owocuje wspaniałymi litografiami i ciekawymi rozwiązaniami graficznymi. Dzięki temu też znajdzie się również po raz pierwszy po dwóch stronach frontu. Gdy w 1917 roku do walki przystąpią Amerykanie to żołnierze obu armii niemieckiej i amerykańskiej będą używać pasty PEBECO i z czystymi zębami wyrzynać się na polach bitew kończącej się wielkiej wojny. W czasie drugiej wojny światowej historia się powtórzy.



Niebieska „zlepka” gminy żydowskiej w Gliwicach, która według niektórych stała się wzorem dla nowych, niebieskich puszek kremu NIVEA.

Zanim jednak dojdzie do janki Tropelwitz zasypuje świat coraz to nowymi innowacjami: białym mydłem, różnego typu plastrami opatrunkowymi, rewelacyjną szminką do ust i w 1911 rzeczą niezwykłą – kremem do skóry. By go jakoś nazwać używa chwytliwej nazwy wymyślonej 5 lat wcześniej przez jego pochodzącą z Poznania żonę Gertrudę dla białego mydła – NIVEA (Śnieg). Krem stworzył przy pomocy utalentowanego chemika Isaka Lipschytza, który widocznie nie ograniczył się przed snem do liczenia baranów oraz owiec i wpadł na pomysł jak z ich wełny uzyskać rewelacyjny Euceryl.

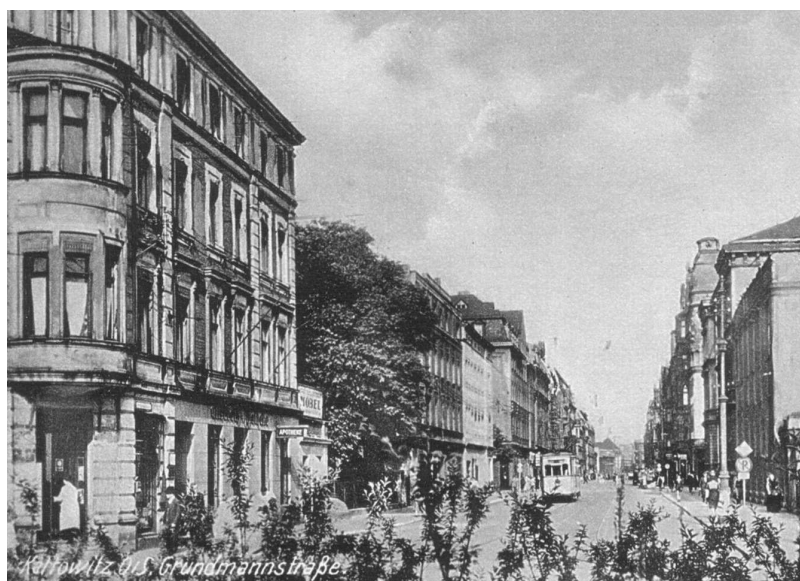
Należy sobie zadać pytanie czy Tropelwitz dostrzegł prawdziwą wartość produktu, który stworzył? Możemy mieć co do tego wątpliwości. Z naszej dzisiejszej perspektywy, gdy krem NIVEA opanował świat i można go kupić praktycznie wszędzie sprawa wydaje się jasna, w 1911 roku wyglądało to zupełnie inaczej. Krem

NIVEA mógł być co najwyżej luksusowym produktem dla kobiet, no może dzieci, klasy średniej. W czasach, gdy nawet pasta do zębów była zapewne dla wielu nieosiągalnym luksusem, krem chyba wydawał się już zbytkiem, fanaberią nawet dla mieszkańców dużych miast prężnie rozwijających się i bogacących się Niemiec. W chwili gdy Tropelwitz umierał, a było to 7 lat po stworzeniu kremu, nadal głównym, podstawowym i sztandarowym produktem była pasta do zębów PEBECO. Krem NIVEA był jednym z wielu innych wytworów. Trzeba było pokoleń i tytanicznej pracy Beiersdorfa, by zmienić ten stan rzeczy i żeby jedna z bohaterki książki Janosza *Cholonek dobry Pan Bóg z gliny* stwierdziła, korzystając z dużej puszkki kremu za 80 fenigów – *NIVEA jest dobra na wszystko*. (Nawiasem mówiąc Janosz mylił się, duża puszkka kremu NIVEA, gdy używała ją córka Świątkowej, kosztowała 1 markę, a rabatów w III Rzeszy nie udzielano).

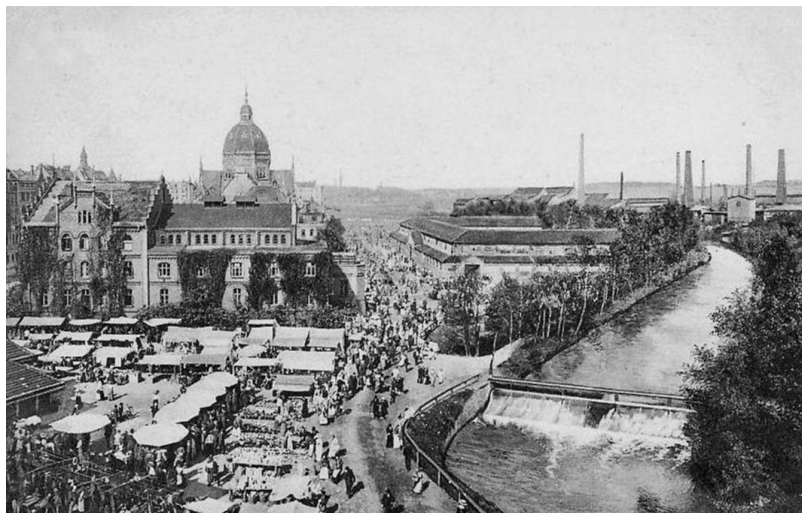
Rok przełomu

Pierwsza wojna światowa się skończyła, teraz miał zacząć się czas pokoju i szczęśliwości. Beiersdorf sprzedaje pastę PEBECO i inne rzeczy po obu stronach Atlantyku. Ale powoli wszystko zaczyna się zmieniać. Jeszcze w 1925 roku w niemieckiej reklamie prasowej pasta PEBECO góruje nad kremem NIVEA, ale...

1925 rok jest rokiem przełomowym w historii kremu NIVEA – otrzymuje on nowe opakowanie, które stanie się jego wyróżnikiem po dzień dzisiejszy. Żółto kwiatowa puszkka, czerpiąca swe inspiracje z nur-



Kaiser Wilhelm Apotheke w Katowicach – własność od 1911 do 1920 Ernesta Tropelwita na starej pocztówce. W tym samym miejscu nadal jest apteka.



Ulica Piotra Skargi w Katowicach (pocztówka z okresu pierwszej wojny światowej) – to gdzie tutaj „w małym parterowym budynku z muru pruskiego, na magistrackiej parceli” wynajmowała pomieszczenia wytwórnia kremu NIVEA.



Opakowanie kremu NIVEA z okresu katowickiego. Do naszych czasów zachowało się niewiele tych puszek. Puzkę wzoru II ma w swej kolekcji Muzeum Historii Katowic, wzoru III Muzeum Śląskie, widoczne na zdjęciu pudełko (wzór III) należy do autora artykułu. Do tej pory nie udało się odnaleźć puszek wzoru I.

tu „art novu” lub jak byśmy powiedzieli „secesji”, zmienia się w niebieskie pudełko czerpiące natchnienie z... no właśnie z czego? Według oficjalnej historii twórcami nowego pudełka jest żona pierwszego powojennego prezydenta zachodnich Niemiec, feministka, wspaniała kobieta o liberalnych przekonaniach Elly Heuss-Knapp lub też szef reklamy Beiersdorfa Juan Gregorio Clausen. Niebieska puszka i białe litery jak ze śniegu miały sygnalizować orzeźwienie, świeżość lub morze i chmury – Juan Gregorio był wcześniej marynarzem. Historyjki dobrze wymyślone, ale chyba dalekie od prawdy.

Miłośnikom teorii spiskowych, których mamy całe tabuny nad Wisłą można zrobić jednak w tym miejscu pewną przyjemność. Według niektórych ten projekt nawiązuje do żydowskich tajemnic. Według tej teorii niebieskie pudełko wywodzi się od używanych przez gminę żydowską w Gliwicach pocztowych naklejek. W swej korespondencji do członków gminy używano tych nalepek lub „zlepek” do zaklejania kopert i miały one gwarantować zachowanie poufności korespondencji. I rzeczywiście nalepka jest trochę podobna do pudełka z kremem, zwłaszcza do jego rewersu.

Sprawa jednak wydaje się znacznie prostsza. Opakowania niebieskie z białymi literami nie wzięły się nagle i cudownie w 1925 roku. Wystarczy niewielki trud obejrzenia tego co produkował Beiersdorf przed tym rokiem, by znaleźć kilka wykorzystujących ten wzór opakowań. Przede wszystkim jest to ich hit handlowy pasta PEBECO w wersji po roku 1910 z wyraźnymi białymi literami na ciemnoniebieskim tle, ale również krem do golenia, plaster CITO, mydło i kilka innych rzeczy. To są pierwowzory nowego opakowania NIVEI. Być może po prostu starano się dla kremu skopiować opakowanie, które przedtem zapewniało sukcesy innym produktom. Rok 1925 był także przełomowy pod jeszcze innym względem...

Incydent katowicki

Ulica Piotra Skargi w Katowicach to krótki ciąg komunikacyjny w samym centrum miasta wypełniony codziennie gwarem ludzi i autobusami odjeżdżającymi w różne strony miast Śląska, a także Europy. Jest tu duża galeria handlowa, powstała niedawno z przebudowanej, powstałej w latach 30 hali targowej, ochrzczonej w okresie PRL-u mianem SUPERSAM. Oczywiście są tu stoiska z kosmetykami. Gdy pytam się młodych dziewczyn, które tu pracują czy dostrzegają jakiś związek kremu NIVEA z ulicą, przy której pracują przecząco kiwają głowami i bezradnie rozkładają ręce. Trudno im się dziwić no bo na zdrowy rozum cóż ta ulica ma wspólnego ze słynnym kremem poza tym, że tu go się teraz sprzedaje i reklamuje na przystankach autobusowych. A jednak myślę się, bo ulica Piotra Skargi i miejsce niedaleko SUPERSAMU, odegrało przełomową rolę, to właśnie tu zaczęła się historia kremu NIVEA w Polsce.

Katowice dla NIVEI to miasto szczególne. Kattowitz należało do zaledwie kilku miejsc, gdzie po raz pierwszy na świecie zaczęto sprzedawać kremu NIVEA. Na rogu ulicy Grundmannstraße i Kaiser Wilhelm Platz aptekę miał kuzyn Oskara Tropłowitza Ernest Tropłowitz i sprzedawał na pewno pastę PEBECO i nowy, nikomu jeszcze nieznaną produkt – krem NIVEA. Interes szedł chyba dobrze, ale wybuchła wielka wojna i nagle zaczął się spełniać czarny sen Niemiec. Przez cały XIX wiek na początku w Prusach ale później całych Niemczech gdzieś tam w podświadomości tkwiła obawa, że ten dziwny kraj na wschodzie noszący niegdyś nazwę Polska, który przecież nie istnieje, pewnego razu jednak





Poza kremem NIVEA katowicka wytwórnia robiła, a może tylko szmuglowała z Niemiec i pakowała do blaszanych – robionych w Krakowie pudełek – sienne plastry opatrunkowe Hansaplast.

powróci. I stało się, w 1918 roku Feniks odrodził się i w dodatku okazał się od razu bardzo wojowniczy i ekspansywny. Kuzyn Ernest, który z Polską raczej specjalnych nadziei nie wiązał zrozumiał to w 1920 roku, gdy z Posen zrobił się niespodziewanie Poznań, Wielkopolska była już stracona, w dodatku wybuchło powstanie śląskie, a w Katowicach żołnierze francuscy zabili kilku Niemców cieszących się głupio i głośno z fałszywej informacji o tym, że bolszewicy zdobyli Warszawę. Spakował manatki i wyjechał w spokojniejsze rejony Niemiec i bądźmy szczerzy, zrobił cholerną głupotę.

To co dla kuzyna Tropłowitza było nieszczęściem dla innych stało się szansą. Ulica Grundmanna zmieniła nazwę na 3 Maja, a Wilhelm Kaiser Platz stał się placem Wolności. Polska, której już nigdy nie miało być w 1922 roku triumfalnie wróciła na Śląsk, ziemie które od średniowiecza do niej nie należały. W trzy lata później na byłej ulicy Kurfürstenstraße teraz noszącej nazwę Piotra Skargi, która oddalona jest od Placu Wolności zaledwie o 5 minut drogi, pojawił się Maksymilian Matuszek właściciel dwóch aptek w Breslau, który w przeciwieństwie

do Tropłowitza w Polsce upatrywał swej życiowej szansy.

29 kwietnia 1925 roku do rejestru handlowego wpisano firmę: „Pebeco” Wytwórnia Specyfików Beiersdorfa. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością w Katowicach. Przedmiotem przedsiębiorstwa jest wytwarzanie i sprzedaż specyfików Beiersdorfa a w szczególności specyfików Pebeco. Kapitał zakładowy wynosi 25.000 złotych.

Firma miała swoją siedzibę w wynajmowanych budynkach przy ul. Piotra Skargi, gdzieś w pobliżu SUPERSAMU.

Powstanie polskiej wytwórni w Katowicach jest powszechnie przedstawiane przez miłośników historii NIVEI jako coś wspaniałego i niezwykłego, a Maksymilian Matuszek kreowany jest na męża opatrnościowego i bohatera. Taka jest oficjalna wersja tej historii, ale my przecież nie jesteśmy modowymi blogerkami więc z tymi lukrowanymi opowieściami, tak częstymi jeśli chodzi o historię kremu NIVEA, bądźmy ostrożni. Pewnego rodzaju sygnałem ostrzegawczym może być fakt, że katowicka Wytwórnia Specyfików Beiersdorfa działała oficjalnie tylko przez 5 lat (w rzeczywistości

stości krócej). Dlaczego „Pebeco” wyniosło się ze Śląska do Poznania?

Brutalny oszust

Odpowiedzią na to pytanie jest artykuł Stanisława Rochowiaka, śląskiego dziennikarza „Gazety Robotniczej” z 1928 roku. Pod sensacyjnym tytułem „Nadużycia w firmie „Pebeco” w Katowicach. Skarb Państwa poszkodowany na kilkadziesiąt tysięcy złotych” Rochowiak opisuje co działo się w firmie przy ul. Piotra Skargi.

Zacznijmy od tego, że dziennikarz w ogóle wątpił w to, że wytwórnia na Śląsku była polska: *Firma „Pebeco” jest firmą niemiecką, która ma swoją centralę w Niemczech w Hamburgu. Dla zamydlenia oczu władzom polskim, utworzyła się pod tą samą nazwą „Pebeco” w Katowicach*. Wydaje się, że Rochowiak miał rację, świadczą o tym późniejsze, okupacyjne losy „Pebeco”, która została przejęta z rąk władz III Rzeszy przez hamburską centralę. Zastanawiać może również drugi właściciel katowickiej wytwórni, którym był niejaki Tadeusz Smielowski z... Hamburga. Czy Maksymilian Matuszek był tylko, jak





Ulica Piotra Skargi w Katowicach – to tutaj zaczęła się polska historia kremu NIVEA.





Reklamy prasowe kremu NIVEA z okresu produkcji w Katowicach. Reklamy cudownego kremu to odrębny temat. Powstała nawet bardzo ciekawa książka o wpływie kampanii reklamowych Beiersdorfa na zmiany społecznej roli kobiet. Przy okazji zachęcania do używania kosmetyku propagowano wizerunek kobiety nowoczesnej, samodzielnej, wyemancypowanej, wyzwolonej z kleratu domowych obowiązków, usportowionej, wypoczywającej na łonie natury, daleki od stereotypu kury domowej, prawie że feministki. Ten podtekst reklam o dzwio chyba nie przez wszystkich był zrozumiały i w Polsce międzywojennej reklamy kremu NIVEA zamieszczał nawet konserwatywny, klerikalny „Przegląd Katolicki”.

byśmy dziś powiedzieli „słupem”, sprytnie wykorzystywanym przez Beiersdorfa, który zresztą w zacieraniu śladów i powiązań między swoimi fabrykami był mistrzem? Wydaje się, że firma w Katowicach dla firmy Beiersdorf była poligonem doświadczalnym, była pierwszą, choć jeszcze ukrytą i zakamuflowaną, zagraniczną filią koncernu, pierwszym krokiem do globalnej ekspansji, która zaczęła się na początku lat 30 i trwała do objęcia władzy przez nazistów.

Matuszek z całą pewnością nie był tak wrażliwy na sprawy społeczne jak Tropolowicz. Wręcz przeciwnie. W firmie wyrabiającej kremy i mydło NIVEA zatrudnionych było 30 robotników i robotnic oraz 10 pracowników umysłowych. *Matuszek* – jak relacjonuje dziennikarz – *obchodził się z robotnikami w sposób brutalny i wyzywał ich na każdym kroku. Robotnicy te wszystkie szykany musieli znosić, obawiając się, że skoro coś powiedzą, zostaną zwolnieni z pracy.*

Nasz „bohater” jednak nie tylko był chamski i brutalny, okazał się być także hochsztaplerem – pozwolił sobie tu użyć tak modnego w latach 20. i 30. epitetu. Zdaje się, że ze swymi machlojkami nie bardzo się krył

przed poniżanymi robotnikami i to był jego duży błąd.

W firmie „Pebecco” jednak nie wszystko było w porządku, a mianowicie sprowadzało się z centrali różne zakazane towary, jak plastry jedwabne, różne etykiety itp. na kilkadziesiąt tysięcy zł. Towar, który był raz odesłany z dworca w Katowicach z powrotem, jako niedozwolony, firma otrzymała przesyłkami pocztowymi względnie innymi drogami z zagranicy. W ten sposób Skarb Państwa ponosił kilkutyśne straty.

Długo robotnicy przypatrywali się temu. Jednak, gdy szykany nie miały końca, zrobili doniesienie na szmuglerską pracę w firmie (pisownia oryginalna).

Doniesienie poskutkowało i na początku sierpnia 1928 roku władze opieczętowały wytwórnię, a towar skonfiskowano.

Czy taki był definitywny koniec zakładu w Katowicach, czy już więcej nic tam nie produkowano? Tego nie wiemy. Choć oficjalnie katowickie „Pebecco” zlikwidowano dopiero w 1934 roku (filia „Pebecco”, a później Beiersdorfa istniała w Katowicach przy ul. Kopernika do 1945 roku, ale była tylko biurem). Faktem jest, że po kryminalnym incydencie bardzo szybko – po 9 mie-

siącach – założono nową spółkę „Pebecco” i firma wyniosła się ze Śląska do Poznania, gdzie zbudowano istniejący do dziś, nowoczesny budynek fabryczny. Zaczął się nowy etap produkcji kremu NIVEA w Polsce, ale to już zupełnie inna historia. ■

Wszystkie prezentowane eksponaty pochodzą ze zbiorów autora

BIBLIOGRAFIA

Bożena Kubit, Wojciech Mszycza *Oskar Tropolowicz Innowator*. Muzeum w Gliwicach 2017.

Janina Dydowiczowa *Zarys dziejów poznańskiej fabryki kosmetyków „Lechia” (1925-1965)*. Kronika Miasta Poznania Rocznik XXXIII. Poznań 1965.

Janosz *Cholonek dobry Pan Bóg z gliny*. Wydawnictwo „Śląsk”. Katowice 1990.

Pielęgnując tradycję. Z dziejów marki NIVEA w Poznaniu. Muzeum Narodowe w Poznaniu 2000.

„Gazeta Robotnicza”, 5 sierpnia 1928.
„Gazeta Urzędowa Województwa Śląskiego” nr 20, 30 maja 1925.

Tomasz Bienek – absolwent Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego, dziennikarz, miłośnik historii, Półwyspu Helskiego i Beskidów, kolekcjoner.



Prawie królewska wizyta



Księżę Kentu (drugi z prawej) z małżonką Mariną (druga z lewej) w towarzystwie hrabiego Benedykta Władysława Tyszkiewicza (trzeci z lewej) oraz państwa Alfonsa i Zofii Koziell-Poklewskich w ogrodzie willi przy ul. Jordana 9

Kukułcze jajo Windsorów

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Polscy monarchiści widzieli w nim swego króla. „Członek brytyjskiej rodziny królewskiej po raz pierwszy w historii znalazł się na polskiej ziemi!” – informował amerykański magazyn „Life” relacjonujący podróż księcia Kentu. Angielska i niemiecka prasa otaczała wizytę – dyskrecją!

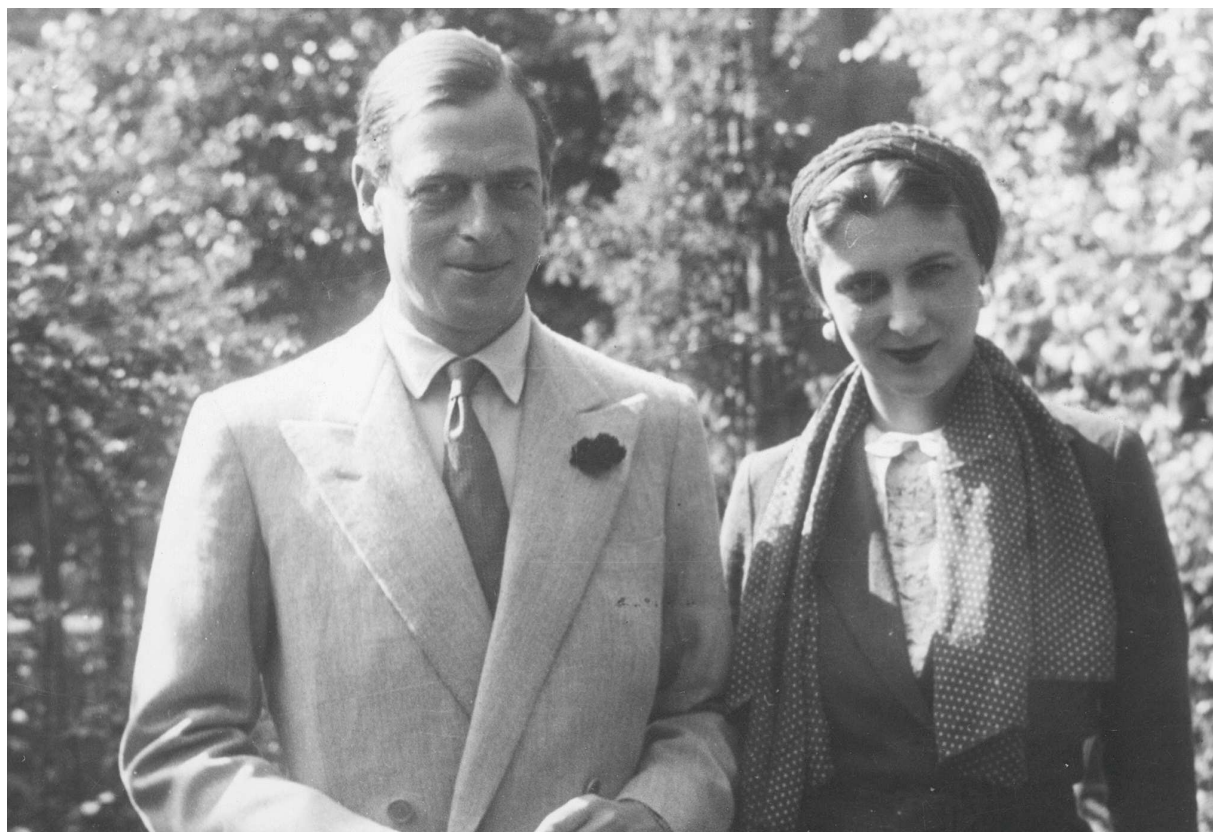
Zapadł zmierzch. Był piątek. Mijały ostatnie godziny 30 lipca 1937 roku. Nad niemiecko-polskim przejściem granicznym w Łagiewnikach na peryferiach Bytomia strażnicy podnieśli szlaban i do Polski wjechał superluksusowy Rolls-Royce z rejestracjami korpusu dyplomatycznego i godłem Wielkiej Brytanii. Auto osobiście prowadził książę George Windsor. Zatrzymał się opodal. Na widok zbliżającego się mężczyzny uśmiechnął się i wyszedł na powitanie.

Stanął przed nim dobry znajomy z Londynu hrabia Aleksander Koziell-Poklewski. Uściskali się. Zamienili kilka zdań i ustalili, że Alik, (pod tym imieniem był znany wśród bliskich), jadąc swoim samochodem będzie wskazywał drogę do swego domu w Katowicach, gdzie czeka kolacja i sypialnia.

Niebawem znaleźli się nie opodal Parku Tadeusza Kościuszki. Teraz jechali wąskimi uliczkami pośród nowych willi wzniesionych dla miejscowych prominentów i koryfeusz. Zaparkowali na posesji Jordana 9. Na progu pograżonego w ciszy, dwupiętrowego domu z ogródkiem ukazała się Zofia, żona Alika. Z czterodrzwiowej limuzyny, ze statuetką Ducha ekstazy – wyszła księżna Marina, szczupła brunetka o dużych uśmiechających się oczach. Wszyscy dobrze się znali i lubili. Hrabina Zofia Poklewska, to dama honorowa dworu księżnej. Jak za dawnych londyńskich czasów zwracali się do niej Zoja.

Portret hrabiego

Hr. Poklewski miał lat 46. Urodził się na Uralu. Był synem Wincen-tego, członka Rady Państwa carskiego Imperium i wnukiem polskiego zesłańca – potem jednego z najbogatszych ludzi Syberii inicjującego przemysłowienie tych ziem. Na Uniwersytecie w Petersburgu zdobył dyplom ekonomisty, a w armii rosyjskiej stopień rotmistrza. W 1918. jako radca ambasady rosyjskiej trafił na salony dyplomatyczne Londynu, a w styczniu następnego roku – w charakterze eksperta polskiej delegacji ekonomicznej brał udział w Konferencji Pokojowej w Paryżu. W Katowicach przemieszkał już 4 wiosny. Przez 3 lata pracował jako radca handlowy zarządu spółki akcyjnej „Śląskie Kopalnie i Cynkownie”, a od roku był jej dyrektorem generalnym. Jego firma gospodarowała na części dawnych posiadłości niemieckiego magnata przemysłowego, księcia Guidona Henckel von Donnersmarck, fundatora sławnego zamku w Świerklańcu, przemysłowca i założyciela wielu firm na terenie kilku krajów Europy. To jemu przypisuje się ojcostwo pierwszej na Śląsku spółki akcyjnej „Schlesische Aktiengesellschaft für Bergbau und Zinkhüttenbetrieb” założonej w 1853 r. Spółka pełniła



Fot. Czesław Datka

Księżę Kentu Jerzy Windsor z małżonką Mariną w ogrodzie przy willi przy ul. Jordana 9.



Fot. Czesław Datka

Księżę Kentu Jerzy Windsor za kierownicą samochodu marki Rolls-Royce na ulicy w Katowicach.





Fot. Tomasz Bieniek



Dom przy ul. Jordana 9, stan obecny.

ważną funkcję strategiczną w życiu gospodarczym odrodzonego Śląska. Była jednym z najpotężniejszych koncernów gospodarczych w Polsce międzywojennej. Jednym z jej udziałowców był właściciel dóbr Korzec hr. Roman Antoni Potocki z Warszawy. O losach firmy decydowała rada nadzorcza, złożona głównie z przedstawicieli francuskiego i niemieckiego establishmentu.

Na Śląsk Poklewski dotarł przez Anglię i Francję, gdzie bliżej związał się z Polakami uczestniczącymi w Konferencji Pokojowej w Paryżu. Wśród polonii i arystokracji nad Tamizą zasłynął z talentów towarzyskich i dyplomatycznych. Jako attaché handlowy pracował w tamtejszej ambasadzie RP. Tam właśnie zadzierzgnął znajomość z księciem Kentu, wówczas jeszcze swawolnym młokosem, swoimi ekstrawagancjami budzącym zgorznie nobliwych suksesorów antycznego Albionu. Wtedy też, latem 1919 – hr. Aleksander poślubił baronównę Zoję de Stoeck, wnuczkę rosyjskiego ambasadora w USA, barona Eduarda de Stoeck, głównego negocjatora epokowej transakcji jaką w 1867 roku była sprzedaż Alaski Amerykanom przez cara Aleksandra II. Świadkiem na ślubie Poklewskich był bajecznie bogaty hr. Alfred Antoni Potocki z Łańcuta. Zoja przez męża nazywana Zosią urodziła trzech synów: Romana (1920, zmarł w szóstym roku

życia), Aleksandra (1925) oraz Wincen-tego, który przyszedł na świat w 1929. Olek i Wicek karierę szkolną rozpoczęli w pobliskim powszechniaku im. Marii Konopnickiej, przy ulicy Barto-sza Głowackiego.

Podczas późnej kolacji diuk George wznosił toast za pomyślność. Życzył aby znów, tak jak baron Stoeck 70 lat temu, ubić równie doskonały interes – na złoto i diamenty zamieniając jakieś śnieżne pustkowia na Syberii lub Uralu.

Nazajutrz do willi Poklewskich przy-był hr. Benedykt Tyszkiewicz. Sobotę poświęcili na zwiedzanie Katowic i parku Kościuszki.

Portret księcia

Gdy George Windsor, diuk Kentu gościł u Poklewskich zbliżały się jego 35 urodziny. Wciąż miał chłopięcą urodę i sylwetkę tancerza. Był przystojnym mężczyzną o czarującym uśmiechu i salonowej prezencji. W szalonych latach 20., a nawet i później, aparycją i popularnością konkurował z gwiazdoram i ówczesnego kina. Doskonale prezentował się w mundurze angielskiego oficera. Wzdychały do niego miliony pańien i mężatek.

Był młodszym bratem Edwarda VIII i Jerzego VI – koronowanych królów angielskiego tronu. Ich ojciec to

Jerzy V, do 1936 król Wielkiej Brytanii i Irlandii.

Wizyta w Katowicach wypadła na 2 miesiące przed trzecią rocznicą ślubu George'a z księżniczką Marią, córką greckiego księcia Mikołaja i wnuczką cara Aleksandra II. Mieli już dwoje dzieci: Edwarda, który miał prawie 2 latka oraz małą Oleńkę, urodzoną przed siedmioma miesiącami. Tro-ski i radości związane z pociechami były fascynującym tematem rozmów Mariny z Zoją.

Książę George miał już za sobą burzliwe lata kawalerskich szaleństw, narko-tycznych odurzeń i orgiastycznych uciech, które przysporzyły mu złej sławy. Prasa okrzyknęła go „królem biseksu i skandali”. Miał upodobania do zachowań nieakceptowanych przez rodzinę i zdecydowaną większość Anglików. Był uwodzicielem i transwestytą o wybujałym temperamencie, a jednocześnie o przemyśłym wścib-hipnotyzującym sposobie bycia. Miał wiele kochanek i kochanków w świecie artystycznym i londyńskim półświatku. Drażniły go przepisy dworskiej etykiety. Na salonach i podczas oficjalnych uroczystości chętnie występował w oficerskim mundurze Królewskich Sił Powietrznych, ale po powrocie do domu z jeszcze większą radością robił sobie makijaż, a potem przymierzał damską bieliznę i sukienki. Lubił tańczyć i słu-





Fot. zbiory NAC

Książę Jerzy (drugi z prawej) w towarzystwie: Alfonsa Koziell-Poklewskiego (pierwszy z prawej), hrabiego Alfreda Potockiego (trzeci z prawej), pani Zofii Koziell-Poklewskiej (piąta z prawej), hrabiny Elżbiety Potockiej i ministra spraw zagranicznych Józefa Becka (pierwszy z lewej) w ogrodzie przed zamkiem łańcuckim.

chać muzyki. Miał niechęć do broni palnej i polowań na grubego zwierza. Największą przyjemność sprawiało mu pilotowanie samolotu i samodzielne prowadzenie auta. Nie cierpiał morskich podróży.

Gdy poślubił Marinę, autorzy kronik towarzyskich twierdzili, że w porównaniu z egzogamią jego królewskiego brata Edwarda z amerykańską rozwódką lady Wallis Simpson – George i Marina zasłużyli na miano małżeństwa doskonałego.

W zapatrywaniach politycznych książę George nie różnił się od swoich braci, a szczególnie wspomnianego Edwarda, powszechnie znanego nie tylko z mezaliansu, ale też z germanofilskich sentymentów. Już przed wybuchem wojny braci Windsorów miały na oku angielskie służby specjalne, a po wkroczeniu Niemców do Polski – osobiście premier Winston Churchill. Nie dziwiło, a wśród sfer rządowych nawet budziło aprobatę, gdy książę George admirał niemieckich nazistów tłumiących „komunistyczną zarazę”, ale niepokój i podejrzliwość wzbudzały jego zbyt samodzielne próby zbliżenia z hitlerowskimi dyplomatami – Rudolfem Hessem i Joachimem Ribbentropem. Po inwazji hitlerowskiej na Polskę, za do końca niespójne z takimi inicjatywami wydawały się przyjazne gesty

wobec przedstawicieli rządu polskiej emigracji. Książę Kentu chętnie wizytował polskie oddziały wojskowe, a najczęściej legendarny Dywizjon „Lwowskich Puchaczy”, specjalizujący się w obronie nocnego nieba nad Anglią. Kilkanaście razy spotkał się z generałem Sikorskim, wodzem naczelnym sił zbrojnych i premierem rządu na uchodźstwie. W lipcu 1940. otworzył, istniejące do dziś Ognisko Polskie w Kensington przy ulicy Exhibition Road, znanej ze wspaniałych muzeów i Hyde Parku.

W niedzielę 1 sierpnia 1937 roku, około południa długi na ponad 5 metrów i szeroki prawie na 2, dostojny Rolls-Royce prowadzony przez księcia Kentu, ostrożnie przetoczył się przez ciasne uliczki elitarnego osiedla na zboczach wzgórza Kościuszki, wyjechał na drogę krakowską i pognął na rynek w Krakowie. Tam w Pałacu „Pod baranami” hr. Adam Potocki z Krzeszowic wraz z gronem małopolskiej arystokracji przygotował uroczyste śniadanie dla księżęcej pary. Jeszcze w godzinach popołudniowych księstwo w towarzystwie Potockich, Tyszkiewiczów i Poklewskich podziwiała klejnoty krakowskiej architektury. Na Wawelu, pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, w krypcie marszałka Józefa Piłsudskiego, książę Windsoru złożył bukiet czerwonych róż.

W Katowicach nigdy potem nie widywany tutaj, olbrzymi krążownik szos na długo zapamiętali mieszkańcy ulicy Jordana i Zajączka. Długo jeszcze pojawiało się we wspomnieniach i gawędach najstarszych mieszkańców tej okolicy. Wszyscy zapamiętali niezwykle pojazd, a zaledwie kilku sąsiadów dopytało kto nim podróżował. Katowicka prasa zignorowała wydarzenie. Krótką wzmiankę i zdjęcie księżęcej pary opublikowała tylko „Polonia” Korfatego.

Na pogaduszkach w Łańcucie

W poniedziałek 2 sierpnia 1937 roku, na kwadrans przed południem, książę Kentu, jego małżonka, hrabiowie Poklewscy i hr. Tyszkiewicz udali się na peron katowickiego dworca kolejowego, gdzie czekała na nich specjalna salonka, którą do Łańcuta dojechali w godzinach popołudniowych. Zostali tam zaproszeni przez hrabiego Alfreda Antoniego Potockiego, historycznie ostatniego ordynata tamtejszego majoratu. Jego rezydencja była znana na królewskich dworach i wśród europejskiej arystokracji. Łańcucki magnat znał wiele wysoko postawionych osobistości „od cesarza Karola Habsburga po Churchilla”, byli wśród nich „Briand i marsz. Mannerheim, ambasador Jules Cambon i lord Curzon, ambasador Rib-





Fot. zbiory NAC



Paparazzi z lat 30., czyli polscy fotoreporterzy przed bramą łańcuckiego zamku, w oczekiwaniu na ukazanie się księcia Kentu.

benthrop i księżna Kentu, cały dwór hiszpański... Ze wszystkimi był na stopie salonowej poufałości” (w przedmowie do pamiętników hrabiego pisała Zofia Kozarynowa).

Był jednym z najbogatszych oligarchów II Rzeczypospolitej. Znaczącą aczkolwiek nie afiszującą się figurą w świecie politycznym. Jego roczny dochód w 1937 wyniósł ponad 250 000 dolarów. To był sukces na skalę ówczesnej Europy. Prowadził interesy ze śląskimi kopalniami węgla. Z Alikiem Poklewskim, generalnym dyrektorem spółki akcyjnej Śląskie Kopalnie i Cynkownie utrzymywał dobre handlowe i towarzyskie stosunki. Był prezesem Rady Nadzorczej Górnośląskich Hut: Królewska i Laura. Sławy przysporzyła Potockiemu wytwórnia rumu i likierów, według staropolskich receptur produkująca markowy „Rosolis”, popularny na kontynencie i za Atlantykiem. Tym specyfikiem gospodarz raczył wszystkich gości łańcuckiej rezydencji.

W czerwcu 1937 roku obchodził 51 urodziny. Jak za dawnych lat miał świetną prezencję. Wciąż był kawalerem. Liczne grono przyjaciół i eminentnych osobistości przyjmował w towarzystwie swojej matki Elżbiety oraz krewniaków z żonami. Zjazd miał charakter niemal rodzinny, a towarzyska śmietanka została dobrana wedle kompetencji i zainteresowań politycznych.

Wzięło w nim udział 17 osób. Z racji urzędu patronat podczas inauguracyjnego spotkania przyjął Józef Beck, minister spraw zagranicznych RP, rzecznik kompromisu i dobrosąsiedzkiego ułożenia stosunków z hitlerowską Rzeszą. Kolejną gwiazdą uroczystości i wyjątkowym gościem był właśnie nasz bohater książę George Windsor i jego żona Marina. Z księstwa opawsko-karniowskiego leżącego nad granicą Polski z Czechosłowacją przyjechał książę Franciszek Lichtenstein wraz z żoną Elżbietą.

W zjeździe uczestniczył stryjeczny brat Alfreda Antoniego Potockiego – Potocki Józef Alfred (1895–1968), dyplomata i ważna figura w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Polski niepodległej. Był absolwentem Balliol Colledge w Oksfordzie oraz szkoły wojskowej w Petersburgu. Przed wybuchem rewolucji październikowej jako porucznik służył w armii rosyjskiej, później wstąpił do Korpusu Polskiego gen. Michaelisa, gdzie poznał o 6 lat młodszego hr. Poklewskiego. Ponownie spotkał się z nim w 1919 roku na Konferencji Pokojowej w Paryżu, a potem w Londynie, gdzie debiutował jako dyplomata i sekretarz Poselstwa Polskiego. Przeniesiony do Wydziału Zachodniego Departamentu Polityczno-Ekonomicznego MSZ w Warszawie zajmował stanowiska radcy ministerialnego, a następnie kierow-

nika Referatu Anglosaskiego. Był radcą polskiej ambasady w Londynie a od 1934. występował w randze wicedyrektora Departamentu Politycznego MSZ. Wśród gości znalazł się także brat gospodarza – hr. Jerzy Potocki, wtedy ambasador II RP w Waszyngtonie.

Prawie wszystkich uczestników spotkania możemy odnaleźć na fotografiach i filmach, których kręceniem i oglądaniem entuzjastmował się hrabia Potocki.

Filmy z pobytu księcia w Łańcucie można obejrzeć:

Wizyta księcia Kentu w Łańcucie – 1937
<https://www.youtube.com/watch?v=edl-zWH9jnZU>

Duke And Duchess Of Kent In Poland (1937)
<https://www.youtube.com/watch?v=2BrieCTall>

Ucztowali przez 7 dni. W międzyczasie podziwiali galerię z bogatą kolekcją rzeźb, malarstwa, dworskie kino i filmołektę hr. Alfreda, z przekąsem nazywaną „teatrykiem żywych obrazów”, a z największym zainteresowaniem hrabiowską stadninę młodych, rozbrzykanych hunterów, będącą oczkiem w głowie Potockiego i obfitym źródłem przychodów w budżecie ordynacji.



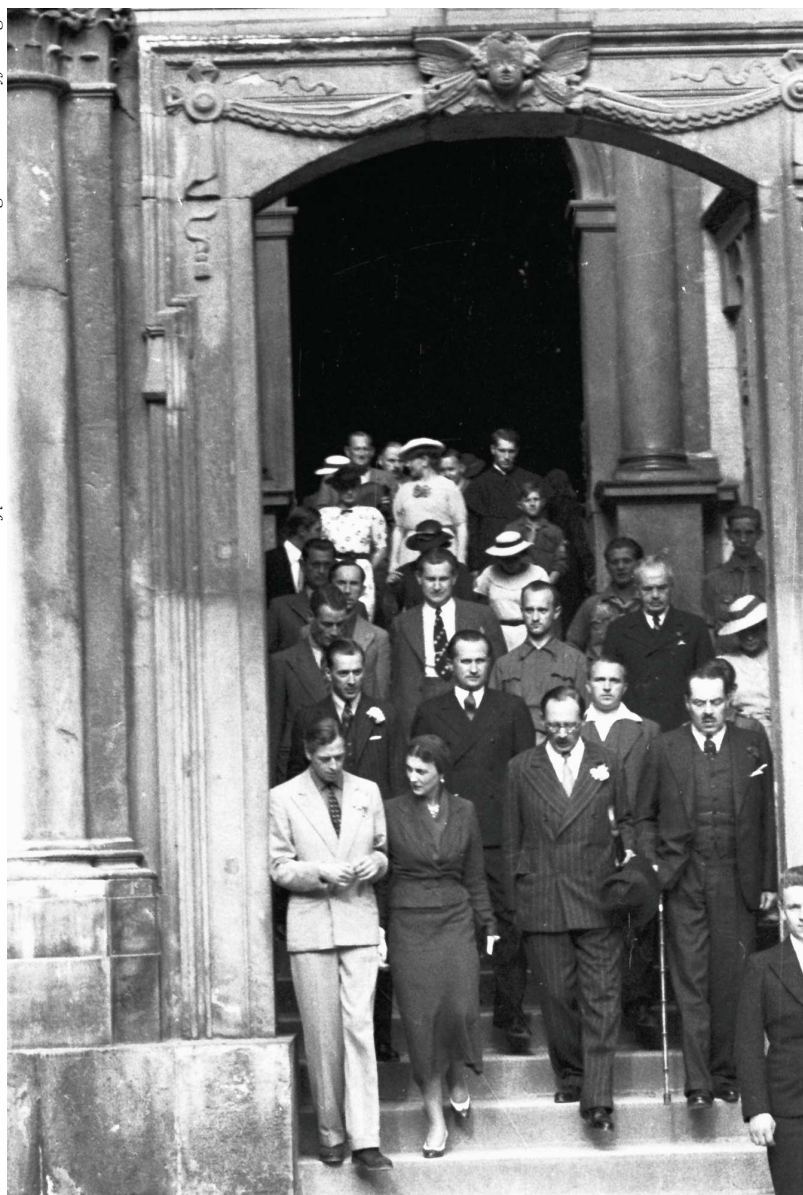


Spacer po krakowskim rynku.



Pamiątkowe zdjęcie przed pałacem w Łańcucie.





Po zwiedzaniu Katedry Wawelskiej.

W pogodne wakacyjne ranki i popołudnia spacerowali alejkami łańcuciego zamku rozmawiając na wszystkie tematy łącznie z tymi o wielkiej wadze politycznej dla Europy i świata. O czym rozmawiał diuk Windsor z ministrem Beckiem? Do dziś nikt tego nie wie! Jedno jest pewne, że księżę nie omieszczał przekazać pozdrowień od swego ulubieńca Joachima Ribbentropa, ambasadora Niemiec w Londynie. Z pewnością zadbał o dobre wrażenie i sympatię księżnej Lichtenstein, która wraz z mężem mogłaby zostać jego sojuszniczką, a może i promotorką federacji Czechów i Polaków.

Dyplomatyczna przygrywka czyli trudny rok 1937

66

Latem 1937 roku gazety coraz większą Lezczonką informowały, że wojna Hi-

tlera z Rosją jest nieunikniona. Podczas rozmów w Katowicach, Krakowie i Łańcucie, gdzieś między wierszami towarzyskich pogawędek, zapewne nie po raz pierwszy deliberowano i plotkowano o wprowadzeniu George'a Windsora diuka Kentu na tron polsko-czeskiego państewka, które byłoby sojusznikiem hitlerowskich Niemiec, szczególnie w wojnie przeciw bolszewickiej Rosji. Historycznie projekt nie był nowy. Po raz pierwszy narodził się w kręgach zwolenników panslawizmu. U schyłku poprzedniej wojny światowej zdesperowani Niemcy i Anglicy na króla Polaków chcieli koronować Jana Henryka XV, księcia na Pszczynie i dolnośląskim Księżu. Podobny projekt z diukiem Kentu na pierwszym planie, już w okresie hitlerowskiej okupacji, przez pewien czas lansował generał Władysław Sikorski, premier polskiego rządu w Londynie.

80 lat temu, dyplomatyczna misja diuka Kentu w Polsce miała zjednywać sympatię Polaków dla angielskiej rodziny królewskiej. Była pierwszym aktem czy też anakruzą tego samego spektaklu. Wypadła kilka kwartałów po abdykacji jego starszego brata Edwarda VIII, który jak niepyszny, z nadszarpiętą reputacją, po 10 miesiącach miłościwego panowania Brytyjczykom, został zmuszony do rezygnacji z tronu i królewskich apanaży. Jednak nie tracił nadziei.

Wierzył, że jeśli tylko zmienią się polityczne nastroje, znów sięgnie po berło i koronę. W październiku tamtego roku – również i on wraz ze swoją amerykańską żoną Wallis Simpson odbył kilka podróży po Europie, między innymi do Austrii i Jugosławii, a na koniec z oficjalną wizytą zawitał do nazistowskich Niemiec. W oryginalnie à la Windsor wiązonym krawacie (w charakterystyczny trójkątny węzeł z dodatkowym przewinięciem), kilka razy hajlował na wiecach i dla mediów, a potem przez prawie godzinę flirtował z Führerem w jego willi na zboczu gór Bawarskich. Nie omieszczał też rozmawiać z ministrami dyktatora III Rzeszy – Goebbelsem, Hessem, Göringiem. Nie potrzebował tłumacza. Jako potomek rodu od wielu pokoleń skoligaconego z niemieckimi Wettynami, po niemiecku mówił lepiej niż Hitler, który zaciągał na austriacką nutę.

W kręgach dyplomatycznych i na salonach księżę George uchodził za osobę sympatyzującą z Niemcami i skłonną do appeasementu w kontaktach z Hitlerem. Dla niego z pewnością byłby sojusznikiem godnym zaufania. Jako kandydat nie miał nic przeciwko koronacji.

Tylko złe fatum (a może dywersanci) w latach II wojny światowej zapobiegli podrzuceniu kukulczego jaja na tron dyskretnie kleconego aliansu Pragi z Warszawą.

Niefrasobliwie zaprojektowany bieg wydarzeń przekreśliły dwie katastrofy lotnicze. Pierwsza zakończyła się awarią samolotu i lądowaniem na spadochronie Rudolfa Hessa, ze specjalną misją usiłującego przedostać się do Anglii, a z drugiej podczas tajemniczej podróży do Szkocji zginął sam księżę George. Gdyby losy potoczyły się inaczej, być może Anglicy ruszyliby na bolszewicką armię u boku Wehrmachtu, na pierwszą linię frontu wypychając żołnierzy znad Wisły i Wełtawy, idących w bój o lepsze jutro buforowego państewka dwu słowiańskich nacji wspaniałomyślnie wykrojonego przez łaskawych władców Europy. Mówią o tym liczne dokumenty wydobyte z tajnych angielskich i niemieckich archiwów, a przez Marka Rybarczyka opisane w książce *Tajemnice Windsorów*. Punktuje w niej „Kolekcję grzechów rodziny królewskiej”.





Rok 2017 w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Żorach obfitował w projekty finansowane ze źródeł zewnętrznych, na które biblioteka pozyskała blisko pół miliona złotych. Były to zarówno środki Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, jak i Komisji Europejskiej.

Najnowszy projekt *Migruj do biblioteki!*, którego realizacja rozpoczęła się we wrześniu br., to przedsięwzięcie międzynarodowe, dofinansowane przez Komisję Europejską w ramach programu Erasmus+ w wysokości 73 725 euro. Pomysłodawcą i koordynatorem projektu jest żorska biblioteka, a jej partnerami trzy europejskie biblioteki publiczne: Biblioteca Municipal de Arucas w Hiszpanii, Gradska knjižnica Ivan Vidali – Korčula w Chorwacji oraz Vilniaus apskritis Adomo Mickevičiaus viešoji na Litwie.

Inspiracją do napisania projektu był współczesny kryzys imigracyjny w Europie. Wśród rzeszy ludzi napływających na nasz kontynent są zarówno migranci ekonomiczni, jak i uchodźcy, którzy opuszczają swój kraj z powodu uzasadnionego ryzyka prześladowania ze względu na rasę, religię, narodowość, przynależność etniczną czy przekonania polityczne. Grupy te wymagają od nas uwagi, a nierzadko potrzebują również pomocy.

Aby uniknąć niebezpiecznego dla wszystkich wzrostu ksenofobii, prowadzącej do biernego współistnienia lub wręcz izolacji nowych członków społeczności, potrzebna jest edukacja obu stron. Pozwoli ona na stopniowe włączanie imigrantów do społeczności, nawiązywanie dobrośsiedzkich stosunków, a w rezultacie – na wspólną budowę poczucia bezpieczeństwa. Uznaliśmy, że ważną rolę do odegrania mogą mieć tutaj biblioteki publiczne. Pracownicy bibliotek są blisko związani z członkami społeczności lokalnych, rozumieją ich i łatwo im dotrzeć z różnymi nowymi inicjatywami. Tworząc i realizując projekt *Migruj do biblioteki!*, chcemy poprzez otwarte podejście do wielokulturowości i edukację umożliwić likwidowanie negatywnych zjawisk społecznych, takich jak ksenofobia, rasizm oraz dyskryminacja.

W bibliotekach partnerskich biorących udział w projekcie wszyscy jesteśmy zgodni co do potrzeby jego przeprowadzenia. W środowiskach, w których pracujemy, żyją migranci – uchodźcy, imigranci, repatrianci, wolontariusze z różnych krajów. Żory przyjęły 18 rodzin repatriantów, ogółem 56 osób. Oczekujemy na przyjazd

B
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA
BIBLIOTEK



Fot. z archiwum Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żorach

Wizyta w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu

Miejska Biblioteka Publiczna w Żorach

Migruj do biblioteki!

kolejnych 5 rodzin (11 osób) z Uzbekistanu i Kazachstanu. Narażeni na złe traktowanie, migranci pozostają wyobcowani i zamykają się we własnych grupach. Choć każda z bibliotek partnerskich pracuje na innym gruncie i w innych uwarunkowaniach, obserwujemy te same zjawiska.

Problem imigrantów niezmiennie budzi obawy i lęk. Nasz projekt – poprzez wymianę doświadczeń, spotkania z praktykami-organizatorami życia migrantów, szkolenia, warsztaty oraz dyskusje – pomoże stworzyć w bibliotekach ofertę edukacyjną, dzięki której łatwiejsza będzie integracja migrantów ze społecznością lokalną, a nawet ich asymilacja. Nasze spotkania robocze dają także okazję do refleksji, porównań i oceny własnych osiągnięć w pracy z migrantami.

Pierwsze międzynarodowe spotkanie partnerów zostało poprzedzo-

ne realizacją projektu *Tydzień z Conradem*, sfinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Twórczość Josepha Conrada posłużyła za punkt wyjścia do dyskusji panelowych poświęconych niezwykle ważnym społecznie zagadnieniom, takim jak: imigracja, terroryzm i mniejszości narodowe. W spotkaniach udział wzięli: Grzegorz Jankowicz, Wojciech Jagielski, Ryszard Koziołek, Aleksandra Lipczak, Artur Madaliński, Agnieszka Markowska, Michał Olszewski, Lidia Ostalowska, Ziemowit Szczerek oraz Marcin Żyła. Wydarzenie wzbudziło bardzo duże zainteresowanie społeczności lokalnej i zapoczątkowało edukację pozaformalną w zakresie wielokulturowości.

Następnie w październiku br. odbyło się międzynarodowe spotkanie uczestników projektu *Migruj do bi-*





Uczestnicy projektu wraz z Elmirą Abasbekową (stoi piąta od lewej) w ośrodku w Podkowie Leśnej-Dębaku

bioteki!, zorganizowane w Polsce. Pracownicy bibliotek partnerskich poznali miasto Żory i żorską bibliotekę, gdzie m.in. wzięli udział w warsztatach *Porozmawiajmy o uchodźcach*, prowadzonych przez naszą bibliotekarkę. Drugiego dnia wizyty udaliśmy się do Ośrodka Receptyjnego dla Cudzoziemców w Podkowie Leśnej-Dębaku, w którym spotkaliśmy się z jego mieszkańcami (w większości Czeczenami, Gruzinami i Ukraincami), przedstawicielką Urzędu ds. Cudzoziemców oraz pracownikami ośrodka. Przekazaliśmy na rzecz bi-

lioteki znajdującej się w ośrodku 91 nowych książek w języku polskim, angielskim i rosyjskim. W tym dniu spotkaliśmy się także z Elmirą Abasbekową, która jest uchodźcą z Kirgistanu. Dzięki działaniom społeczności lokalnej uniknęła deportacji wraz z rodziną i uzyskała zgodę na tzw. pobyt humanitarny. Ostatni dzień spędziliśmy w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu. Wzięliśmy udział w prezentacji *Biblioteka miejscem spotkań wielu kultur*, poznaliśmy realizatorów projektu oraz jego cudzoziemskich uczestników i w międzynarodowym

składzie diskutowaliśmy o problemach związanych z integracją obcokrajowców ze społecznością lokalną oraz poszukiwaliśmy sposobów na ich skuteczne włączenie.

Przed uczestnikami projektu jeszcze dwa pięciodniowe szkolenia, jedno w Polsce i jedno w Chorwacji, pod wspólnym tytułem *Kurs na wielokulturowość* oraz trzy spotkania międzynarodowe: w Hiszpanii, Chorwacji i na Litwie. Podczas szkoleń zostaną poruszone m.in. zagadnienia różnic kulturowych i religijnych, mitów i stereotypów na temat migrantów, rozwiązywania konfliktów w środowisku wielokulturowym, integracji osób z innych kręgów kulturowych oraz psychologicznych aspektów inności i obcości. Nauczymy się prawidłowych reakcji na mowę nienawiści, dyskryminację i przemoc. W przerwach między spotkaniami partnerzy projektowi będą pracować na rzecz migrantów w swoich bibliotekach, organizując zajęcia edukacyjne i wydarzenia tematyczne (np. z okazji Międzynarodowego Dnia Migranta).

W ramach przedsięwzięcia powstanie publikacja elektroniczna prezentująca formy pracy z migrantami w krajach uczestników projektu oraz krótki film dokumentalny.



68 *Porozmawiajmy o uchodźcach* – warsztaty w żorskiej bibliotece

ALEKSANDRA ZAWALSKA-HAWEL
dyrektorka Miejskiej Biblioteki
Publicznej w Żorach



24 listopada 2017 roku o godz. 11.00 w Miejskim Ośrodku Kultury w Czerwionce-Leszczynach odbyła się konferencja naukowa pt. *Świąty poetyckie ks. Jerzego Szymika*. To już siódma edycja projektu zatytułowanego *Świąty poetyckie*, współorganizowanego od 2014 roku przez Zakład Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego oraz Centrum Kulturalno-Edukacyjne w Czerwionce-Leszczynach.

Przedsięwzięcie pt. „Świąty poetyckie” ma na celu opisanie dorobku wybitnych poetów XX wieku z Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Efektem spotkań jest seria wydawnicza redagowana przez prof. Mariana Kisieła i dr. Tadeusza Siernego. Dotąd w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” ukazały się: *Świąty poetyckie Stanisława Krawczyka* (2014), *Świąty poetyckie Tadeusza Kijonki* (2016), *Świąty poetyckie Andrzeja Szuby* (2016), *Świąty poetyckie Wilhelma Szewczyka* (2016), *Świąty poetyckie Tadeusza Sławka* (2017), *Świąty poetyckie Feliksa Netza* (2017).

„Tak, jak filozofia, tak i teologia wyrosła z poezji, bo najpierw były metafory, były dźwięki i były pewne przecucia. Jeżeli i filozofia i teologia zostały ustanowione przez słowo, to znaczy, że na początku była zawsze poezja”. Tą wypowiedzią, nawiązującą do myśli zawartych w eseju Hölderlina i istota poezji Martina Heideggera, prof. Marian Kisiel otworzył konferencję *Świąty poetyckie ks. Jerzego Szymika*. „My wszyscy – rozwijał badacz myśl Heideggera – będąc w słowie, jesteśmy w rozmowie, czyli w dialogu. Czas, w jakim się znajdujemy, jest czasem rozmowy. Słowo nigdy nie daje gwarancji, że jest słowem istotnym, może być także omamem, złudą”. Zapisane w poezji, zostaje poddane pracy krytyka, który je ocenia, analizuje, interpretuje.

Zadania te stały się celem badaczy z Uniwersytetu Śląskiego, którzy tym razem podjęli trud odczytania znaczeń zawartych w tekstach poetyckich ks. Jerzego Szymika. Podczas sesji w Czerwionce-Leszczynach zostało przedstawionych pięć referatów.

Jako pierwszy zabrał głos dr Dominik Chwolik, który zwrócił uwagę na rzeczywistości *sacrum* i *profanum* występujące w twórczości autora *Uczę się chodzić*. Badacz w swoich rozważaniach w sposób szczególnie wskazywał na miejsca pojawiające się w zapisach z podróży poety: „Włoskie trattorie czy restauracje skłaniają do przemyśleń, do snucia refleksji na temat własnej egzystencji, przemijania, Boga”. Ks. Jerzy Szymik, znajdując się w katedrze w Nowym Jorku, „w centrum świata”, na Manhattanie, dzięki obecności w nim

Świąty poetyckie ks. Jerzego Szymika

KATARZYNA NIESPOREK

świątyni, dostrzega wyraźny podział na „dwa światy”, ale też na wzajemne oddziaływanie tych nieprzystających do siebie rzeczywistości. „Miasto – podsumował Chwolik – nie jest [...] pozbawione światła słonecznego, świętej obecności. [...] Przestrzeń kościoła wniknęła w mury miasta”.

Drugi referat dotyczący przestrzennych aspektów poezji ks. Jerzego Szymika, wygłosiła prof. Elżbieta Dutka. Badaczka w swoim wystąpieniu nie tylko nazwała rodzinne miasto autora *blękitu* punktem, w którym „gęstnieje życie”, ale także zwróciła uwagę na inne związane z edukacją i pracą miejsca autobiograficzne przywoływane w jego utworach. „Z jednej strony istotne w twórczości śląskiego kapłana jest zakorzenienie [...] w regionie [...], z drugiej strony – podmiot wierszy ks. Szymika jest człowiekiem „w drodze”, bywa nomadą, wciąż szukającym swego miejsca”. W wyobraźni przestrzennej – przekonywała Dutka – jest wpisana dyspozycja komparatystyczna, charakteryzująca się „otwartością na różne spojrzenia, narracje, dynamikę myślenia przy przywiązaniu do pewnych stałych wartości”. Wymienione aspekty pozwalają odnieść poezję autora *Dobrego wina* do najnowszej tendencji badawczej, jaką jest „nowy regionalizm”.

Kolejnym referentem był mgr Piotr Zaczekowski, który w swoim wystąpieniu przedstawił interpretację wiersza *Hamlet w Bytomiu*. Krytyk opisując przedstawiony w liryku obraz dziewczynki, w swoim wystąpieniu podkreślił zawarty w wierszu gest poetycki przełamany gestem kapłańskim – modlitwą. Pytanie, czy ocali ona los skazanej na niepowodzenie bohaterki lirycznej wiersza, pozostało pytaniem otwartym, które zadaje sobie nie tylko poeta.

Metaforami szkoły w poezji ks. Jerzego Szymika zajęła się dr Kamila Czaja. Badaczka już na początku swojego wystąpienia odniosła się do wiersza *Me miro al espejo. Gdy patrzę w lustro 20 grudnia 1993 roku*, w którym znalazła się znamienna, zaczerpnięta z piosenki Joan Witka Wolnego fra-

za „W szkole życia wciąż błąkam się”. Badaczka zwróciła uwagę, że „parokrotnie pojawia się w tej poezji szkoła – w tym szkoła wyższa – rozumiana dosłownie, jako fragment przeżyć z czyjśgo życia” czy też termin „egzamin”. Ponadto w lirykach ks. Szymika dominują metafory związane z uczeniem się. Nie tylko dopełnienia frazy „uczę się”, ale także słownictwo bardziej szczegółowe np. „lekcja”. Wizja egzystencji wyłaniająca się z poezji autora *Ziemi niebieskiej* przypomina – jak przekonywała Czaja – nieustające przyswajanie treści nauczania. Jednocześnie w tej twórczości nie ma kultu wiedzy szkolnej – książd Szymik „rozbraja” w wierszach sztywne formy przekazywania wiedzy (np. „wykład”).

Ostatnią referentką była dr Katarzyna Niesporek, która przedstawiła referat zatytułowany *Kobiety w poezji ks. Jerzego Szymika*. Badaczka wskazywała, że w twórczości autora *blękitu* kobieta jest stawiana wyżej, aniżeli mężczyzna. Czytając poszczególne fragmenty wierszy można zauważyć, że rozważania poety wyraźnie uciekają w stronę kobiety, bo jest ona wszystkim: uosobieniem dobra, szczęścia, zadowolenia, zgromadzenia, siły, odwagi, Oblubienicy, czyli – jak w starotestamentowej *Pieśni nad Pieśniami* – Kościoła-wspólnoty; jest cielesna: „Wyzwolona i pociągająca” – piękna. Poeta – udowadniała Niesporek – pragnie poznać głębię kobiecości – tajemnicy czy uroku, którego nie „mogłyby zniweczyć ani przy ciężkie kształty, ani źle wydarzone rysy”. Nie idealizując niewiasty, poszukuje w niej zjawiskowości i niezwykłości, być może także odzwierciedlenia boskości.

Wygłaszane referaty były przeplatane głosem samego poety, który – często na prośbę występujących i publiczności – odczytywał swoje kolejne wiersze, czasem komentując czy dopowiadając okoliczności ich powstania. Sesję moderował i podsumował prof. Marian Kisiel: „Spotkaliśmy się dzisiaj z poezją, która porusza nie tylko problemy egzystencji, istnienia, ale także teologii, filozofii. Poezją, która jest językiem «przy człowieku»”.





Ksiądz Profesor Jerzy Szymik wraca do swojej szkoły po 45 latach od matury, a Jego, „nasze” liceum w Rydułtowach ma już 70 lat!



Jest takie liceum na Śląsku...

MARIA FIRUT

Historia pierwszej szkoły tego typu na ziemi rybnickiej zaczyna się w roku 1948, kiedy kierownictwo szkoły powszechnej im. dra Michała Grażyńskiego w Rydułtowach zostało powiadomione o planach przekształcenia placówki w szkołę ogólnokształcącą stopnia podstawowego i licealnego. Stopień podstawowy był obowiązkowy i trwał 7 lat, a czteroletni był dobrowolny. Dotychczasowy kierownik szkoły Wiktor Brzezina został mianowany dyrektorem liceum, przyjęto 48 uczniów do klasy III i I. września odprawiono nabożeństwo na rozpoczęcie nowego roku szkolnego.

72 Już w listopadzie przewieszono krzyże ze ścian frontowych klas

na boczne i w ten sposób zaczęła się zmiana ideologiczna, potwierdzona wpisem do kroniki szkolnej z dnia 15 listopada 1952 roku „W tutejszej szkole nauki religii nie udziela się”. Tak się zaczęło i trwało do transformacji ustrojowej w roku 1989. Ma to na uwadze ksiądz profesor Jerzy Szymik. Podczas wizyty umówionej na rozmowę o szkole podkreśla, jak bardzo zapamiętał klimat liceum z lat 1968-1972, niełatwych czasów, gdy szkoła ciągle jeszcze miała obowiązek upolitycznienia edukacji, a Kościół nadawał jej inny sens. Oni, jak nazwał swoich nauczycieli „nie porozrywali” wówczas swoich uczniów. Przyszły seminarzysta musiał odczuwać to szczególnie, dlate-

go z taką wdzięcznością i wzruszeniem wymienia Ich nazwiska: Płonka, Brzezina, Tekieli, Korepta, Kozłowska, Absalon. Zastrzega, że to nie wszyscy, którym chce podziękować.

Dzisiaj wiedzą o liceum ksiądz Szymika mieszkańcy Rydułtów, a także ościennych miejscowości: Wodzisławia, Pszowa, Radlina, z których uczniowie przyjeżdżali „na Skalną” od początku jej istnienia. Jest to Liceum Ogólnokształcące im. Noblistów Polskich, które obchodzi jubileusz siedemdziesięciolecia istnienia. Szkołę z taką historią sprawdzały pokolenia. Również 45 lat temu opuścił ją ksiądz profesor Jerzy Szymik. Dzisiaj ma swoje miejsce w galerii Wybitnych Absolwentów, wśród ta-





kich postaci, jak profesor Henryk Mikołaj Górecki, światowej sławy kompozytor, równie sławny kompozytor i dyrygent Jan Wincenty Hawel, profesor Jerzy Dudek, twórca salonu matematycznego, Augustyn Kubik, członek Europejskiego Trybunału Obrachunkowego w Luksemburgu i wielu innych, których nazwiska, jak powyższe, świadczą, że po maturze w Rydułtowach też można studiować, gdzie się chce i co się chce. Nie ukrywamy, że jesteśmy szkołą na prowincji. Mamy kim się chwalić w przeszłości i dzisiaj, mamy powody do dumy, ale też rozumiemy ograniczenia, jakim podlegamy. Położenie w małym mieście osłabia naszą rekrutację, ale za to pozwala utrzymać dobrą aurę, tak bardzo potrzebną do wytworzenia relacji.

Książd profesor Jerzy Szymik podkreśla, jak bardzo zapamiętał ten klimat szkoły – przekonany, że tworzyła go relacja mistrz i uczeń, bo nastawienie na elektroniczne metody nauczania dzisiaj to bardzo dużo, ale nie wszystko. Nowoczesność w dydaktyce łączy się w rydułtowskim liceum z tradycją, która nie musi się bronić, bo po prostu jest na swoim miejscu. 10 grudnia 2011 roku została odsłonięta tablica pamiątkowa w pierwszą rocznicę śmierci profesora Henryka Mikołaja Góreckiego – ucznia i absolwenta tej szkoły w latach 1949-1951. Wyjątkowy zaszczyt uczyniła wówczas szkolnej społeczności Pani Jadwiga Górecka, wdowa po Profesorze. Jej obecność roztoczyła niezapomnianą aurę, w której dokonano się przecięcie wstęgi na tablicy. Pani Jadwiga Górecka nie jest absolwentką rydułtowskiego liceum, ale stała się Przyjacielem Szkoły, o której jak nam mówi, „dużo Mąż opowiadał”, a przecież tamte lata były trudne do bycia w zgodzie z samym sobą. Mówił o tym książd profesor Jerzy Szymik więc może po prostu liceum w Rydułtowach ma szczęście do ludzi, którzy troszczyli się i troszczą o wyniki matury, ale także o... wartości. Wśród nich są „daty i ślad minionych ludzi”, jak by to ujął Czesław Miłosz.

Jak bardzo to tutaj rozumiemy, świadczy unikatowy festiwal piosenki „Niezapominajka”. W roku jubileuszowym odbędzie się jubileuszowa – dziesiąta edycja. W festiwalu – konkursie biorą udział uczniowie ze szkół całego powiatu wodzisławskiego i innych, bo tak dużym zainteresowaniem cieszy się jego formuła – śpiewanie piosenek z repertuaru nieżyjącego Patrona



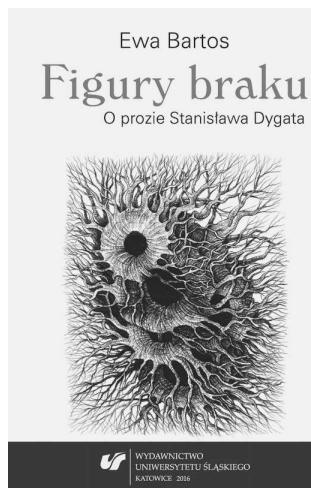
edycji. Byli nimi dotychczas: Czesław Niemen, Andrzej Zaucha, Agnieszka Osiecka, Anna Jantar, Jonasz Kofta, Grzegorz Ciechowski, Riedel, Grechuta, Klenczon. „Niezapomniane” nazwiska „ściągają” do nas prawdziwe talenty, dzięki nim i organizacji „Niezapominajka” odbywa się na profesjonalnym poziomie. Dla laureatów pierwszego miejsca jest trampoliną do artystycznego zaistnienia. W LO im. Noblistów Polskich można zacząć nie tylko naukową, polityczną, ale i artystyczną karierę. Organizatorzy festiwalu zapraszają na koncert laureatów w marcu już dzisiaj, wstęp wolny, ale miejsca na widowni Rydułtowskiego Centrum Kultury zawsze zajęte są do ostatniego.

Tymczasem szkoła położona w bezpiecznym miejscu „na górze” ma drzwi szeroko otwarte. Otwierają się one na ambitne aspiracje młodzieży, która już się widzi w mundurze policjanta, czy strażaka, albo w kamizelce ratownika medycznego. Jako pierwsi stykamy naszych uczniów z zawodami, o których muszą coś wiedzieć, żeby je zdobywać w przyszłości. O edukacji humanistycznej nie myślimy, że ma iść „w ogonie”, równouprawniamy przedmioty nauczania, dlatego mamy kontakty z uniwersytetami. Książd profesor Jerzy Szymik wspomaga polonistów mówiąc z pełnym przekonaniem o potrzebie czytania. „Najpiękniejszą rzeczą wg Niego jest pisać, jeszcze piękniejszą czytać”, co na Skalnej oznacza także kontakty z pracownikami naukowymi, którzy przyjeżdżają z wykładami o literaturze, jak w niedalekiej przeszłości prof. Zbi-

gniew Kadłubek, prof. Iwona Wolny, dr Małgorzata Myśliwiec, dr Grzegorz Francuz, dr Piotr Bogalecki. Egzystujemy zatem w najlepszym towarzystwie, potrafimy mówić Respekt, Respekt, Respekt, jak poucza jeden z patronów szkoły Czesław Miłosz, dlatego w przygotowaniach uroczystych obchodów siedemdziesięciolecia LO w Rydułtowach szczególną rangę chcemy nadać Wielkim Ciężniom, Mistrzom i całym rocznikom, które zostawiły u nas swój ślad. Zobowiązuje nas do tego własna historia. Istniejemy w świecie, który zdaje się przekonywać o jutrze, że tylko ono jest ważne, ale liceum w Rydułtowach ma poczucie tożsamości dzięki przeszłości.

W ciągu siedemdziesięciu lat istnienia zmieniali się dyrektorzy, nauczyciele, uczniowie przychodzili na cztery, potem na trzy lata, dokonywały się zmiany i tylko „ten klimat” się nie zmienia. Dzisiaj dyrektorem jest dr Piotr Skowronek, również absolwent, którego nie dotyczy powiedzenie, że „lepiej być szczęśliwym pracownikiem, niż nieszczęśliwym dyrektorem”, bo dla liceum stara się zrobić wszystko, co możliwe. Nie jest do tego sam, ma nas, nauczycieli, którzy dołożymy wszelkich starań, aby „Skalną” uczcić w dniach 27-28 marca 2018 roku z okazji siedemdziesięciu lat istnienia. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych, związanych ze szkołą, bądź jej sympatyków na uroczyste obchody jubileuszu. Zaczynamy mszą świętą, o której celebrowanie poprosiliśmy arcybiskupa Wiktora Skworca, z homilią „Naszego” Książdza Profesora.





w problem braku, jak i ekonomizacji ludzkich pożądań oraz relacji z innymi. Autorka umiejętnie korzysta z pojęć psychoanalizy Lacana oraz jej zastosowania w pracach Slavoj Żižka. Szczególnie udane wydaje się odwołanie do teorii miłości dworskiej, w tym figury damy opisanej przez Żižka, która w prozie Dygata dyskursywowana była przez cały czas, gdyż pisarz ten, chciałoby się powiedzieć, znał całą dwuznaczność nowoczesnego posługiwania się dworskimi scenariuszami miłosnych pragnień. Przede wszystkim wydaje się zaletą książki Ewy Bartos, że dzięki spożytkowaniu współczesnych teorii psychoanalitycznego interpretowania literatury wyszła poza powtarzany dotąd schematycznie problem abulii bohatera prozy Dygata i pogłębił związane z tym doznanie psychicznego braku m.in. o opis mechanizmu masochistycznego i in.

Bardzo udanie opisuje znaczenie braku w prozie Stanisława Dygata trzeci rozdział *Czas, wojna i brak*. Autorka pokazała znaczenie pewnej powtarzającej się w tej twórczości struktury czasowej, w której decydujące znaczenie miała zwykle pomijana w opisie epoka wojny w kraju, a ten właśnie czas, ta luka czy brak, zdecydowała o sposobie porządkowania temporalnego własnych przeżyć przez bohaterów Dygata. Bartos umiejętnie rozszerza swój wywód o problematykę pamięci i doświadczenia. W rozdziale tym na docenienie zasługuje także przenikliwa analiza motywu gwałtu na Niemce, jaki wydobywa z badanej prozy autorka, by objaśnić za jego pomocą skomplikowane przejawy nieusuwalnego wybrakowania odczuwanego przez bohaterów Dygata z powodu doświadczenia wojennego.

Książka Ewy Bartos z należytym szacunkiem i uczciwością odnosi się do dotychczasowych komentarzy do dzieł Dygata. Do prac o szczególnym znaczeniu urasta opracowanie Barbary Gutkowskiej, którego wiele też autorka teraz rozwija lub potwierdza. Nie znaczy to jednak, że Bartos zbyt bezkrytycznie przyjmuje sądy poprzedników. Praca Gutkowskiej wybrana została w wyniku solidnego namysłu i krytycznego sprawdzenia jej wartości, natomiast w odniesieniu do wielu innych opracowań Bartos wypowiada nieraz uwagi polemiczne, prostuje nieścisłości, rozwija wywód alternatywny. Są to za każdym razem opinie wyważone i wypowiadane z należytyym szacunkiem dla przywoływanego opracowania, jednak pod względem merytorycznym w chwalebny sposób nieustępliwe oraz samodzielnie myślowo.

Figury braku. O prozie Stanisława Dygata Ewy Bartos to dzieło o znaczącej wartości naukowej, gdyż udanie odnawia refleksję nad twórczością jednego najważniejszych polskich pisarzy XX wieku.

Ewa Bartos: *Figury braku. O prozie Stanisława Dygata*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2016, s. 276.

Ekonomie Dygata

KSIĄŻKI

TOMASZ MIZERKIEWICZ

Twórczość Stanisława Dygata otwierano za pomocą różnych kluczy – od inteligencjności (Kazimierz Wyka) po egzystencjalizm (Michał Januszkiewicz). Pewien widoczny od pewnego czasu impas w jej badaniu wynikał chyba z braku współczesnych pomysłów na jej czytanie, książka Ewy Bartos ma szansę znacząco to zmienić, gdyż proponuje nową i dobrze uargumentowaną metodę lekturową. Przyjęta przez autorkę perspektywa ekonomiczna znakomicie odświeża myślenie o bohaterach prozy Dygata i ich świecie. Dzięki interpretacji Bartos okazują się oni ludźmi, w których uczucia miłosne, tożsamości, pragnienia wkradły się i rozpleniły swe mechanizmy zasady utowarowienia, filozofia pieniądza czy logika długu. Literackie *alter ego* Dygata przestaje drażnić oschłością i aktorstwem, gdy widzimy w nim osobę z pełną świadomością walczącą z zimną ekonomiką nowoczesności na gruncie swego własnego podmiotowego istnienia. W lekturze Bartos autor *Pożegnań* kreuje zatem jedną z ciekawszych w polskiej literaturze nowoczesnej podmiotowości opisującą siebie poprzez figury braku.

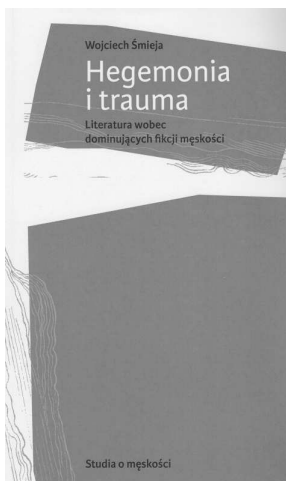
Książka w sposób przekrojowy ujmuje tytułowe zagadnienie figur braku w prozie Dygata w trzech obszarach problemowych, którymi są: fundujący cały projekt badawczy kontekst ekonomii, świat pragnień, wymiar temporalny (ze szczególną rolą doświadczenia wojny). Rozdział pierwszy zajmujący połowę objętości książki śledzi ekonomizację relacji międzyludzkich w kolejnych książkach omawianych w porządku chronologicznym. Dzięki temu udało się autorce precyzyjnie określić różnice między okresem wyznaczonym przez pierwsze powieści *Jezioro Bodeńskie* i *Pożegnania* a okresem drugim, do którego zaliczają się *Podróż* oraz *Dinesnyland*, oraz najmocniej autotematycznym okresem trzecim zaznaczonym przez

Karnawał i *Dworzec w Monachium*. Okazuje się, że proces coraz bardziej wyrachowanego, kontraktowo-finansowego myślenia o miłości oraz postaci bohatera-protagonisty stale narastał w powieściach Dygata. Ewa Bartos wskazuje na konsekwencje wykorzystania motywów, które umykały dotąd w swym znaczeniu uwadze badaczek i badaczy. Na przykład niby tylko fabułowtórzy motyw defraudacji otwierający bohaterowi *Podróży* możliwość spełniania wymyślnych zachcianek miłosnych okazuje się niewykorzystaną dotąd możliwością analizy całego dzieła z perspektywy ekonomicznej.

Wypada przy tym wyraźnie i z aprobatą podkreślić, że autorka nie przykrawa dzieł Stanisława Dygata do jakichś gotowych już teorii ekonomii literatury, gdyż każdorazowo punktem wyjścia jest czytany z filologiczną akrybią tekst. To od tekstu, od jego własnych wątków, pojęć, a także metafor z dziedziny finansowo-gospodarczej dochodzi się do stopniowego określania zasad ekonomii literatury właściwych utworom Dygata. Znane i popularne dziś w humanistycznych lekturach akademickich teorie ekonomiczne przywoływane są jako narzędzia i konteksty pomocnicze w głównym zamiarze określenia niedostrzeganego dotąd, a zasadniczego problemu prozy autora *Karnawału*. Kiedy zatem trzeba pojawiają się stosowne i przydatne w danym miejscu wywodu prace Simmla, Kardaszewskiego czy Sédillota, aby dodatkowo tylko wzmocnić przekonanie, że jest to kontekst i wymiar, poprzez który można wreszcie powiedzieć coś nowego o świecie Dygatowskich bohaterów. Za przekonujące uważam zatem wykorzystane w tym rozdziale gospodarczo-finansowe pojęcia długu, kredytu, towaru, kupowania, posiadania, wymiany i innych.

Rozdział drugi dotyczy kwestii pragnienia, która pozwalała na wgląd zarówno





Dominujący czy zdominowany?

KSIAŻKI

GAWEŁ JANIK

Hegemonia i trauma. Literatura wobec dominującej fikcji męskości Wojciecha Śmieja podejmuje tematykę, która autorowi bliska jest od dekady. Badacz opublikował dwie książki o mariażu męskości i literatury: *Literatura, której nie ma. Szkice o polskiej „literaturze homoseksualnej”* (2010) oraz *Homoseksualność i polska nowoczesność. Szkice o teorii, historii i literaturze* (2015). Wydaje się, że jednak dopiero na kartach *Hegemonii i traumy* zaprezentował on w pełni własny i gruntownie przemyślany projekt teoretyczno-krytyczno-interpretacyjny, dzięki któremu zajmujący się studiami nad literackimi obrazami męskości pozyskali nowe narzędzia badawcze.

Książka Śmieja to starannie zaplanowana literaturoznawcza podróż poprzez ostatnie sto lat polskiej literatury. Podróż, w trakcie której czytelnikom będzie dane przyjrzeć się zmianom, jakim ulegało spojrzenie rodzimych autorów na kwestię męskości. Niewątpliwym atutem publikacji jest sposób, w jaki badacz dokonał selekcji opisywanych przez siebie twórców. Mamy bowiem wśród nich zarówno autorów kanonicznych, na przykład Brunona Schulza, jak i mniej znanych – tu można by wymienić chociażby otwierającego rozważania Śmieja Jana Zyznowskiego. Są tu tak poeci (Tomasz Jastrun, Jacek Podsiadło), jak i prozaicy (Andrzej Stasiuk). W książce poświęconej męskości znalazło się ponadto miejsce dla kobiecego punktu widzenia – przeczytać więc możemy obszerny rozdział poświęcony powieści *Tiistan 1946* Marii Kuncewiczowej.

Tytuł książki, jak tłumaczy sam autor, miał wskazywać na wyczuwalne w całej publikacji „napięcie między modelem (fikcją) męskości hegemonicznej i autonomicznej a męskością strauumatyzowaną, okaleczoną, starającą się, wracając do Silvermana, *żyć z brakiem*, oswoić go, uczynić elementem konstytutywnym, nadbudować na nim.

Równie dobrze jednak mógłbym, nawiązując do tytułu swojej poprzedniej książki, zatytułować ją *Męskość i nowoczesność*, gdyż doświadczenie nowoczesności jest doświadczeniem niszczącym (trauma) dominującą fikcją męskości/fikcją dominującą męskości (hegemonia)” (s. 22).

Choć Śmieja już we wstępie swojej książki przyznaje się do licznych uproszczeń oraz znacznego zawężenia badanych i opisywanych tematów, to przynajmniej należy, że podjęta przez niego próba ujęcia „dziejów męskości w polskiej kulturze i literaturze ostatnich stu lat” (s. 22) nie byłaby możliwa do zrealizowania w innej formie, niż tylko subiektywnego wyboru, nigdy zaś kompletnego, całościowego studium.

Już samo podjęcie się przez Śmieję tak trudnego i ambitnego zadania zasługuje na najwyższe uznanie, zwłaszcza, że badacz wkracza na grunt wciąż niezbyt dobrze opisany – obręb rodzimych badań stawiających dopiero swojego pierwsze kroki; czerpiących w dużej mierze z założeń wypracowanych w latach poprzednich na gruncie badań zachodnich, próbując inkorporować je na grunt polskiego literaturoznawstwa; przykładać je do rodzimych utworów i literackich modeli oraz metodą prób i błędów sprawdzać, czy przystają one do twórczości polskich autorów.

Śmieja idzie w swojej książce o krok dalej – w *Hegemonii i traumie...* rozwija własną koncepcję, w której punktami centralnymi stają się trzy następujące kategorie: męskość hegemoniczna, fikcja dominująca i historyczna trauma – pojęcia, zdaniem badacza, konstytutywne dla całych studiów nad męskością, a których to źródeł szukać należy w rozprawach *Masculinities* Raewyn W. Connell oraz *Male Subjectivity at the Margins* Kai Silvermana.

Wnioski do jakich dochodzi Śmieja wskazują na dychotomiczny charakter pol-

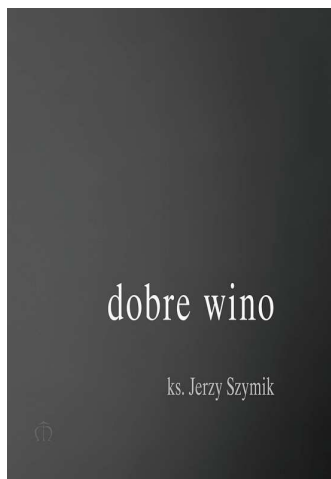
skiej literatury po roku 1918. Z jednej strony obecny jest w niej wzorzec męskości militarnej, realizującej ideał romantyczny, z drugiej zaś coraz częściej obserwować można eksperymentatorskie próby zerwania z obowiązującym paradygmatem męskości hegemonicznej, poprzez wprowadzanie bohaterów realizujących, by tak rzec, swoiste antywzorce męskości. Nie sposób nie zgodzić się z badaczem, że wciąż mamy tu jednak do czynienia z podziałem binarnym, wykluczającym wszelkie inne warianty męskości.

Zdaniem Śmieja to właśnie I i II wojna światowa stają się momentem granicznym, po którym dotychczasowa „nowoczesna męskość” traci swoją hegemonialną pozycję, co z kolei prowadzi do „historycznej traumy” owej męskości. Męskości, której siła zostaje zakwestionowana, i która od tego momentu musi zmierzyć się z takimi kategoriami jak choroba, kalectwo, słabość i niemoc. Dopiero na takim gruncie mają szansę zacząć kielkować męskości wariantywne, graniczne, odrzucające dotychczasowe wzorce militarne, tworząc tym samym zupełnie nowy paradygmat „męskości ponowoczesnych” i inkluzywnych, które coraz wyraźniej zaznaczają swoją pozycję we współczesnym świecie.

Jak podkreśla w swojej książce Śmieja, polska męskość „wyrosła z ideałów szlachecko-sarmackich ugruntowanych w narodowym imaginariu Henryka Sienkiewicza”, czego skutkiem była niezwykle mocna pozycja wzorca „męskości nowoczesnej”, która utrzymywała się na polskim gruncie (choć z różnym natężeniem) aż do roku 1989, kiedy to rodzima męskość, jak pisze autor, „zaczęła ulegać globalnym procesom” (s. 382).

Śmieja, próbując przewidzieć w jakim kierunku zmierzać będzie polska męskość, stawia hipotezę, jakoby wielce prawdopodobny był powrót wzorca militarne na pozycję hegemonia. Przyczyn możliwości dokonania się takiego zwrotu badacz upatruje w działaniach państwa, uprawianej przez rząd polityce historycznej oraz promowaniu postaw charakterystycznych dla środowiska żołnierzy wyklętych, stawianych jako wzór cnót i bohaterstwa. Jak pisze Śmieja: „wydaje się, że polska męskość jako *męskość-nie-do-końca-postmodernistyczna* ciąży ku przednowoczesnym wzorcom” (s. 385). Owa tendencja zbliża nas więc do, jak się do niedawna wydawało, stopniowo odchodzących w niepamięć fantazmatów historycznych. Fantazmatów nie uwzględniających tego, co tu i teraz, a opartych na kulcie przeszłości; promujących wzorce waleczne i heroiczne, a zarazem wykluczające wszystko to, co słabe i niezdolne do walki. Tym samym kolejny już raz męskość rości sobie prawa do stania się synonimem tego co ogólnoludzkie i uniwersalne. Z tej perspektywy jeszcze bardziej konieczny wydaje się rozwój na gruncie polskim studiów nad różnymi obliczami męskości, a książki takie jak *Hegemonia i trauma...* nazwać można nie tylko literaturoznawczo, lecz i społecznie potrzebnymi.

Wojciech Śmieja: *Hegemonia i trauma. Literatura wobec dominującej fikcji męskości*. Warszawa-Katowice 2016, s. 404.



„Im bliżej dna, tym mocniejsze wino”

KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

Dobre wino ks. Jerzego Szymika to tom synkretyczny. Poeta pomieszczył w nim nie tylko – jak mówi podtytuł zbioru – wiersze z lat 2014–2017, ale także fragmenty tekstów Josepha Ratzingera, formy epistolarne oraz urywki z *Ewangelii*. Cała książka została podzielona na jedenaście nierównomiernych części. Poeta starał się w nich tematycznie uporządkować swoje utwory. W tomie pojawiają się motywy stale poruszane przez ks. Szymika: jego doświadczenia codzienności, spotkania z Bogiem, zapisy z podróży oraz pobytu w górach, opisy miast, kobiet, dziewczyn, wreszcie matki. Tym razem jednak w tych od lat towarzyszących poecie obrazach zostaje wyeksponowana droga, jaką należy przejść, aby uzyskać pełnię dojrzałości.

„Im starsze wino, tym lepsze” – mówi powiedzenie. Oto potencjał tkwiący w dojrzewaniu. Nie tylko wykwiutnego trunku, ale przede wszystkim dochodzącego do doskonałości człowieka. Dobre wino zawdzięcza swoją wartość czasowi. Ten nie tylko niszczy i kruszy, ale także leczy rany, tworzy historię, umacnia ludzkie relacje, wreszcie przynosi nowe, inne spojrzenie na rzeczywistość: „Jak to się zmienia wszystko. / Jak się rośnie ku czemuś, czego jeszcze nie ma. / Jak się trudno rozpoznać / na dawnych zdjęciach naszych myśli / i przemyślanych tak gruntownie / [...] teź” (s. 55). To, co kiedyś dla autora *Ziemi niebieskiej* było pewne i oczywiste, staje się wątpliwe teraz, po latach: „Cóż to się stało i dzieje? / Ze *Widzenie jesienią*, pisanie 35 lat temu, / czytam tej jesieni jak wiersze / nieznanego mi człowieka” (s. 55). Doświadczenie każe więc patrzeć ks. Szymikowi na teraźniejszość z dystansem, bo kiedy stanie się ona przeszłością zapewne będzie widziana inaczej.

Z wierszy wyłaniają się opozycje: „ja” i „dawny świat”, „ja” i nowoczesność, doświadczenie (które nabyło pokolenie ks. Szymika) i młodość (którą żyje obecne pokolenie). Autor *Błękitu* nauczył, że nie nie

jest pewne w życiu, mając swoje lata, uważając siebie za obytego z rzeczywistością, dostrzegając w niej sprawy i rzeczy, które dewalują, niszczą człowieka. Twórca wewnętrznie nie wyraża na nie zgody. Ustawia się po przeciwległej stronie obecnego świata, który nie bardzo mu się podoba. Ale poeta nie jest tylko biernym obserwatorem rzeczywistości. Chociaż ją otwarcie krytykuje: „Rozglądałem się i widzę, / [...] dziewczyny mają anoreksję, / dzieci ADHD, / kamienie błękitną pruską krew, / a moi rówieśnicy żony / w wieku moich studentek” (s. 41), myśli o niej, poleca ją w swojej modlitwie: „Ale jestem z nimi znacznie bardziej”, „Chcę dla nich tylko dobra” (s. 51). Patrząc na takie obrazki, scenki rodzajowe, przypomina mu się starożytny Babilon, miasto, w którym Bóg, dzięki pomieszaniu ludziom języków, zniweczył najpierw ich plany zbudowania potężnej wieży Babel – symbolu pychy – następnie doprowadził miasto to do całkowitego zniszczenia i ostatecznego upadku. Ks. Szymik sugeruje, przestrzega, że do tego samego dąży nowoczesny świat. Podmiot zwraca się do niego w jednym z wierszy: „O wielkomijski Babilonie, / wielka Nierządniczo, / uwodzicielko młodych i nie tylko, / o pysku okolonym kozuszkami. / Widzę cię na olsztyńskiej starówce, / w bladym blasku smartfona, / słyszę w gitarowym riffie” (s. 56). Poeta ukazuje ponętą, nowoczesną rzeczywistość, która wie czym i jak zwieść człowieka. Ks. Szymik nie daje się jednak nabrać – swoje już widział i przeżył. Ale też wie, że każda młodość i dochodzenie do dojrzałości rządzą się swoimi prawami, trwają w czasie. Owoce „zerwane, tłoczone, poddane procesowi fermentacji” – jak pisze Joseph Ratzinger, którego słowa otwierają tom – dopiero potem, po czasie właśnie, „stają się kosztownym winem” (s. 7). Epifania, oświecenie, błysk, poznanie tego, co w życiu najistotniejsze przychodzą dopiero później: „oto blondyn jak z Nirwany [...] / podnosi dziewczynę

jak z Nirwany [...] / a ta podnosi przekłutą brew. Zachwycona. / Zerkają co ja na to. / [...] Więc mrugam porozumiewawczo, / udając, że wiem tyle co oni / albo nawet mniej; / niczego im nie zdradzam. / Wszystko w swoim czasie, / kochani” (s. 51). Ks. Szymik mądrze przekonuje, że człowiek najlepiej uczy się na swoich błędach, a życie jest jak wino – dobre, słodkie, łagodne, ale także skwaszone, wytrawne, może „dawać kopa”. „Im bliżej dna, / tym mocniejsze wino” (s. 8) – przekonuje poeta w jednym z najlepszych wierszy w tomie – „musisz je wypić do dna / zrozumieć, co się właściwie stało / kiedy cię wezwał / od sieci, / od wsobnego skurczu, / od marzeń o miłości / do miłości samej” (s. 8). Miłość, która porzuca dawne życie, wiąże się już z odpowiedzialnością i z dojrzałością, zastępuje początkowy zryw i młodzieńczy entuzjazm. Bycie na dnie, upadek człowieka prowadzi więc do zrozumienia, momentu uświadomienia tego, co w życiu jest naprawdę wartościowe. Po pierwsze radości z Boga („Jest tak / jak o tym / kiedyś słyszałem: / myśl o Bogu / sprawia mi / potężną radość” – s. 16), po drugie z bliźniego („Darem się staje człowiek” – s. 20). Ale poeta dochodzi jeszcze do innych prawd. Zapisuje je w lirykach dla swoich czytelników jako dobre rady, wskazówki albo „złote myśli”: „Nie idź / za każdym impulsem, / za każdą myślą, / za każdym obrazem” (s. 19), „[...] nigdy się nie godzić / z tym, co oślepia, co uwodzi” (s. 59), „dobrze jest cierpliwie czekać” (s. 59).

W *Dobrym winie* pojawiają się motywy akwaticzne i animalne. Pierwsze odzwierciadlają kruchość ludzkiej egzystencji: „życie jest żegluga dziurawej łodzi”; tęsknotę za Stwórcą i przyszłością z nim związaną: „Nad chłodną wodą znów tańce obłoków / I ta, co zawsze, wilgoć pośród liści. / Za Tobą wołam, Ciebie tu wyglądam. / I niech się wszystko, co miało być – ziści” (s. 11); ale też określają Boga, który zostaje nazwany w wierszach Szymika „Chrystusem Głębin” – jego zadanie polega na „wyławianiu nas z otchłani jak potopionych” (s. 71). Drugie są związane z samotnością, cierpieniem, chorobą i śmiercią. Uroczy kot Gapius, chociaż bliski swojemu panu, kochany, mający ciepły dom, musi umierać sam: „Nie było mnie wtedy, ale słyszałem, / że ciemnozielone wybroczyny, / że kaszanie krwią i że bardzo / było mu zimno” (s. 61), z kolei kot spotkany w schronisku na Błatniej, skazany na marny los, głodny i bezdomny, zostaje uratowany przez wędrującego po górach turystę: „Schronisko było zupełnie puste, / a jemu głód zaglądał w dzikie zielone oko. / Skoczył mi na kolana, przytulili się do siebie / i mruczełiśmy obaj dłuższą chwilę” (s. 62). Ks. Szymik udowadnia, że Bóg dla każdego ma swój plan, a wyroki boskie są niezbadane.

Swoją książkę autor *Uczę się chodzić* kończy słowami *Ewangelii*, wypowiedzianymi do pana młodego na słynnym weselu w Kanie Galilejskiej: „Ty zachowałeś dobre wino [...] aż do tej pory” (s. 83). Jest nim nie tylko przynoszący rozkosz smaku napój, na który musiał zadziałać czas, ale przede wszystkim – jak wyjaśniał Benedykt XVI – „głębokie czyste, tak wiary” (s. 7), które ks. Szymik – kapłan i poeta – uczynił przesłaniem swojego tomu.

Ks. Jerzy Szymik: Dobre wino. Wiersze z lat 2014-2017. Księgarnia św. Jacka, Katowice 2017, s. 88.





To nie sen ani eksperyment, to rzeczywistość

KSIĄŻKI

JUSTYNA SZLACHTA-MISZTAŁ

Najnowsza książka Zygmunta Miłoszewskiego *Jak zawsze* zrywa z serią kryminałów o prokuratorze Szackim, osadzonych w warszawskich realiach. Jest to, jak można przeczytać na odwrocie książki, „komedia ironiczno-romantyczna”. I rzeczywiście, już od pierwszej strony romantyzm starszego małżeństwa przeplata się z ich ironicznymi wypowiedziami. Sam obrazek starszej pary jest uroczy, czy wręcz urokliwy. Starsi, znający się doskonale małżonkowie, świętują swoją pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Świętują nieszablonowo, bo erotycznym zbliżeniem, łamiąc tym pewien temat tabu. Zanim dochodzi do intymnego aktu (notabene z pomocą medykamentów oraz erotycznej bieleziny) podejmują analizę dotychczasowego życia. Dyskutują o blaskach jak i brakach swego wspólnego życia, dochodząc do wspólnej decyzji, że ich życie nie było złe, lecz mogło być lepsze. I zapewne mogłaby ta dyskusja trwać nadal, lecz oto budzą się ponownie w pamiętnym roku 1963, kiedy zaczęła się ich wspólna życiowa przygoda. Nie jest to jednak ta sama rzeczywistość – w alternatywnej rzeczywistości Polska stanowi kolonię francuską, z wszystkimi tego konsekwencjami – francuskie symbole, francuski styl życia, francuski język, francuskie zespolenie. Zapowiada się powrót do przeszłości, znany z filmów fabularnych. Jednak to nie tylko wycieczka bohaterów w przeszłość – to specyficzna próba charakterystyki współczesnego świata. Konkretnie wydarzenia czy osoby można przyrównać (odkalkować) do współczesnych bohaterów sceny politycznej czy utożsamiać z obecną sytuacją społeczno-polityczną. Tym samym książka próbuje w ironiczny sposób opisać współczesne realia.

Aby podjąć się takiego wyzwania trzeba zmierzyć się z ukazaniem cech polskiego narodu, pokazać społeczeństwu najważniejsze cechy, dzięki którym dotarli do obecnego

punktu. Stąd Miłoszewski kreśli, czy wręcz opisuje nadmierne przywiązanie do historii, sentyment do monumentalnych (budowanych z rozmachem) pomników oraz stałą kłótniowość (niezgodę), która zawsze prowadzi do podziałów, kończących się istotnymi skutkami. Zaskakuje jednak brak typowo polskiej cechy, jaką jest przywiązanie do religii, a dokładniej do jej obrządków. W całej książce znaleźć można jedynie kilka wzmianek na temat kościołów, jednak tylko jako budowli. Brak jakichkolwiek odniesień do życia duchowego społeczeństwa. Czytając najnowszą książkę Miłoszewskiego, odnosi się wrażenie, że ukazanych w niej Polaków zaliczyć można do grona niewierzących. Trudno nawet mówić o niepraktykujących, bo nie ma w niej mowy o żadnych obrządkach, żaden z bohaterów nie świętuje nawet świeckiej Gwiazdki. Jest to o tyle dziwne, że przywiązanie do religii jest jednym z podstawowych wyznaczników „polskości”. Podjęty przez Miłoszewskiego zabieg można próbować tłumaczyć próbą odcięcia się autora od współczesnych problemów na linii kościół-inni. Klóci się to jednak z całością utworu i ukazuje pewną niekonsekwencję. Skoro autor podejmuje się dość szczegółowej charakterystyki najważniejszych cech Polaków, powinien w jakiś sposób zmierzyć się również z tym problemem.

Wspomnianą niekonsekwencję widać również w zakończeniu utworu. Bohaterowie przenoszą się w alternatywne lata sześćdziesiąte, gdzie rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej od tej, którą oni zapamiętali. Z biegiem czasu i wydarzeń historia zaczyna wracać na swe stare tryby – ponownie do władzy dochodzi Edward Gierek a pewnej nocy dochodzi do zamachu stanu. Są to wydarzenia znane bohaterom, wszystko wraca do „normalności”. Jednak oni nie wracają do swych

ram, pozostają w alternatywnym świecie. Być może można to interpretować jako ich szansę ponownego, tym razem lepszego, powtórnego wspólnego życia. Lecz jeśli historia wraca do swych pierwotnych torów, dla czego takim samym zasadom nie podlegają ich bohaterowie?

Samo zakończenie jest iście zaskakujące – zaczynając podróż z bohaterami można domniemywać, że wrócą do swej rzeczywistości, wyciągną odpowiednie wnioski, spiszą je, albo chociaż opowiedzą swe doświadczenia młodemu pokoleniu. Okazuje się, że nie tylko nie wracają, a ponadto zostają rozłączeni. Ludwik próbuje przedostać się do Polski, a Grażyna czyta list pożegnalny. Dopiero ostatnie zdanie pozwala zrozumieć sens tytułu utworu: „Głowa do góry, wcześniej czy później będziemy razem. Jak zawsze”. Nie jest to zabieg nowy – podobne rozwiązanie zastosowała autorka młodzieżowej powieści *Słoneczniki*, Halina Snopkiewicz, która dopiero w ostatnim zdaniu książki odniosła się do samego tytułu.

Nie da się nie zauważyć, że końcówka utworu niesamowicie przyspiesza. Odnosi się wrażenie, że autor przy ostatnich stronach historycznie pragnął tylko i wyłącznie zakończenia swej książki. Przez ponad czterysta stron akcja płynęła swobodnie, zdarzały się dłuższe opisy jednej sceny. Ostatnie trzydzieści stron to kontrastujące niesamowite przyspieszenie. Sytuacje, zarówno polityczne jak i przygody bohaterów, stają się dynamiczne a szybkie zmiany potęgują wrażenie chaosu. Z drugiej strony, nie można wykluczyć, że jest to zabieg celowy. Przygody bohaterów przyspieszają, bo i sytuacja polityczna przyspiesza. Podobnie jak miało to miejsce w latach osiemdziesiątych – były to niesamowicie szybkie wydarzenia, które zmieniły życie wszystkich Polaków.

Dla bohaterów wycieczka w przeszłość okazała się szarą rzeczywistością. Nie był to ani sen, z którego mieli się obudzić, ani tym bardziej eksperyment naukowy. Pozostali w nowej – starej rzeczywistości, z którą zostali zmuszeni ponownie się zmierzyć. Pocięszające jest to, że ucieszyli się ze swej powtórnej młodości. Na kartach powieści co rusz pojawiają się pozytywne wypowiedzi na temat powtórnej młodości, sprężystego ciała, młodzieńczej siły oraz wiara, że nie powrócą do swych starych ciał. Czy zatem cel jaki przyświecał bohaterom, aby pozostać w alternatywnej rzeczywistości wynikał tylko i wyłącznie z możliwości utrzymania młodości? Jest to obecnie trend popularyzowany w świecie mediów – zatrzymanie młodego wyglądu, niedopuszczenie oznak starości. Jeśli tylko to przyświecało parze małżonków, to ich wyprawa w przeszłość okazała się niepotrzebnym wzruszeniem. I tak kiedyś zestarzeją się....

Przedstawiona opowieść to tylko fikcja literacka. Nikt z nas nie dostanie drugiej szansy przeżycia swego życia czy cofnięcia się w odmętę historii. Więc jesteśmy zobowiązani patrzeć dalekosiężnie, wyciągać odpowiednie wnioski i żyć tak, aby nie żałować przeżytych chwil i nie wstydzili się za swe czasy.

Zygmunt Miłoszewski: *Jak zawsze*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2017, s. 480.





Wleń i cząstka -vel-

Odwiedziłem niedawno urokliwe miasteczko dolnośląskie Wleń, które – tak jak pobliski Lwówek – uzyskało prawa miejskie przed rokiem 1261. Górują nad nim i nad malowniczą doliną Bobru ruiny najstarszego murowanego zamku na Śląsku wraz z całym zespołem architektonicznym okalającym go, zwanym Wleńskim Gródkiem. Jego historia ma początek w wieku X, kiedy na szczycie wzniesiono spory drewniany gród, który wraz z zamkiem pełnił funkcję kasztelanii. Od drugiej połowy XII wieku nabrała ona kamiennych kształtów. Do dalszej rozbudowy zamku przyczynił się przede wszystkim książę Henryk Brodaty wraz z żoną św. Jadwigą (u podnóża zamku znajduje się „kamień odpoczynku”, przy którym według legendy miała odpoczywać Jadwiga). Ruiny zamku otoczone są piękną architekturą (barokowy pałac z XVII wieku oraz kościółek św. Jadwigi również z tego okresu), ale ja polecam wszystkim przede wszystkim zapierający dech w piersiach widok rozciągający się z tego wzniesienia – doprawdy jeden z najcudowniejszych na ziemi śląskiej.

Historyk języka natomiast nie może nie zwrócić uwagi na wyjątkowo archaiczny charakter samej nazwy miejscowej *Wleń*. Jej zapisy: *Len* z roku 1206 i *Wlen* z 1271 pozwalają mianowicie na rekonstrukcję *Wlenia* od archaicznej podstawy indoeuropejskiej *-vel-* o znaczeniu „wilgotny, mokry” – tej samej, od której urobiono i takie nazwy, jak *Wiel*, *Wiele*, *Wieleń*, *Wieluń*, *Wolin*, *Wetna*, *Wetła* (dodajmy, że w swej historii Wleń doświadczył bardzo wiele razy kłęski powodzi).

W tym momencie trzeba przywołać dziś zapomniane, a jeszcze powszechnie znane w XVI wieku słowa *wetna*, *weln*, *welm* – „fala”, „bałwan”, też od rdzenia

-vel- pochodzące. Czytamy w tekstach staropolskich: „Welm wody, welm morški, na którym się łodzie rozbijają” (Słownik Jana Mączyńskiego ok. 1500 – ok. 1587, Królewiec 1564), „Gwałtowniej się miłości przeciwiają niż która w morzu skała nawalnym welnom” (Łukasz Górnicki 1527–1603), „I poruszyły się sie welny”, „Duch weln albo burze” (Psałterz floriański z XIV/XV wieku), „W pośrzodek weln” (Biblia królowej Zofii z roku 1455), „I postawił welnę ich w cichość i umilkły welny ich” (Psałterz puławski z XV/XVI wieku), „Spuści na grzeszne weln bicie” (Psałterz albo kościelne śpiewanie króla Dawida nowo pilnie przełożony, Kraków 1532).

W obiegu komunikacyjnym były też przymiotniki *welnisty*, *welnny* – „falisty, wzburzony, burzliwy”: „Jak niebezpieczna pływać po tym welnistym morzu świata tego” (Jakub Wujek 1541–1597), „I stał jest duch welny” (Psałterz floriański z XIV/XV wieku).

Archaiczny rdzeń *-vel-* tkwi w staro-cerkiewno-słowiańskiej formie *vlna*, w ruskiej *volna* i czeskiej *vlna*, w niemieckiej *Welle* „fala”, a także w litewskich postaciach *vilna*, *vilnis* „fala”, od których pochodzą nazwy rzeczne *Wilnia*, *Wilna*, a od nich nazwa miasta *Wilno* (po litewsku *Vilnius*).

Najbardziej znanym u nas obiektem z podstawą *-vel-* jest, oczywiście, *Wawel* – nazwa wzgórza w Krakowie nad Wisłą, na którym wybudowano gród i późniejszą siedzibę królów polskich. To był pierwotny – do początków XVII stulecia – *Wąwlel*, odmieniany *Wąwlel*, *Wąwlelowi*, *Wąwlelem*, *na Wąwlelu*. Mamy w tej postaci przedrostek *wą-* (kiedyś oboczny wariant przyimka *w*, *we*) i nasz pień *-vel-*, a cała struktura oznaczała „miejsce położone w wodzie, wśród wody, czyli otoczono

ne wodą”, także „miejsce otoczone terenem bagiennym”, co odpowiadało położeniu wzgórza w czasach przedhistorycznych i w średniowieczu.

Jak informuje *Słownik etymologiczny nazw geograficznych Polski* prof. Marii Malec z roku 2003, zmiana brzmienia *Wąwlel* na *Wawel* dokonała się pod wpływem pisowni łacińskiej *Vavel*, *Vavelus*, ale jeszcze w XVII wieku w obiegu są dwie postaci – *Wąwlel* i *Wawel*, przy czym ta druga odmienniana jest najpierw *Wawel*, *Wawla* albo *Wawel*, *Wawelu*. Dopiero od XVIII wieku utrwała się dzisiejsze deklinowanie *Wawel*, *Wawelu*, *Wawelowi*, *Wawelem*, *na Wawelu*.

Archaiczny przedrostek *wą-* mamy w wyrazie *wądół* – „miejsce położone w dole, w wąskim przesmyku, przejście, przechód”, *wądroga* „miejsce przy drodze”, a i w nazwach miejscowych typu *Wąbrzeźno* „osada usytuowana między brzożami”, *Wąchock* – z dawn. *Wąchocko* i *Wąchodsko* – nazwa jakiegoś przejścia, *Wądroże* od *wądrogi*, czyli „osada przy drodze”, *Wąwolnica*, *Wąwelnia*, *Wąwelnio* – nazwy o prymarnym znaczeniu tożsamym z *Wąwlelem* – późniejszym *Wawelem*.

A skoro mówiliśmy dziś o cząstce *-vel-* i o wyrazie *wetna* „fala”, dopowiedzmy dla porządku, że *wetna* – „sierść wielu zwierząt” i „surowiec włókienniczy otrzymany z tej sierści” – od prasłowiańskiej *vlny* – pochodzi, jak informuje *Słownik etymologiczny języka polskiego* prof. Wiesława Borysia z roku 2005, od praindoeuropejskiego rdzenia *uel-* o znaczeniu „rwać, wyrwać” z dodanym do niego przyrostkiem *-no*. Etymologicznie zatem znaczenie *wetny* to „to, co jest rwane, wyrwane” – w oczywisty sposób związane z dawną techniką pozyskiwania tego surowca przez wyrwanie czy wykubywanie (por. też *runo*).



MAREK PIECHOTA

Z nowych onomastikonów

BIELSKO-BIALSZCZANKI

Czasem pytanie zadasz śmiało
Zbyt, jak faul, ale poza boiskiem:
„Czym Bielsko byłoby bez Białej?” –
Obeliskiem?!

CIESZYNIANKI

1.

Mam niewinne pytanie:
„Czy wiedzą cieszyńianie,
Co w Cieszynie cieszy nianie,
Czy też nie?” – Bo ja nie...

2.

Mało co tak oko cieszy,
Jak w Cieszynie przybysz pieszy,
Nim pospiesz do pieleszy,
Do poddaszy swych, podstrzeszy,
Z flasz skorzysta albo z fleszy.
Cieszyn miłszy, dodam jeszcze,
Niż Szczebrzeszyn, Szczyrk i Brzeszcze.

Prze ku wieczności, dla obrazu
Tym są „lzy Chios”, czyli mastyks.

Słowo – materia niebezpieczna,
Jak nie potrafisz, zamiast ikon
Maluj dowcipny onomastikon –
Bez aureoli też uwiecznia...

BYTOMIANKI

1.

Wszyscy chcą być młodzi, piękni i bogaci...
By to miasto zrozumieć, trzeba wiele stracić.

2.

By tom mały wydać, nie trzeba talentu,
Wystarczy pióro w ręku obracać bez wstrętu.
To myśl retro... Dziś nową tu pointę dopiszę:
Wystarczy w dobrym rytmie naciskać klawisze.





MAREK PIECHOTA

MIĘDZYRZECZKI

Marzeń o Międzymorzu ty się lepiej wyrzec,
Osiądź raczej, gdzie Modlin albo gdzie Międzyrzecz.

TCZEWIANKI

Ileż na papier przetarto drzew,
By dać spis zalet, jakie ma Tczew!
Wśród tego stanu rzeczy przyczyn:
Tczewian oszczędność nie dotyczy.

TYSZANKI

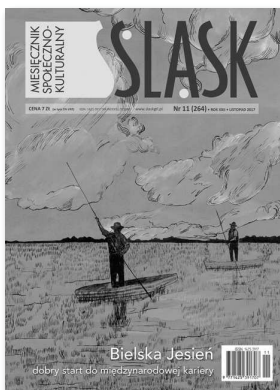
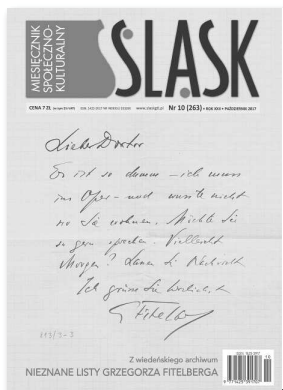
Tajniki gramatyki niżli cieląt wychów
Trudniejsze: „Do tych Tych się mówi, czy do Tychów?”.
Trzeba kogoś z tyszan spotkać
Albo spytać Jana Miodka.

ŁYK METAPOETYKI

Nieraz tłumaczyć trzeba gościom
Tło słowa (panie w lot to chwycą) –
Ono ma styk z rzeczywistością
Jak z pyłkiem pudru tych pań lico.

Imię – to pojma też od razu –
Ma moc tajemną, jaką ma Styks,





Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2018 rok! Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
 Prenumerata półroczna – 42 złote
 Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

G	O	R	N	Ś	L	Ą	S	K	I	E	T	O	W	A	R	Z	Y	S	T	W	Ł	L	I	T	E	R	A	C	K	I	E
U	L	J	U	L	I	U	S	Z	Ą	L	I	G	O	N	I	A	7	4	0	-	0	3	6	K	A	T	Ó	W	I	C	Ę
0	8	2	0	3	0	0	4	5	1	1	0	0	0	0	0	4	0	7	9	4	9	0									
nazwa odbiorcy											kwota																				
nazwa odbiorcy cd.											W P P L N																				
I.k. nr rachunku odbiorcy											nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)																				
nazwa zleceniodawcy											nazwa zleceniodawcy cd.																				
tytułem											PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA																				
tytułem cd.											" Ś L Ą S K "																				

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

G	O	R	N	Ś	L	Ą	S	K	I	E	T	O	W	A	R	Z	Y	S	T	W	Ł	L	I	T	E	R	A	C	K	I	E
U	L	J	U	L	I	U	S	Z	Ą	L	I	G	O	N	I	A	7	4	0	-	0	3	6	K	A	T	Ó	W	I	C	Ę
0	8	2	0	3	0	0	4	5	1	1	0	0	0	0	0	4	0	7	9	4	9	0									
nazwa odbiorcy											kwota																				
nazwa odbiorcy cd.											W P P L N																				
I.k. nr rachunku odbiorcy											nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)																				
nazwa zleceniodawcy											nazwa zleceniodawcy cd.																				
tytułem											PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA																				
tytułem cd.											" Ś L Ą S K "																				

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy

K S A L S

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

82

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Anna Gaitoer

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Ireneusz Wójcik

Nie odchodź ode mnie

KATOWICE. Kiedyś, w okresie międzywojennym tacy poeci jak Marian Hemar, Julian Tuwim, Andrzej Włast pisali znakomite teksty piosenek znanych i śpiewanych do dziś: „Tango andrusowskie”, „Nasza jest noc”, „Rebekę” czy „Na pierwszy znak”. Znakomita aktorka Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum, KRYSZYNA NOWIŃSKA przypomniała je słuchaczom zgromadzonym w Galerii Ateneum przy ul. 3 Maja 25. Melodie zapamiętane, teksty znane, wyborna interpretacja uczyniła listopadowy wieczór nostalgicznie miłym.

Linia i chaos – kompozycje przestrzenne świata

CIESZYN. Wystawa w ramach XXV Festiwalu Ars Cameralis 2017, współorganizowana przez Zamek Cieszyn i Wydział Artystyczny Uniwersytetu Śląskiego zaprezentowała prace klasyków i ich uczniów oraz następców: Władysława Strzemińskiego, Klaudiusza Jędrusika, Urszuli Broll, Zdzisława Stanka, Zygryda Dudzika, Zenona Moskwy, Andrzeja Szewczyka, Marka Chlandy, Jerzego Wrońskiego, Krystyny Pasterczyk, Piotra Lutyńskiego, Krzysztofa Morcinka, Marka Kusia, Sławomira Brzoska, Michała Smandeka, Joanny Rzepki-Dziedzic, Wojtka Kucharczyka, Łukasza Dziedzica. Widzowie mogli zapoznać się z twórczością nawiązującą do awangardowej Władysława Strzemińskiego teorii unizmu, przez dorobek grupy St-53, po twórczość pracowników ASP w Katowicach oraz współczesne multimedialne prezentacje dzieł młodych artystów.

W naszych sercach Polska

KATOWICE. Znakomite wydarzenie artystyczne pn. „W naszych sercach Polska”, którego organizatorami byli Wojewoda Śląski, Prezydent Miasta Katowice oraz NOSPR. Uroczystość patronatem honorowym objął i swą osobą wraz z towarzyszącą Mu małżonką zaszczylił – Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Wykonawcami tego patriotycznego koncertu byli: Zespół Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia, Stanisław Soyka, Józef Skrzek, Kapela góralska, Zabrzezańskie Stowarzyszenie Kulturalne Załogowa Górnicza Orkiestra Dęta „Makoszowy” (dyr. Henryk Mandrysz) i in.

Home Movie Day – Święto kina domowego

KATOWICE. Ideą świętowania jest zachowanie filmów z domowych zbiorów. Najważniejszym punktem programu była





projekcja amatorskich materiałów filmowych, udostępnionych przez mieszkańców Górnego Śląska i okolic. Pokazy były komentowane przez autorów lub bohaterów filmów. Gościem specjalnym tegorocznej edycji był Wojtek Kukuczka – syn Jerzego Kukuczki – który zaprezentował amatorskie filmy z archiwum rodzinnego.

Repremiera

KATOWICE. 27 listopada w Kinoteatrze Rialto spotkał się po upływie niemal połowy wieku: reżyser Kazimierz Kutz, operator Wiesław Zdort oraz wszyscy żyjący odtwórcy głównych ról w filmie *Sól ziemi czarnej*: Olgierd Łukaszewicz, Jerzy Łukaszewicz, Bernard Krawczyk oraz Andrzej Wilk. Za cyfrowe odrestaurowanie filmu odpowiedzialne jest Studio Filmowe Kadr. Widzowie skorzystali z oferty obejrzenia cyfrowo odnowionej wersji filmu, ze świetnie odrestaurowanym obrazem i dźwiękiem. Był to pierwszy publiczny pokaz tego filmu, po rekonstrukcji w Polsce.

„Śląsk czyta”

KATOWICE. Trzecia edycja Śląskich Targów Książki pozyczyć się może 34-tysięczną publicznością. 144 wystawców, 108 znakomitych autorów, książkowe premiery i bestsellery, spotkania literackie, warsztaty, dyskusje, wymiana książek i atrakcje dla dzieci to bilans Śląskich Targów Książki, które odbyły się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Gościem Honorowym Targów Książki były Węgry, więc nie zabrakło spotkań z węgierskimi twórcami i wokół węgierskiej kultury, literatury i sportu. Wśród wystawców obecnych w Katowicach byli m.in.: Arkady, Bellona, BOSZ, Dom Wydawniczy Rebis „Instytut Badań Literackich, Instytut Pamięci Narodowej, MUZA S.A.” Muzeum Śląskie w Katowicach, Muzeum Zamkowe w Pszczynie, NATIONAL GEOGRAPHIC, SW „Czytelnik”, „ŚLĄSK” Wydawnictwo Naukowe, Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo Nasza Księgarnia i in.

Dzień rosyjski

KATOWICE. 29 listopada w VIII Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Skłodowskiej-Curie w Katowicach już po raz 13 odbył się Dzień Kultury Rosyjskiej. W imprezie tej wzięli udział uczniowie ze szkół ponadgimnazjalnych z całego województwa. Tegoroczna edycja Dnia Rosyjskiego odbyła się pod tytułem „Prawosławie, cerkiew, ikony”. Tematyce tej poświęcony był wykład wygłoszony przez dr hab. Justynę Tymieniecką-Suchanek z Wydziału Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Śląskiego. Odbył się także konkurs na najlepszą prezentację multimedialną poświęconą przewodniemu tematowi imprezy. W rywalizacji zwyciężyła reprezentacja z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 3 w Rudzie Śląskiej. W części artystycznej wystąpiła uczennica z X Liceum Ogólnokształcącego im. Ignacego Paderewskiego Wiktoria Mrugacz.

– Nasze spotkania z kulturą rosyjską mają wieloletnią i bogatą tradycję – wyjaśnia Beata Bienek, nauczycielka języka rosyjskiego w VIII LO i przewodnicząca Klubu Rusycystów, a także inicjatorka imprezy. – W poprzednich edycjach uczniowie mogli zapoznać się z wybitnymi rosyjskimi pisarzami i poetami, kompozytorami i malarzami oraz ich twórczością. Imprezy te organizujemy corocznie przy współpracy z Uniwersytetem Śląskim.

XXXV PROSCENIUM (Nysa)

NYSA. Na scenie Nyskiego Domu Kultury zaprezentowało się jedenaście grup teatralnych podczas 35. Ogólnopolskiego Spotkania Teatrów Amatorskich „Proscenium 2017”. Jurorzy (Andrzej Skiba, Bartłomiej Miernik i Sławomir Kuligowski) przyznali pierwsze miejsce Teatrowi „Tetraedr” z Raciborza za spektakl *Gwoli jakiejś tajemnicy* na podstawie *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego* Witolda Gombrowicza w reżyserii Grażyny Tabor. W zwycięskim spektaklu wystąpili: Oliwia Urbanowska, Agnieszka Rajda, Paulina Szinzel, Kuba Tabor, Łukasz Czogalik, Radek Wróbel i Marcin Franaszek. Drugie miejsce zajął Teatr „Kto?” z Ozimka, a trzecie Teatr Szkolny „Fatamorgana” z Nysy. W kategorii aktorskiej pierwszą nagrodę otrzymała Agnieszka Rajda z Raciborza, drugą zespół aktorski Teatru „Kto?”, trzecią Katarzyna Peterek z „Fatamorgany”, a wyróżnienie Wojciech Pruchniewicz z Teatru „Zielona Latarnia” z Wrocławia. Jak powiedział przewodniczący Jury – aktor i reżyser Sławomir Kuligowski – „podczas tegorocznego przeglądu obejrzałem dużo ciekawych spektakli, ale jeden zrobił na mnie największe wrażenie. Właśnie spektakl Teatru „Tetraedr”, piękny, mądry spektakl o Polsce, o naszej historii, czasami gorzkiej, niełatwej. To młodzi ludzie, ale wystąpili w bardzo dojrzałym spektaklu. Oglądało się go naprawdę ze wzruszeniem, chociaż sztuka nie była łatwa, nie była do śmiechu”. Nyskie Proscenium od lat sprzyja prezentacji doboru grup teatralnych wywodzących się z amatorskiego ruchu artystycznego, a także tworzy przestrzeń do rozwijania talentów oraz integracji teatrów działających w szkołach i ośrodkach kultury w różnych regionach Polski.

World Press Photo (Opole)

OPOLE. W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu otwarto wystawę World Press Photo, prezentującą zdjęcia nagrodzone i wyróżnione w największym i najbardziej prestiżowym konkursie fotografii prasowej organizowanym przez Fundację World Press Photo w Amsterdamie. Wyłoniono je spośród ponad 80 tysięcy prac zgłoszonych przez fotoreporterów niemal z całego świata w ośmiu kategoriach. Za zdjęcie roku uznano pracę tureckiego fotoreportera Burhana Ozbilici, który sfotografował drastyczną scenę zamachu na rosyjskiego ambasadora Andrieja Karłowa, dokonaną w galerii w Ankarze 19 grudnia 2016 roku. Jak podkreśliła podczas otwarcia wystawy – Yi Wen Hsia z Fundacji World Press Photo, wybór zwycięzcy wcale nie był oczywisty: – „Jury gorąco debatowało. Część jego przedstawicieli uznała, że to zdjęcie nie powinno być wyróżnione w konkursie. Na początku jurorzy mieli półtorej sekundy na wstępne dokonanie wyboru. Jeśli zdjęcia przeszły tamten etap selekcji, w następnym był czas na to, aby jury ze sobą porozmawiało i uzasadniło swoje wybory. Ostatecznie zdjęcia wybierane są większością głosów, a zdjęcie Burhana Ozbilici wygrało niewielką ilością głosów”. Opole jak co roku już po raz siedemnasty tłumnie odwiedzali prezentację World Press Photo w Galerii Sztuki Współczesnej. Zwiedzający podkreślali, że to bardzo wartościowa wystawa, składająca się do wielu głębokich refleksji, fascynujących ale niejednokrotnie również smutnych, dotyczących współczesnego świata utrwalonego w obiektywach fotoreporterów. Prezentację tegorocznej wystawy World Press Photo zaplanowano w 45 krajach. Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu jest jednym z nielicznych miejsc w Polsce gdzie od wielu lat można ją obejrzeć.

Satyra z „Karpikiem” (Niemodlin)

NIEMODLIN. Nagrodę Grand Prix XV Międzynarodowego Konkursu Rysunku Satyrycznego „Karpik” w Nie-





modlinie otrzymał Paweł Kuczyński, a nagrody główne przyznano Sławomirowi Łuczyńskiemu, Magdalenie Wosik i Maciejowi Trzepałce. Jury w składzie: Bartłomiej Belniak – przewodniczący, Michał Graczyk, Jarosław Stojko, Małgorzata Biedroń, Agnieszka Kucharuk, oceniło ponad 200 prac zgłoszonych do konkursu z 30 krajów, często tak odległych jak Japonia, czy też tak egzotycznych jak Tajlandia. Organizatorzy „Karpika” z Ośrodka Kultury w Niemodlinie, postanowili, że motywem przewodnim oraz inspiracją dla rysowników z całego świata będą ryby (szczególnie karpie), wędkarze i rybacy, a połowy będą tłem do ukazywania w krzywym zwierciadle różnych tradycji, cech i przywar narodowych związanych z krajem pochodzenia rysowników. Konkurs od lat ma międzynarodowy charakter – wpływają nań prace niemal ze wszystkich stron świata, a jego nazwa własna nawiązuje do licznych stawów hodowlanych i gospodarki rybackiej, z których od XVI wieku słynie Niemodlin i jego okolice. Od pierwszej edycji w 2003 „Karpik” przyciąga coraz szersze grono wybitnych artystów – autorów rysunku satyrycznego z kraju i zagranicy. Oprócz wspomnianych nagród głównych przyznano również wiele nagród specjalnych. Nagrodę Dyrektora Muzeum Karykatury im. E. Lipińskiego w Warszawie otrzymał Sławomir Lizoń, nagrodę Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury – Bretislav Kovarik (Czechy), nagrodę Starosty Opolskiego – Wiesław Zięba, nagrodę posła na Sejm RP Tomasza Kostusia – Konstantin Kazanchev (Ukraina), nagrodę WOPR w Nysie – Dariusz Pietrzak, nagrody Krajowego Ośrodka Wspierania Rolnictwa w Opolu – Daniel Strzelczyk, Jiří Srna (Czechy), Wiesław Wojciechowski, nagrodę radnego Powiatu Opolskiego J. Krzesińskiego – Tomasz Rzeszutek, nagrodę Zamku Moszna – Artur Ligenza. Wyróżnienia uzyskali: Guibao Gai (Chiny), Sittipunt Tumying (Tajlandia), Bobo Pernecky (Słowacja), Musa Gumus (Turcja) i Ali Shadali (Stany Zjednoczone). „Karpik” uznawany jest za jedno z najważniejszych krajowych wydarzeń satyrycznych, które uzyskało rekomendacje Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury i światowych portali satyrycznych.

Rzeczy ludzkie

CZĘSTOCHOWA. 17 listopada w OPK Gaude Mater odbył się wernisaz malarstwa częstochowianki Antoniny Janus-Szybist, absolwentki krakowskiej ASP. W 2014 roku obroniła znakomity dyplom u profesora Zbigniewa Sprychy, co z uznaniem podkreśla profesor. Obecnie jest doktorantką i studentką Wydziału Grafiki tamtejszej uczelni.

Artystka prezentowała swoje prace w Częstochowie dwa lata temu, na wystawach indywidualnych w Wejściówce i w Antresoli w Miejskiej Galerii Sztuki oraz na wystawie zbiorowej upamiętniającej Halinę Poświatowską. Dwa lata, które minęły, okazały się ważne dla rozwoju jej warsztatu. W nowych pracach obserwujemy odchodzenie od malarstwa realistycznego ku liryczności i poetyckości. Antonina Janus-Szybist coraz chętniej sięga po metaforę, odsyłając do ważnych mitów i symboli społecznych. Na obrazach pojawiają się już nie tylko ludzie, ale także ich rzeczy, czasami z pozoru zupełnie nieważne. Coraz ważniejsze stają się także: gra kontrastowym kolorem, utrwalanie faktury i struktury materii. Pojawia się również deformacja świata. Obrazy zostały pozbawione tytułów, inaczej niż w katalogu, co zachęca widza do budowania własnych skojarzeń. To otwarcie na odbiorcę.

Podczas wernisazu wystąpił kwartet smyczkowy Dolce String Quartet.

Dziesięciolecie monodramów w Częstochowie

CZĘSTOCHOWA. Z okazji jubileuszu festiwalu „42–200 Monodram” organizatorzy nieco odmienili formułę. Inaczej niż zwykle skumulowano przedstawienia w ostatni weekend listopada. Wybrano cztery monodramy, zwycięzców kolejnych spotkań, by wspominać, pokazać to, co było ważne, wartościowe i ciekawe. Była to doskonała forma podsumowania i zbudowania teatralnego świata.

Prezentacje podzielono według płci aktorów, ale także pomysłu na budowanie przedstawienia. Sobota była dniem występu pań, niedziela – panów. Niedzielne monodramy powstały na podstawie prozy, sobotnie budowały postać w oparciu o wiele źródeł i tekstów. Wystąpili kolejno: Jagoda Rall w *Kalinie*, Agnieszka Baranowska w *Orlandzie*, Adam Łoniewski w *Ptaki spadają* oraz Michał Kasprzak w *Ja Ediczka*.

Zaproponowane przez organizatorów spektakle były niezwykle różnorodne, a przy tym zawierały elementy częstochowskie – pamięć o Kalinie Jędrusik miasto pielęgnuje od kilku już lat, a Łoniewski przez kilka lat związany był z naszym teatrem.

Być Poetą

CZĘSTOCHOWA. 38 Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. H. Poświatowskiej w Częstochowie odbył się w tym roku 17–18 listopada. Najważniejsze były spotkania z jurorami, warsztaty i oczywiście gala finałowa w Teatrze im. Adama Mickiewicza. Wydarzenie uzupełniła wystawa Grupy Artystycznej Werniks, działającej przy Uniwersytecie III Wieku, oraz koncert zespołu Marcina Świetlickiego.

W jury zasiadli: Elżbieta Wojnarowska, Janusz Drzewucki oraz Piotr Majerski. Po zapoznaniu się z około 200 zestawami, spełniającymi wymogi regulaminowe, wyłonili zwycięzców w poszczególnych grupach. Podkreślali przy tym niezwykłą dojrzałość młodych osób. W kategorii debiut nagrody otrzymali: Anita Katarzyna Wiśniewska z Warszawy, Paulina Pidzik z Krakowa, Mikołaj Konkiewicz ze Strzelna. Wyróżniono także Wojciecha Majkowskiego z Bydgoszczy, Urszulę Mauer z Bierunia oraz Olę Kędzię z Konopisk.

W kategorii po debiucie zwyciężyli: Urszula Kopeć-Zaborniak z Cieszanowa, Marcin Królikowski z Warszawy, Barbara Zakrzewska z Ostrołęki. Wyróżnienia otrzymali: Dominik Żybartowicz z Manowa, Piotr Mosoń z Głogowa i Michał Mayer z Warszawy.

Młodzi filmowcy o Częstochowie

CZĘSTOCHOWA. 10–11 listopada w OKF Iluzja wyświetlono filmy zgłoszone na XVII konkurs dla amatorów „Częstochowa w kadrze”. Zgłoszono 14 prac, ocenianych przez Przemysława Wojcieszka, Agnieszkę Lipińską, Janusza Mielczarka oraz Tadeusza Piersiaka. Nagrodzone filmy pokazano raz jeszcze 13 listopada.

Pierwsze miejsce otrzymał obraz *Ludzie* Piotra Cieślaka, drugie – *Imitacja* Marii Magdaleny Jeziorowskiej, trzecie – *Śladem czarnego kota* Patryka Karguli. Wyróżniono także Alicję Ziental oraz Oskara Hutnego.

Konkurs istnieje z przerwami od 1997 roku. Uczestnicy mogą wypowiedzieć się w dowolnej formie, od fabuły przez reportaże do reklamy i pastiszu na temat miasta i życia mieszkańców. Jedynym ograniczeniem jest czas. Prezentacje nie mogą być dłuższe niż 10 minut. Zgłoszone w tym roku filmy to dokumenty (pokazujące miejsca, ludzi i zwierzęta), swego rodzaju portrety psychologiczne oraz filmy promujące wydarzenia muzyczne. Wśród zastosowanych technik pojawiła się także animacja.





Fot. Kubiszówka



Art Dance „Śniąc siebie”
III Nagroda XI Ogólnopolskich Konfrontacji Tańca Współczesnego
„KONTRASTY” w Mielcu 2017

Dwaj profesorowie w MGS-ie

CZĘSTOCHOWA. Do 12 listopada w salach MGS-u można było obejrzeć dwie ciekawe wystawy, prezentujące prace Jarosława Modzelewskiego oraz Waldemara J. Marszałka. Sądziostwo to wpływało także na przestrzeń spotkania, ujawniając ich odmienności.

Wystawa prac Marszałka w Sali Śląskiej *Byle bez opadów* zwracała uwagę na relacje międzyludzkie, ale jednocześnie wprowadzała w nieco inny świat – oniryczny i nieprzewidywalny, nasycony zielonością. Nieco staromodnie ubranym mężczyznom towarzyszyły niezwykle wiotkie kobiety. Postacie zdawały się balansować nad ziemią, czasami wśród owijających je wstążek. Prace nawiązywały do obrazów Marca Chagalla, René Magritte’a, ale także do powieści Milana Kundery (choćby tytułem *Znośna lekkość bytu*). Tytułowe pytania nie rozstrzygały, raczej niepokoiły i zachęcały do namysłu. Kuratorem wystawy była Anna Paleczek-Szumlas.

Natomiast sale Poplenerowa i Gobelinowa prezentowały malarstwo Modzelewskiego, ucznia Stefana Gierowskiego. Obrazy pokazane na wystawie *Gdzie ja jestem?* poświadczały deklarowaną przez artystę obserwację rzeczywistości. Artysta skupia się na motywie głównym, niemal eliminując szczegóły z dalszych planów. Chce w ten sposób ujawnić metaforyczne i symboliczne warstwy świata, często także za sprawą tytułu. Interesuje go również technika – kolor, tło...

Historie z tej ziemi

BIELSKO-BIAŁA. 21 listopada 2017 r. w Domu Kultury im. Wiktorii Kubisz po raz pierwszy zaprezentowano Kalendarz Beskidzki na rok 2018. Wydawcą rocznika jest Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia, którym kieruje Grażyna Staniszewska. Redakcja Kalendarza Beskidzkiego od początku wznowienia wydawnictwa w 2011 roku stara się, żeby pełniło ono rolę kulturotwórczą. Redaktorzy poprosili znanych literatów i twórców kultury z Bielska-Białej i okolicy (Joanna Fligiel, Ewa Janoszek, Lech Kotwicz, Artur Pałyga, Mieczysław Słonina, Juliusz Wątroba, Aleksy Wróbel, Katarzyna Żaczek), aby zaprezentowali na łamach swoje teksty związane z historią czy współczesnością ziemi beskidzkiej – opowiadania, prozę poetycką, reportaże, wspomnienia itp. Okazało się, że wielu autorów

nosiło się już od dawna z tego typu literaturą. Plon literackich wspomnień ułożył się w niezwykle misterna, a miejscami „drapieżną” wobec rzeczywistości mozaikę tekstów. Powstała miniaturowa epopeja losów mieszkańców Beskidów od czasów stalinizmu po epokę „państwa teoretycznego”, „dzikiego kapitalizmu” i emigracyjnego boomu. Atutem bieżącej edycji, która zawiera ok. 40 tekstów literackich i reporterskich są m.in. artykuły o wybitnych kobietach beskidzkich, zwłaszcza artystkach malujących, piszących i śpiewających, jak Barbara Bielaczyc, Tamara Kalinowska, Olga Łasak czy Joanna Jatkowska, która w „Kubiszówce” wystąpiła z recitalem.

Sukcesy śląskich zespołów

BIELSKO-BIAŁA. Duży sukces podczas XI Ogólnopolskich Konfrontacji Tańca Współczesnego „Kontrasty” w Mielcu, które odbyły się od 18 do 19 listopada, osiągnęły zespoły z województwa śląskiego. W imprezie wzięły udział najlepsze, specjalnie zaproszone, polskie grupy tańca współczesnego oraz soliści i duety. I miejsce w kategorii zespołów – za choreografię pt. „W drodze” – zajął Zespół Taneczny „Mak I” z Młodzieżowego Domu Kultury w Zabrze, który prowadzi Małgorzata Makowska. Na III miejscu jurorzy sklasyfikowali „Art. Dance” Elżbiety Barwickiej, reprezentujący MDK w Bielsku-Białej – za choreografię „Śniąc siebie” (na zdjęciu).

Krok nagrodzony

BIELSKO-BIAŁA. Grand Prix XLIII Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2017 otrzymał Sebastian Krok z Warszawy (za zestaw prac „Amor”, „Mutter”, „Welcome”), drugie miejsce przyznano Karolinie Jabłońskiej z Krakowa („Plucie”, „Jedząca błoto”, „Grób”), a trzecie Aleksandrze Bujnowskiej z Warszawy (za trzy obrazy bez tytułu). Wyróżnienia regulaminowe zdobyli: Joanna Kaucz z Wrocławia, Katarzyna Kukuła z Sosnowca, Marek Rachwałik z Kłomnic, Jolanta Stachyra z Ostródy i Radek Szlęzak z Krakowa.

W SKRÓCIE

■ Dziesięcioletnia Kasia Langer z Kadłuba została Młodzieżową Ślązacczką Roku 2017 podczas XXVII Konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku” Radia Katowice, zdecydowali o tym jurorzy: prof. Jan Miodek, ks prof. Jerzy Szymik i dr Jan Olbrycht.

■ Prywatna galeria „Panaceum” doktor Agnieszki Kani, w której wystawiała swoje prace czołówka opolskich artystów plastyków świętowała dziesięciolecie podczas wernisazu trzynastu artystów prezentujących rzeźbę i malarstwo.

■ Na scenie Domu Kultury w Strzelcach Opolskich odbyły się 47. Strzeleckie Spotkania Amatorskich Teatrów Lalek, pierwsze miejsce zajął Teatr Animacji Lalki i Aktora „eF” (Bielsko-Biała), drugie Grupa Teatralna „Lalkarze ze Spytkowic” (Spytkowice k/Nowego Targu), a trzecie równorzędne – Szkolny Teatrzyk „Gałganek” Luboszyce k/Opola i Teatr „Jak w ulu” z Zabrze.

■ Zespół Elenor Grey z Poznania zdobył pierwsze miejsce podczas Międzynarodowych Konfrontacji Muzycznych „Muzyczna Jesień 2018” w Grodkowie, które są jedną z najstarszych imprez w kraju dla młodych talentów, kontynuowaną cyklicznie od 1970 roku, na której rozpoczynali kariery m.in. Lady Pank, Kamil Bednarek, czy TSA, a w jury zasiadali Marek Grechuta i Czesław Niemen.



ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

CHIRURDZY rekonstrukcyjni z Instytutu Onkologii w Gliwicach znów pokazali, że są najlepsi na świecie. Początkiem listopada przedstawili swojego wyjątkowego pacjenta – 64-letniego Krzysztofa, u którego dokonali przeszczepu krtani, gardła, przelyku, tarczycy, przytarczyc, kości gnykowej, fragmentu mięśni, powłoki skórnej. Przeprowadzili mikrozespolenie 4 tętnic, 4 żył i 4 nerwów. To pierwsza tak rozległa transplantacja narządów, porównywalna może tylko z tym, co lekarze z Gliwic zrobili dwa i pół roku temu, gdy przeszczepili krtani Michałowi. Pacjentowi życzymy zdrowia, a gliwickim lekarzom kolejnych sukcesów!

PRZEDSTAWICIELE Izby Gospodarczej Sprzedawców Polskie-

go Węgla wystosowali list otwarty do wszystkich sejmików wojewódzkich w sprawie przygotowywanych bądź już podjętych uchwał antymogowych. Apelują, aby samorządy opracowały również programy wspierające zakup dobrej jakości opalu. Niedawno Katowice poinformowały, że w tym sezonie wzmrosnie dopłata dla najuboższych mieszkańców na zakup węgla – z 450 do 900 zł. Wzmózione zostaną także kontrole, by sprawdzić, czy dopłata została wydana na odpowiedniej jakości węgla.

ZMARŁ profesor Walery Pisarek, wybitny polski językoznawca, socjolingwista, prasoznawca i honorowy prezes Rady Języka Polskiego. Miał 86 lat. Zasłabł w garderobie tuż przed rozpoczęciem 5 listopada gali „Ambasador Polszczyzny 2017” w Katowicach. Prof. Walery Pisarek miał wygłosić laudację na cześć Jacka Bocheńskiego, który otrzymał główną nagrodę „Wielkiego Ambasadora Polszczyzny”.

JERZY Gottfried, budowniczy Śląska i Katowic, wybitny architekt i niezwykle skromny człowiek, spoczął w sobotę 4 listopada na cmentarzu w Świętochłowicach. Pożegnała go rodzina, przyjaciele, znajomi oraz liczne grono śląskich architektów. Jerzy Gottfried zmarł 23 października. W grudniu skończyłby 95 lat. Urodził się we Lwowie, ale dzieciństwo, młodość i większość dorosłego życia spędził na Śląsku. Był żołnierzem Armii Krajowej, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po powrocie na Śląsk pracował w Miastoprojekcie.

NAGRODY im. Karola Miarki dla ludzi kultury i nauki przyznali po raz trzydziesty czwarty marszałkowie województw śląskiego i opolskiego. Uroczystość wręczenia odbyła się 6 listopada w Bibliotece Śląskiej. Laureaci opolscy to: dr hab. prof. Uniwersytetu Opolskiego Urszula Langowska-Szczeńiak – ekonomistka, Tadeusz Chrobak – dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu, Jacek Wawrzynek – adwokat (nagroda dla Fundacji im. Jana i Wojciecha Wawrzyńków). Laureatami

Nagrody im. Miarki z województwa śląskiego w tym roku zostali: ks. bp Marian Niemiec – biskup diecezji katowickiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, Andrzej Niedoba – publicysta i dramaturg, Mirosław Zwoliński – krajoznawca i regionalista. Gratulujemy z serca!

WIZYTA prezydenta RP Andrzeja Dudy w Katowicach była głównym wydarzeniem obchodów 99. rocznicy odzyskania niepodległości w woj. śląskim. Prezydent objął honorowym patronatem koncert w NOSPR „W naszych sercach Polska”, który uznał za inaugurację roku obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości.

WSPOMNIENIA dawnego Śląska wywołały i wzruszenia, i śmiech na sali Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, gdzie w niedzielę 19 listopada odbyła się finałowa gala 27. konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”. Ślężaczką Roku została 46-letnia Teresa Urbańczyk z Jankowic. Z zawodu jest krawcową. Opowiadała pięknie i plastycznie o babcinym domu, w którym się wychowywała, o tej „kolebce swojej śląskości”.

ZAPOWIADANO, że autostrada A1, po latach zawirowań, kolejnych terminów (jeden z nich przypadał na Euro 2012), w 2019 roku w końcu będzie gotowa. Dla naszego regionu szczególnie ważny jest odcinek z Pyrzowic do Częstochowy. W kwietniu 2019 roku ma być w pełni przejezdny. Takie są plany Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, ale – jak straszą nas gazety – chyba i ten termin może zostać nie dotrzymany, przez to prace przy jej realizacji zwolniły, bo niektóre z firm opuściły plac budowy...

MIKOŁÓW żyje tragedią, jaka wydarzyła się w tym mieście w poniedziałek, 20 listopada, ok. godziny 18.20, niedaleko skrzyżowania z ul. Podleską, tuż przy osiedlu Kochanowskiego. Doszło tam do potrącenia trzech osób na pasach. 31-letni kierowca audi, mieszkaniec Tychów, potrącił trzy osoby, dwie nastolatki w wieku 13 i 14 lat oraz 20-letniego mężczyznę. 13-latką zmarła na miejscu, a 14-letnia dziewczynka w karetce podczas reanimacji. Mężczyzna doznał z kolei urazu nogi i głowy. Mieszkańcy Mikołowa nie mogą otrząsnąć się po tej tragedii. 14-letnia Lena i 13-letnia Wiktorija były przyjaciółkami z pobliskiej szkoły...

JEDNA taryfa komunikacji miejskiej zamiast trzech, do tego darmowe bilety dla uczniów szkół podstawowych – to będą pierwsze realne zdobycze metropolii w 2018 roku. Zgromadzenie związku metropolitalnego dało zielone światło dla wprowadzenia tych rozwiązań w życie, łącznie z nowymi cenami biletów, które od 1 stycznia będą obowiązywać na obszarze 41 miast. Zobaczymy w praktyce.

OFICJALNE dokumenty potwierdzające uznanie katowickiej katedry za Pomnik Historii odebrali w czwartek 23 listopada w Pałacu Prezydenckim w Warszawie metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworec oraz wojewoda śląski Jarosław Wieszorek. Uznanie jej za Pomnik Historii wiąże się z tym, że pojawi się ona w różnego rodzaju przewodnikach. Zespół katedralny stanowi rozszerzenie istniejącego od 2012 r. Pomnika Historii „Gmach Województwa i Sejmu Śląskiego” w Katowicach, który od tej pory nosi nazwę „Katowice – Gmach Województwa i Sejmu Śląskiego oraz zespół katedralny”.

ZABRZAŃSKIE Muzeum Górnictwa Węglowego chce pomóc w złożeniu wniosku, któ-

ry niektórych może zaskoczyć. Chodzi o to, aby na krajową listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO dopisać górniczą Barbórkę, bo – jak w muzeum podkreślają – to tradycja wciąż żywa, ale już nie tak powszechnie kulturowana. Zanika wraz z zamykanymi kopalniami. Dlatego właśnie trzeba ją chronić. Słusznie.

TRWA nabór na Podyplomowe Studia z Wiedzy o Regionie, które Uniwersytet Śląski adresuje głównie do nauczycieli, ale też do animatorów kultury. Mają ruszyć w styczniu 2018 roku. To kolejna oferta edukacyjna skierowana do regionalistów. Poprzednie się nie powiodły, bo nie było chętnych. Nowością jest teraz to, że studia mają być współfinansowane przez marszałka śląskiego oraz przez gminy. Roczna edukacja kosztuje aż 4 tys. zł. Niestety, samorządy z Zagłębia, Śląska Cieszyńskiego, Częstochowy nie wykazują zainteresowania dopłacaniem do tej formy edukacji.

AKCJA „Bielsko-Biała dla Toma Hanksa”, zainicjowana rok temu przez Monikę Jaskólską, dobiegła końca, a orestaurowany mały fiat na pokładzie boeinga 787 Polskich Linii Lotniczych LOT wyleciał w blisko trzynastogodzinną podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie odebrał go szczęśliwy i wzruszony aktor Tom Hanks.

POKAZ zrekonstruowanego cyfrowo filmu Kazimierza Kutza „Sól ziemi czarnej” odbył się 27 listopada w kinoteatrze Rialto w Katowicach. Natomiast w przyszłym roku odświeżona zostanie „Perła w koronie”. Rekonstrukcja cyfrowa obu dzieł kosztuje ok. pół miliona złotych, sfinansowali to przedsiębiorcy i m.in. Ministerstwo Kultury i Śląski Urząd Marszałkowski.

KOPALNIE są zmuszone do zatrudniania Ukraińców. Brakuje po prostu rąk do pracy. Niewiele ponad 95 tysięcy bezrobotnych w woj. śląskim i stopa bezrobocia 5,2 to rekord rekordów (średnia krajowa to 6,6). Ta sytuacja to m.in. powód obniżenia wieku emerytalnego. Śląskie kopalnie zaczynają szukać górników wśród Ukraińców, którzy od lat „zabezpieczają” polski rynek pracy. Wojewódzki Urząd Pracy sygnalizuje też brak specjalistów: elektryków, kierowców, pracowników IT, czy nawet spawaczy.

ZGODNIE z rządowym rozporządzeniem, siedziba metropolii ma się mieścić w Katowicach. Siemianowice Śląskie jednak mają swoją propozycję. To pałac Donnersmarcków, cenny zabytek. Kilka miast z naszego regionu walczy o siedzibę Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii. To m.in. Chorzów, Ruda Śląska oraz Siemianowice Śląskie. Niewątpliwie miejsc na godną rezydencję władz metropolii jest więcej, ale chyba chodzi o efektywność, a nie zaszczyty, szanowni władarze? Na razie siedziba GZM znajduje się w biurcu, w którym urzęduje KZK GOP. To chyba wystarczy, wszak podstawowym wyzwaniem metropolii jest lokalny transport publiczny.

PROKURATOR okręgowy w Katowicach wszczął pod koniec listopada śledztwo w sprawie zgromadzenia narodowców, którzy na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach powiesili na symbolicznych szubienicach zdjęcia europosłów głoszących za przyjęciem rezolucji Parlamentu Europejskiego, obligującej rząd Polski do stosowania praworządności. Śledztwo wszczęto z powodu „stosowania gróźb bezprawnych” wobec europosłów.

KRONIKARZ



Fot. Wojciech Mateusiak

Laureaci X MKD (od lewej): Su-Han Yang, Bar Avni i Modestast Barkauskas



Bar Avni – zjawiskowa, liryczna, niedookreślona do końca zmieniała utwór, w którym zaprezentuje się katowickim melomanom. Ostatecznie wybór padł na „Bajkę” Moniuszki.



Podczas galowego koncertu Su-Han Yang poprowadził IV Symfonię e-moll op. 98 Johanna Brahmsa. Zachwylił precyzją i wielką muzykalnością.

Fot. Wojciech Mateusiak



Modestast Barkauskas dynamicznie poprowadził pełną energii „Moc przeznaczenia” Verdiego.

Fot. Wojciech Mateusiak



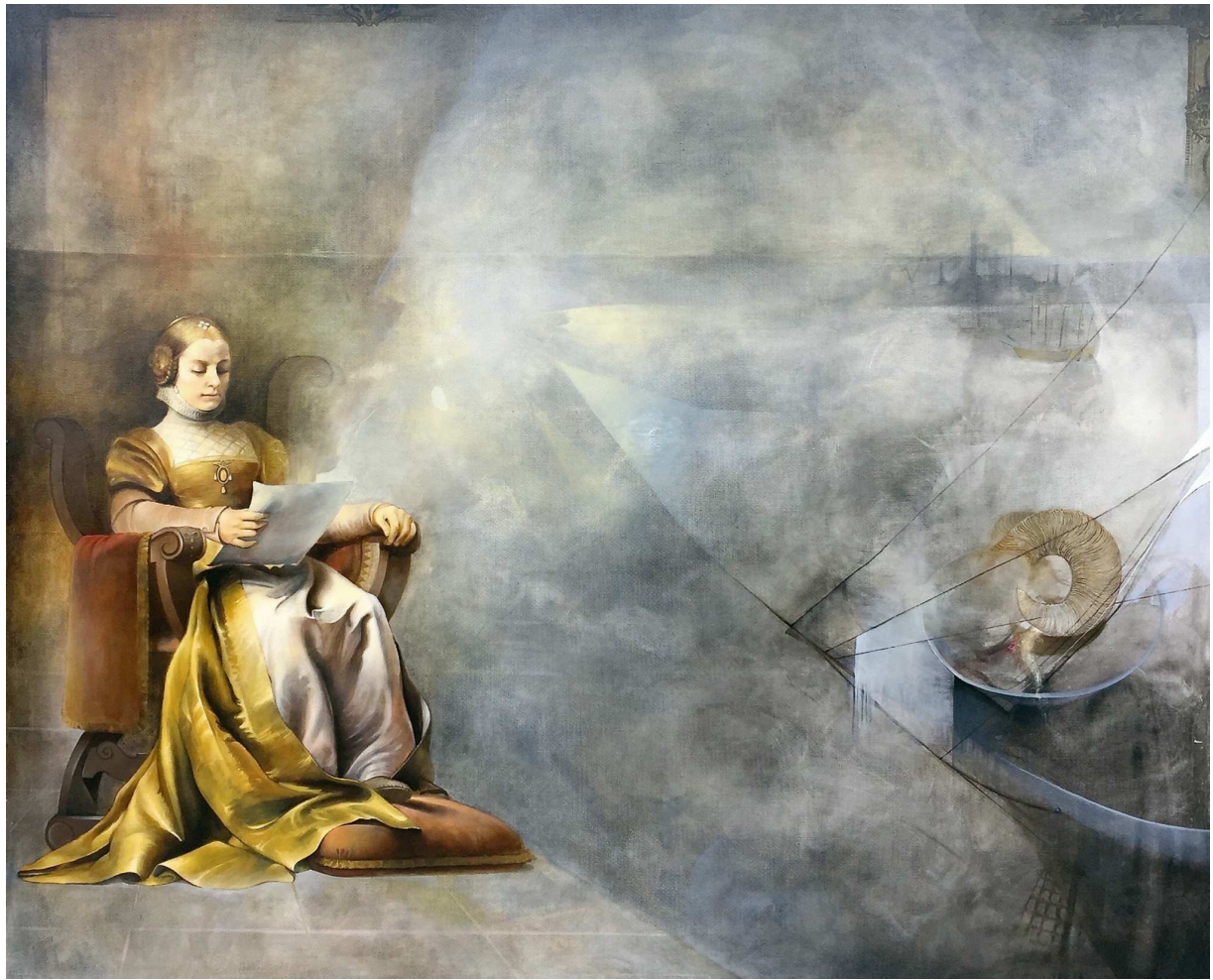
„Życzylbym wszystkim mieć takiego dyrektora” – tak podsumował pracę dyrektora Agnieszki Młynarczyk prof. Mirosław Jacek Błaszczak dyrektor Filharmonii Śląskiej.



Boon Hug Lien prezentuje grafikę – nagrodę specjalną młodego jury X MKD.

Fot. BP/Tomasz Żak







Światy poetyckie
Stanisława
Krawczyka



„Śląsk”

Światy poetyckie
Tadeusza
Kijonki



Pod redakcją
Mariana Kisiela i Tadeusza Siernego

„Śląsk”

Światy poetyckie
Andrzeja
Szuby



Pod redakcją
Mariana Kisiela i Pawła Majerskiego

„Śląsk”

Światy poetyckie
Wilhelma
Szewczyka



Pod redakcją
Mariana Kisiela i Katarzyny Niesporek

„Śląsk”

Światy poetyckie
Tadeusza
Sławka



Pod redakcją
Ewy Bartos i Mariana Kisiela

„Śląsk”

Światy poetyckie
Feliksa
Netza



Pod redakcją
Joanny Kisiel i Mariana Kisiela

„Śląsk”

Projekt graficzny serii: Marek Piwko (mjp)



Fot. ze zbiorów firmy Beiersdorf AG



Produkty z wczesnego okresu działalności firmy Beiersdorf wśród nich pasta do zębów „Florisal”.

Zdjęcia: Tomasz Bieniek



Największe w Polsce wystawy poświęcone kremowi NIVEA odbyły się na Śląsku. Redaktor Wojciech Mszycza, pasjonat i zbieracz zaprezentował na nich unikatowe przedmioty z swej kolekcji. W 2011 Biblioteka Śląska w Katowicach prezentowała wystawę „Śnieżnobiały stulecie – 100 lat kremu NIVEA”. W 2015 roku również w Bibliotece Śląskiej miała miejsce wystawa „Polskie specyfiki i wytwory Beiersdorfa, czyli 90 lat katowicko-poznańskiej NIVEI i niebiesko-białego dizajnu”. Ostatnia, tegoroczna wystawa, miała miejsce w gliwickim Domu Pamięci Żydów Górnośląskich, był to efekt wspólnych działań Muzeum w Gliwicach i Wojciecha Mszyczy.



Na rogu ulicy 3 Maja i pl. Wolności aptekę miał kuzyn Oskara Tropolwita Ernest Tropolwitz i sprzedawał na pewno pastę PEBECO, nowy, nikomu jeszcze nieznaną produkt – krem NIVEA oraz inne produkty firmy Beiersdorf. Tak to miejsce wygląda dzisiaj.

POLSKIE „SPECYFIKI” I „WYTWORY” BEIERSDORFA
 Ekspozycja przygotowana przez red. Wojciecha Mszyczę z okazji 90-lecia pierwszej polskiej wytwórni Nivei, czyli katowickiego PEBECO oraz 90-lecia niebiesko-białego dizajnu najstarszego kremu świata.

Wernisaż wystawy
29 kwietnia 2015 r.
godz. 17.00

Biblioteka Śląska
 Galeria Hala Głównego
 plac Rady Europejskiej 1
 40-021 Katowice

„Nivea jest dobra na wszystko”
 – powtarzała za ciotką Hejllą straganikarka Świętkowa z Janoschowego
 Cholonia czyli Dobrego Pana Boga z gliny.
 Nivea to pierwszy na świecie trwały krem kosmetyczny,
 produkowany na skalę przemysłową
 – ikona rynku, marek i dizajnu.



Otwarcie wystawy „Polonijni artyści i społecznicy z USA” w Muzeum Uniwersyteckim, od lewej: Wanda Matwiejczuk – kierownik Muzeum Uniwersyteckiego, Ryszard Druch, Grzegorz Gustaw, poeta Harry Duda, Katarzyna Mazur-Kulesza



Od lewej: Rektor UO prof. Marek Masnyk otwiera spotkanie z artystami w Muzeum Uniwersyteckim, Ryszard Druch, Lidia Rzechorzek, Grzegorz Gustaw



Collegium Maius UO – pod tablicą pamięci Cypriana Kamila Norwida: od lewej A. Szczepaniak, H. Duda, J. I. Wójcik, W. Matwiejczuk, R. Druch, G. Gustaw (autor tablicy), rodzice R. Drucha, Henryk Zamojski

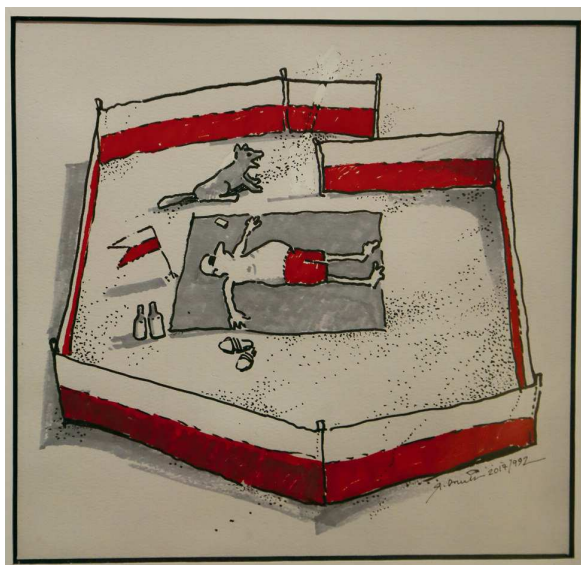


Plakaty autorstwa Ryszarda Drucha dokumentujące działalność kulturalną i artystyczną Druch Studio Gallery



POLONUSI W MUZEUM UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

Ryszard Druch i Grzegorz Gustaw polscy artyści zza oceanu zaprezentowali swoje prace na wystawie „Polonijni artyści i społecznicy z USA” w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego. Otwierając wernisaż rektor UO prof. Marek Masnyk powiedział – „traktuję to spotkanie trochę jak powrót do przeszłości, bowiem kiedy pan Ryszard Druch kończył historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, ja zaczynałem w tej uczelni swoje studia historyczne”. Przypomniał również, że dzięki artystom w Collegium Maius umieszczono pierwowzór tablicy poświęconej Cyprianowi Kamilowi Norwidowi; autorstwa Grzegorza Gustawa, która zdobi budynek Polskiego Instytutu Naukowego na Manhattanie w Nowym Jorku. Na wystawie zaprezentowano malarstwo, rzeźbę, karykatury oraz dokumenty związane z życiem kulturalnym Polonii amerykańskiej. Ryszard Druch (ur. w 1952 r.) absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych oraz WSP w Opolu (historia). Zadebiutował jako rysownik na łamach czasopism „Opole” i „Motywy” w 1978 roku. Członek Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury w Warszawie. W swoim dorobku ma ponad dwadzieścia indywidualnych wystaw karykatury, ilustracji i malarstwa w Polsce, na Węgrzech i w USA, gdzie mieszka, tworzy i zajmuje się promocją polskiej kultury i sztuki m.in. organizując cyklicznie „Salony Artystyczne”, które od roku 2003 odbywają się w Druch Studio Gallery w Trenton (New Jersey), a niektóre w Opolu i na Opolszczyźnie. Grzegorz Gustaw, absolwent Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie (specjalizacja – rzeźba monumentalna, 1997 r.). Od 2001 roku mieszka i tworzy w Filadelfii, gdzie zajmuje się rzeźbą figuralną, a także z racji pasji sportowych (uprawia kulturystykę) podejmował w rzeźbie temat sportowców. Projektował i wykonywał wiele razy statuetki stanowiące nagrody w zawodach kulturystycznych w Polsce, Niemczech, USA, m.in. na zlecenie Arnolda Schwarzeneggera, w ramach organizowanego przez niego co roku Festiwalu Sportowego w Columbus. (jiw)



Rysunek satyryczny Ryszarda Drucha jest jego ulubioną formą komentarza do otaczającej nas rzeczywistości zarówno w kraju jak i zagranicą



Ks. prof. Jerzy Szymik czytający jeden ze swoich liryków z tomu *25 wierszy niezapomnianych w wyborze czytelników*



Prof. Marian Kisiel przedstawia uczestników konferencji (od prawej: dr Dominik Chwolik, prof. Elżbieta Dutka, mgr Piotr Zaczkowski, prof. Marian Kisiel, dr Katarzyna Niesporek, dr Kamila Czaja)



Poeta w trakcie przysłuchiwania się referatom



Mgr Piotr Zaczkowski wygłaszający referat o „Śląskim Hamlecie”



Prof. Marian Kisiel mówiący o „istocie poezji”



Mgr Mariola Czajkowska Dyrektor Centrum Kulturalno-Edukacyjnego w Czerwionce Leszczynach



Śluchacze konferencji *Świąty poetyckie Jerzego Szymika*